

Agatha Christie

Zło, które żyje pod słońcem

Tłumaczył Marian Stawiński

Tytuł oryginału: Evil under the Sun

*Johnowi
na pamiątkę pobytu w Syrii*

Rozdział pierwszy

I

Gdy kapitan Roger Angmering wybudował w roku 1782 dom na wysepce leżącej w zatoce Leathercombe, uznano to za wielkie dziwactwo z jego strony. Człowiek z dobrej rodziny powinien mieć okazałą rezydencję, położoną wśród rozległych łąk lub pięknych pastwisk przeciętych wartkim strumieniem.

Lecz kapitan Roger Angmering miał tylko jedną wielką namiętność — morze. Wybudował więc dom krzepki, właśnie taki jaki powinien stanąć na małym, smaganym wichrem, nawiedzanym przez mewy przyłądka, odcinanym od stałego lądu przez każdy przypływ.

Nic ożenił się, morze było jego pierwszą i jedyną miłością, a gdy zmarł, dom i wysepka dostały się dalekiemu kuzynowi. Kuzyn ten i jego potomkowie mało dbali o ów spadek. Ich ziemie kurczyły się, a ci, którzy dziedziczyli po nich, z wolna stawali się coraz biedniejsi.

W roku 1922. gdy ostatecznie ustaliła się tradycja spędzania wakacji nad morzem, a wybrzeża Devonu i Konwalii przestano uważać za zbyt upalne podczas lata. okazało się, że Arthur Angmering nie mógł znaleźć nabywcy na rozległy, niewygodny dom w stylu króla Jerzego, lecz za dziwaczną posiadłość nabytą przez żeglującego po morzach kapitana Rogera otrzymał dobrą cenę.

Krzepki dom został rozbudowany i upiększony. Łąd stały i wysepkę, na której wytyczono spacerowe ścieżki i stworzono „zakątki”, połączono betonową groblą. Powstały dwa korty tenisowe i słoneczne tarasy schodzące do małej zatoczki ozdobionej drewnianymi pomostami i trampolinami. Tak powstał hotel „Wesoły Roger” na Wyspie Przemysłowców w zatoce Leathercombe. Od czerwca do września (nie licząc krótkiego sezonu koło Wielkiejnocy) hotel „Wesoły Roger” był zwykle zapchany aż po strych. W roku 1934 dobudowano bar cocktailowy, rozleglejszą salę jadalną i dodatkowe łazienki. Ceny wzrosły.

Ludzie mawiali: „Czy byliście kiedyś w zatoce Leathercombe? Jest tani bardzo wesoły hotel na czymś w rodzaju wyspy. I żadnych autokarów turystycznych ani zbiorowych wycieczek. Dobra kuchnia i tak dalej. Powinniście tam pojechać”. I ludzie jechali.

II

W hotelu „Wesoły Roger” przebywała akurat pewna ważna (przynajmniej we własnym mniemaniu) osobistość. Herkules Poirot, oślepiający w swym białym płóciennym ubraniu, z nasuniętym na oczy słomkowym kapeluszem i wspaniale podkręconymi wąsami, spoczywał w krześle plażowym i spoglądał na plażę. Opadała ku niej z hotelu cała seria tarasów. Na plaży widać było gumowe materace, rowery wodne, łódki, piłki i nadmuchiwane zabawki. Była też długa trampolina i trzy drewniane pomosty w różnych odległościach od brzegu.

Niektórzy plażowicze kąpali się w morzu, inni leżeli wyciągnięci w słońcu, a jeszcze inni pieczołowicie namaszczeni olejkami.

Na najniższym tarasie, tuż nad plażą, siedzieli ci, którzy od kąpieli woleli rozmowę o pogodzie, o rozciągającym się przed nimi widoku, o nowinach w porannych pismach i o wszystkim, co wydało się im interesujące.

Po lewej stronie pana Poirota siedziała pani Gardener, a z jej ust wypływał monotonna nieustanny potok cichych słów, któremu towarzyszył klekot drutów do robótek ręcznych. Za nią, z kapeluszem nasuniętym na nos, spoczywał w leżaku mąż, Odell C. Gardener. Na wezwanie małżonki składał od czasu do czasu krótkie oświadczenia.

Po prawej ręce Poirota dorzucała grubym głosem swe uwagi panna Brewster, żylasta, atletyczna kobieta o szpakowatych włosach i miłej, ogorzałej od wiatru twarzy. Brzmiało to, jak gdyby naszczekujący krótko i tubalnie owczarek przerywał ujadającemu bez przerwy szpicowi.

Pani Gardener mówiła:

— ...więc powiedziałam do pana Gardenera, cóż, nie mam nic przeciwko zwiedzaniu, a zresztą lubię dokładnie poznać każde miejsce. Ale, mówiąc szczerze, załatwiliśmy Anglię dosyć dobrze i teraz chcę tylko znaleźć ciche miejsce nad morzem i po prostu odprężyć się. Tak powiedziałam, prawda Odellu? Po prostu odprężyć się. Czuję, że muszę się odprężyć, powiedziałam. Tak było, prawda, Odellu?

Pan Gardener mruknął spod swego kapelusza:

— Tak, kochanie.

Pani Gardener ciągnęła:

— Więc kiedy wzmiankowałam o tym panu Kelso w biurze Cooka (on nam ułożył cały plan podróży i w ogóle bardzo nam pomógł, doprawdy nie wiem, co byśmy bez niego zrobili), więc kiedy, jak powiadam, wzmiankowałam mu o tym, pan Kelso powiedział, że najlepiej będzie, jeżeli przyjedziemy tutaj. Najbardziej malownicze miejsce, powiedział, na krańcu świata, a równocześnie bardzo wygodne i ekskluzywne. Oczywiście pan Gardener wtrącił się w tym miejscu i zapytał o

urządzenia sanitarne. Bo nie wiem, czy mi pan uwierzy, *monsieur* Poirot, ale siostra pana Gardenera pojechała kiedyś na wypoczynek do pewnego pensjonatu, bardzo ekskluzywnego, jak jej powiedziano, w samym sercu wrzosowisk, ale nie uwierzyłyby mi pan, że był tam jedynie klozet ziemny! To oczywiście sprawiało, że pan Gardener stał się podejrzliwy wobec wszystkich „miejsc na krańcu świata”, czy nieprawda, Odellu?

— Tak, kochanie — powiedział pan Gardener.

— Lecz pan Kelso uspokoił nas. Urządzenia sanitarne, powiedział, są absolutnie nowoczesne, a kuchnia jest znakomita. I miał racje. Ale najbardziej lubię *intime* tego miejsca, jeśli wie pan, co mam na myśli. Ponieważ obszar jest niewielki, wszyscy rozmawiamy ze sobą i wszyscy się znamy. Jeśli Brytyjczycy mają jakąś wadę, to jest nią skłonność do trzymania się na uboczu od ludzi, których nie znają od co najmniej kilku lat. Ale kiedy już się ich dobrze pozna, nie ma miłszych ludzi. Pan Kelso powiedział, że przyjeżdżają tu ciekawi ludzie i widzę, że miał słuszość. Jest pan, panie Poirot, i panna Darnley. Och! Mało nie umarłam z wrażenia, kiedy dowiedziałam się, kim pan jest, czy nieprawda, Odellu?

— To prawda, kochanie.

— Ha! — powiedziała panna Brewster wtrąciwszy się nagle. — Wstrząsające! Co, panie Poirot?

Herkules Poirot uniósł ręce, jak gdyby pragnąc odzegnać się od wszystkiego. Ale był to tylko uprzejmy gest. Potok z ust pani Gardener gładko płynął dalej.

— Widzi pan, panie Poirot, wiele słyszałam o panu od Cornellii Robson. Pan Gardener i ja byliśmy w maju w Badenhof. I, oczywiście. Cornelia opowiedziała nam o tej sprawie w Egipcie, kiedy zabito Linnet Ridgeway. Powiedziała, że był pan cudowny i odtąd szalałam po prostu, żeby pana kiedyś spotkać, prawda, Odellu?

— Tak, kochanie.

— I jest także panna Darnley. Kupuję wiele rzeczy w Rosę Mond. a — oczywiście — to ona jest Rosę Mond. prawda? Myślę, że jej ubiory są naprawdę pomysłowe. Mają taką cudowną linię. Ta sukienka, którą miałam na sobie wczoraj wieczorem, jest właśnie od niej. Myślę, że to w ogóle wspaniała kobieta.

Siedzący za plecami panny Brewster major Barry, którego wylupiaste oczy wlepione były w kąpiących się, mruknął:

— Ta dziewczucha wpada w oko! Pani Gardener szczęknęła drutami.

— Muszę panu wyznać pewną rzecz, panie Poirot. Spotkanie pana tutaj dało mi w pewien sposób do myślenia. Nie chodzi o to, że spotkanie z panem po prostu mną wstrząsnęło, choć naprawdę byłam wstrząśnięta. Pan Gardener wie o tym. Ale uprzytomniłam sobie, że być może jest pan tutaj... jak by to powiedzieć... profesjonalnie. Wie pan, co mam na myśli? Jestem okropnie wrażliwa, jak może potwierdzić pan Gardener, i nie mogłabym znieść myśli, że będę zamieszana w jakieś przestępstwo,

wszystko jedno jakiego rodzaju. Widzi pan...

Pan Gardener odkasłał i powiedział:

— Widzi pan, panie Poirot, pani Gardener jest bardzo wrażliwa.

Herkules Poirot uniósł ręce w górę.

— Zapewniam panią, madame, że znalazłem się tu jak wy wszyscy, po prostu dla wypoczynku, dla spędzenia wakacji. Nawet nie myślę o przestępstwach.

Panna Brewster ponownie odezwała się grubym głosem:

— Żadnych ciał na Wyspie Przemysłowców. Herkules Poirot powiedział:

— Ach! To nie jest zupełnie prawdziwe — wskazał w dół przed siebie. — Niech się pani im przyjrzy. Leżą tam szeregami. Czym są? To nie mężczyźni ani kobiety. Nie mają w sobie nic osobistego. To po prostu... ciała!

— Niektóre z nich to ładne dziewczuchy, może trochę za chude — rzekł z przekonaniem major Barry.

— Tak, czy jest w nich coś pociągającego? — zawołał Poirot — tajemniczego? Jestem stary, ze starej szkoły. Kiedy byłem młody, można było dostrzec najwyżej kostkę. Przelotne mignięcie pienistej haleczki, jakże wabiące! Łagodne zgrubienie łydki... kolano... podwiązka z wstążeczką...

— Rozpustnik, rozpustnik! — zawołał ochryple major Barry.

— Dziś ubieramy się o wiele rozsądniej — zauważyła panna Brewster.

— Tak jest, panie Poirot — powiedziała pani Gardener. — Wic pan, myślę, że dziś chłopcy i dziewczęta żyją o wiele zdrowiej i naturalniej. Przebywają ze sobą i... i... — pani Gardener zaczerwieniła się lekko, gdyż umysł jej był czysty — ...i nie przejmują się tym, jeśli pan wie, co mam na myśli.

— Wiem — powiedział Herkules Poirot. — Jest to godne pożałowania.

— Godne pożałowania? — pisnęła pani Gardener.

— Zniszczenie całego romantyzmu... całej tajemnicy! Obecnie wszystko jest ujednolicone! — wskazał ruchem ręki spoczywające postaci. — Bardzo mi to przypomina kostnicę paryską.

— Panie Poirot! — pani Gardener była zgorzona.

— Zwłoki ułożone na kamiennych płytach, jak mięso u rzeźnika!

— Panie Poirot, czy nie posuwa się pan za daleko? Herkules Poirot przyznał:

— Tak. To możliwe.

— Mimo wszystko — pani Gardener z energią wzięła się do swej robótki — gotowa jestem zgodzić się z panem w jednym punkcie. Tym dziewczynom, które wylegują się tak w słońcu, wyrosną włosy na nogach i ramionach. Powiedziałam to Irenie... to moja córka, panie Poirot. Ireno, powiedziałam do niej, jeżeli będziesz się tak wylegiwała w słońcu, będziesz cała owłosiona, będziesz miała włosy na ramionach, na nogach i na piersiach. I jak będziesz wtedy wyglądała? Tak do niej powiedziałam. Czy nie tak. Odellu?

— Tak, kochanie — przytaknął pan Gardener. Wszyscy zamilkli, być może próbując sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała Irena, gdy nastąpi najgorsze.

Pani Gardener zwinęła robótkę i rzekła:

— Ciekawa jestem, czy... Pan Gardener przerwał:

— Tak, kochanie?

Wygramolił się ze swego leżaka i wziął robótkę pani Gardener wraz z jej książką. Zapytał:

— Czy pójdzie pani z nami na drinka, panno Brewster?

— Dziękuję, ale chyba nic teraz. Gardenerowie ruszyli w stronę hotelu. Panna Brewster zauważyła:

— Amerykańscy mężowie są cudowni!

III

Miejsce pani Gardener zajął wielebny Stephen Lane.

Wielebny Lane był wysokim energicznym duchownym, mniej więcej pięćdziesięcioletnim. Twarz miał opaloną, a jego flanelowe, ciemnoszare spodnie były sfatygowane i wytarte.

Powiedział z entuzjazmem:

— Cudowna okolica! Przeszedłem po skałach znad zatoki Leathercombe do Harford i z powrotem.

— Gorąca rzecz, taki spacer dzisiaj — powiedział major Barry, który nigdy nie spacerował.

— Świetne ćwiczenie — dodała panna Brewster. — Dzisiaj jeszcze nie wiosłowałam. Nic ma nic lepszego dla mięśni brzucha jak wiosłowanie.

Spojrzenie Herkulesa Poirota opadło smętnie ku pewnej wypukłości pośrodku jego osoby.

Dostrzegła to panna Brewster i powiedziała pocieszająco:

— Prędko pozbyłby się pan tego, panie Poirot, gdyby pan co dnia wiosłował.

— *Merci, mademoiselle*. Nie znoszę, łodzi!

— Ma pan na myśli małe łódki?

— Łodzie wszelkich rozmiarów! — Przymknął oczy i wzdrygnął się. — Ruch morza jest mi niemiły.

— Jak to? Morze jest dzisiaj spokojne jak staw. Poirot odpowiedział z przekonaniem:

— Naprawdę spokojne morze nie istnieje. Zawsze, zawsze faluje.

— Według mnie — powiedział major Barry — choroba morska to w dziewięciu dziesiątych nerwy.

— Oto jak przemawia dobry żeglarz! — uśmiechnął się duchowny. — Co majorze?

— Tylko raz chorowałem i działało się to, kiedy przepląywałem kanał La Manche! Moje motto brzmi: „Nie myśl o tym!”

— Choroba morska to rzeczywiście przedziwna rzecz — powiedziała po namyśle panna Brewster. — Dlaczego niektórzy ludzie podlegają jej, a inni nic? Wydaje się to nieuczciwe. I nic ma nic wspólnego ze zdrowiem. Bardzo chorowici ludzie bywają dobrymi żeglarzami. Ktoś mi kiedyś mówił, że ma to coś wspólnego z kręgosłupem. Są też tacy, którzy nie znoszą wysokości. Ja sama nie

znoszę jej zbyt dobrze, ale pani Redfern o wiele gorzej. Parę dni temu na tej skalistej ścieżce do Harford dostała zawrotu głowy i po prostu uczepiła się mnie. Powiedziała mi, że utknęła kiedyś w pół drogi schodząc tymi zewnętrznymi schodami katedry w Mediolanie. Wesoła bez zastanowienia, ale przy schodzeniu załamała się kompletnie.

— Niech lepiej nie schodzi po drabinie do Zatoczki Skrzata — zauważył Lane.

Panna Brewster zrobiła grymas.

— Sama bym się bała. To dobre dla młodzieży. Chłopcy Cowanów i młodzi Mastermani biegają po niej w górę i w dół i sprawia im to przyjemność.

Lane powiedział:

— Pani Redleni wraca z kąpeli w morzu.

— Powinna spodobać się panu Poirotowi — zauważyła Panna Brewster. — Nie uznaje kąpeli słonecznych.

Pani Redfern zdjęła gumowy czepek i potrząsnęła głową rozburzając włosy. Była młodą, bardzo jasną blondynką. Skóra jej miała blady, martwy odcień, charakterystyczny dla koloni włosów.

Major Barry zachichotał ochryple.

— Pomiędzy tymi innymi wygląda na trochę niedopieczoną, co?

Owinąwszy się w długi płaszcz kąpielowy, Christine Redfern zaczęła zbliżać się ku rozmawiającym.

Miała miłą, poważną, ładną (warz bez wyrazu i drobne, delikatne dłonie i stopy).

Uśmiechnęła się do nich i opadła na leżak w pobliżu, otulając się płaszczem kąpielowym. Panna Brewster powiedziała:

— Zdobyła pani pochlebny opinię *monsieur* Poirota. Nie znosi on opalających się tłumów. Powiada, że przypominają mu połcie mięsa u rzeźnika czy coś podobnego.

Christine Redfern uśmiechnęła się smętnie.

— Jak bym chciała móc się opalać! Ale nie opalam się na brązowo. Dostaję tylko bąbli i przerażającej ilości piegów na ramionach.

— To lepsze niż być porośniętą włosami na całym ciele jak Irena pani Gardener — powiedziała panna Brewster. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Christine, dodała: — Dziś rano pani Gardener była w wielkiej formie. Absolutnie nie do powstrzymania. „Czy nie tak, Odellu?” „Tak, kochanie” — urwała, a później powiedziała: — Żałuję, panie Poirot, że nie chciał pan jej dogodzić. Dlaczego pan tego nie zrobił? Dlaczego nie powiedział jej pan, że przybył pan tu w związku z wyjątkowo

przerażającym morderstwem, a morderca, zbrodniczy maniak, znajduje się z pewnością wśród gości hotelowych?

Herkules Poirot westchnął:

— Lękam się bardzo, że by mi uwierzyła. Major Barry zachichotał i sapnął:

— Z pewnością.

— Nie, nie wierzę — powiedziała Emily Brewster. Nawet pani Gardener nie uwierzyłaby, że zostało tu zaplanowane morderstwo. Nie jest to miejsce, w którym można znaleźć zwłoki.

Herkules Poirot poruszył się nieznacznie w krześle.

— Ale dlaczegożby nie, *mademoiselle*? — zaprotestował.

— Dlaczego to, co pani nazywa zwłokami, nie miałyby się pojawić na Wyspie Przemysłowców?

— Nie wiem dlaczego — powiedziała Emily Brewster.

— Myślę, że niektóre okolice są bardziej nieprawdopodobne niż inne. To nie jest miejsce tego rodzaju... — urwała, znajdując trudność w wyjaśnieniu, co miała na myśli.

— Jest romantyczne, to prawda — zgodził się Herkules Poirot — spokojne. Słońce świeci. Morze jest błękitne. Ale zapomina pani, panno Brewster, że wszędzie pod słońcem żyje zło.

Duchowny poruszył się w krześle i pochylił ku Poirotowi. Zapłonęły jego ciemnoniebieskie oczy. Panna Brewster wzruszyła ramionami.

— Och, oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę, ale mimo wszystko...

— Ale mimo wszystko wydaje się to pani mało prawdopodobną scenerią dla zbrodni? Zapomina pani o jednej rzeczy, *mademoiselle*.

— O naturze ludzkiej, jak przypuszczam?

— Tak, o niej także. O niej zawsze trzeba pamiętać. Ale nie to chciałem powiedzieć. Chciałem powiedzieć pani, że tu wszyscy wypoczywają.

Emily Brewster uniosła ku niemu zdumione spojrzenie.

— Nie rozumiem.

Herkules Poirot uśmiechnął się do niej serdecznie. Jego wskazujący palec zaczął dobitnie kłuć powietrze.

— Powiedzmy, że ma pani wroga. Jeśli zacznie go pani poszukiwać w jego mieszkaniu, w biurze,

na ulicy... *eh, bien*. Musi mieć powód... musi pani wyjaśnić swoją obecność. Ale tu, nad brzegiem morza, nikt nie musi wyjaśniać swojej obecności. Jest pani nad zatoką Leathercombe. Dlaczego? *Parbleu!* Jest sierpień. W sierpniu jedzie się nad morze, wypoczywa się. Widzi pani, jest rzeczą zupełnie oczywistą, że znajduje się pani tutaj, że pan Lane jest tutaj i major Barry jest tutaj, a także, że pani Redfern i jej mąż są tutaj. Ponieważ w Anglii wyjazd nad morze w sierpniu jest narodowym zwyczajem.

— Tak — przyznała panna Brewster — to bardzo pomysłowa koncepcja. Ale co z Gardenerami? To Amerykanie.

Poirot uśmiechnął się.

— Nawet pani Gardener, jak nam powiedziała, odczuwa konieczność odprężenia się. Musi także, ponieważ zwiedza Anglię, spędzić dwa tygodnie nam morzem... chociażby jako dobra turystka. Lubi przyglądać się ludziom.

Pani Redfern powiedziała półgłosem:

— Pan także, jak sędzę, lubi obserwować ludzi.

— *Madame*, muszę przyznać pani rację. Lubię.

— I wiele pan widzi... — powiedziała w zamyśleniu.

IV

Nastąpiła pauza. Stephen Lane chrząknął i powiedział z odcieniem skrępowania:

— Zaciekawilo mnie, *monsieur* Poirot, coś, co powiedział pan przed chwilą. Powiedział pan, że wszędzie pod słońcem kryje się zło. Był to niemal cytat z Kaznodziei: „A tak, serce synów ludzkich pełne jest zła, albowiem szaleństwo trzyma się serca ich za żywota ich, a potem idą do umarłych.” — Twarz jego rozjaśnił fanatyczny niemal blask. — Ucieszyły mnie pańskie słowa. W naszych czasach nikt nie wierzy w zło. Uznawane jest co najwyżej za przeciwieństwo dobrego. Zło, powiadają ludzie, czynione jest przez tych, którzy nie znają niczego lepszego... przez niedorozwiniętych... nad którymi należy raczej litować się, niż ich winić. Lecz, panie Poirot, zło jest prawdziwe! Jest faktem! Wierzę w zło, tak jak wierzę w dobro. Ono istnieje! Jest potężne! I wędruje przez świat!

Urwał. Oddech jego był coraz szybszy. Otarł czoło chusteczką i nagle powiedział przepaszająco:

— Proszę mi wybaczyć. Uniosłem się. Poirot powiedział spokojnie:

— Pojmuję, co pan chciał powiedzieć. Do pewnego stopnia zgadzam się z panem. Zło wędruje po świecie i można je rozpoznać jako zło.

Major Buny odkaszlnął.

— Skoro mowa o takich rzeczach, to niektórzy fakirzy w Indiach...

Major Barry przebywał już dostatecznie długo w hotelu „Wesoły Roger” i wszyscy obawiali się jego przerażającej skłonności do długich opowieści o Lidiach. Panna Brewster i pani Redfern zaczęły mówić nagle i równocześnie.

— To pani mąż tam płył, prawda, pani Redfern? Jaki wspaniały crawl! To bardzo dobry pływak.

W tej samej chwili pani Redfern powiedziała:

— Och, spójrzcie państwo! Jaka śliczna jest ta łódź z czerwonymi żaglami. To pan Blatt, prawda?

Major Barry chrząknął.

— Dziwaczny pomysł, czerwone żagle.

Lecz niebezpieczeństwo opowiadania o fakirach zostało zażegnane.

Herkules Poirot z przyjemnością patrzył na młodego człowieka, który właśnie dopłynął do brzegu. Patrick Redfern był pięknym mężczyzną. Smukły, opalony, o szerokich ramionach i wąskich biodrach, miał w sobie radość życia, wesołość i wrodzoną prostotę, które zdobywały mu przychylność wszystkich kobiet i większości mężczyzn.

Otrząsając się z wody, uniósł rękę pozdrawiając żonę. Christine Redfern w odpowiedzi pomachała mu ręką i zawołała:

— Chodź tu, Pat.

— Już idę.

Najpierw jednak poszedł po ręcznik zostawiony kawałek dalej na plaży.

Właśnie wówczas siedzących na tarasie minęła kobieta, która wyszła z hotelu i zaczęła schodzić w kierunku plaży.

Jej pojawienie się miało wszelkie cechy „wejścia na scenę” i — co więcej — była ona tego świadoma.

Nie była skrępowana, wydawało się, że aż za dobrze wie o nieuchronnych skutkach, jakie powoduje jej obecność. Była wysoka i smukła. Miała na sobie biały, prosty, głęboko wycięty na plecach kostium kąpielowy, a każdy cal jej odsłoniętego ciała był opalony na piękny odcień brązu. Była doskonała jak posąg. Ognistorude włosy opadały bujnymi falami na plecy. Rysy twarzy nabrały już ostrości zwykłej u kobiet po trzydziestce, lecz cała jej postać tryskała młodością, wspaniałą i tryumfującą żywotnością. Było coś chińskiego w jej nieruchomych rysach i ciemnoniebieskich, lekko skośnych oczach. Na głowie miała dziwaczny szmaragdowozielony, tekturowy kapelusz.

Jej wejście sprawiło, że kobiety na plaży stały się wyblakłe i nieważne. Skupiła na sobie spojrzenia wszystkich obecnych mężczyzn.

Oczy pana Herkulesa Poirota otworzyły się szerzej, a wąż jego drgnął z aprobatą. Major Barry usiadł. Z podniecenia jeszcze bardziej wytrzeszczył i tak już wyłupiaste oczy. Po lewej ręce Poirota wielebny Stephen Lane wciągnął z cichym świstem powietrze i zeszywniał.

Major Barry powiedział ochrypłym szeptem:

— Arlena Stuart (tak się nazywała, zanim wyszła za Marshalla)... Widziałem ją nim porzuciła scenę, w Przyjdz i odejdz. Niezły widok, co?

Christine Redfern powiedziała powoli zimnym głosem:

— Jest ładna... to prawda. Ale w środku siedzi dzikie zwierzę!

— Przed chwilą mówił pan o istnieniu zła, *monsieur* Poirot — powiedziała nagle Emily Brewster. — W moim przekonaniu ta kobieta jest uosobieniem zła! Jest zła do szpiku kości. Tak się składa, że nie ma o niej wiem.

Major Barry powiedział przypominając sobie:

— Znałem dziewczuchę w Simli. Też miała rude włosy. Żona mojego podwładnego. Namieszała tam mocno. Oj. tak. Mężczyźni szaleli za nią. A wszystkie kobiety miały ochotę wydrapać jej oczy!

Mocno namieszała w niejednej rodzinie.

Zachichotał.

— Mąż był miłym, spokojnym facetem. Rad by całował ziemię, po której chodziła. Nigdy niczego nie zauważył... albo udawał, że nie widzi.

Stephen Lane powiedział cicho, głosem pełnym napięcia:

— Takie kobiety są zagrożeniem... zagrożeniem dla... Urwał.

Arlena Stuart podeszła do samej wody. Dwaj młodzi ludzie, niemal chłopcy jeszcze, zerwali się i ruszyli w jej kierunku. Ona wprawdzie uśmiechała się do nich, ale jej oczy spoczęły na idącym wzdłuż brzegu Patricku Redfernie.

Patrick Redfern zboczył z kursu. Jego kroki zmieniły kierunek. Herkulesowi Poirotowi przypominało to igłę kompasu. Igła kompasu musi być posłuszna prawu magnetyzmu i skierować się ku północy. Stopy Patricka Redferna doprowadziły go do Arleny Stuart.

Ta przez moment stała uśmiechając się do niego, a później ruszyła powoli wzdłuż wybrzeża. Patrick Redfern pospieszył za nią. Arlena wyciągnęła się na piasku przy skale. Redleni usiadł tuż obok niej.

Nagle Christine Redfern wstała i oddaliła się w kierunku hotelu.

Po jej odejściu przez chwile panowało nieprzyjemne milczenie. Wreszcie Emily Brewster zauważyła:

— Paskudna sprawa. Ta mała jest bardzo miła. Są dopiero rok czy dwa po ślubie.

— Ta dziewczucha, o której mówiłem — powiedział major Barry — ta w Simli, rozbiła parę naprawdę szczęśliwych małżeństw. Szkoda, co?

— Są takie kobiety — ciągnęła panna Brewster — które lubią rozbijać rodziny. — i po chwili dodała

— Patrick Redfern jest głupcem!

Herkules Poirot milczał. Patrzył na plażę, ale nie przyglądał się Patrickowi Redfernowi i Arlenie Stuart. Panna Brewster powiedziała:

— Cóż, najlepiej będzie, jeśli pójde popływać łodzią.

Odeszła.

Major Barry zwrócił swe wodniste oczy ku Poirotowi i lekko zaciekawiony zapytał:

— Cóż, Poirot, o czym pan myśli? Nie otworzył pan nawet ust. Co pan myśli o tej syrenie? Gorąca Sztuka, co?

— *C'est possible** — powiedział Poirot.

— No, no, stary rozpustniku. Znam was, Francuzów!

— Nie jestem Francuzem! — odparł chłodno Poirot.

— Niech mi pan nie wmawia, że nie chce pan spojrzeć na ładną dziewczynę! Co pan o niej myśli?

— Nie jest młoda — powiedział Herkules Poirot.

— Jakie to ma znaczenie? Kobieta ma tyle lat, na ile wygląda. A ona dobrze wygląda.

Herkules Poirot przytaknął ruchem głowy.

— Tak, jest piękna. Ale w ostatecznym rozrachunku uroda nie gra roli. To nie uroda powoduje, że wszystkie głowy na tej plaży (prócz jednej) zwróciły się w jej kierunku.

— URODA, mój chłopcze — powiedział major. — Tak właśnie, URODA!

Po czym dodał z nagłym zaciekawieniem:

— Czemu się pan bez przerwy przygląda?

— Przyglądam się wyjątkowi — odparł Herkules Poirot. — Jedyńemu człowiekowi, który nie uniósł głowy, gdy przechodziła.

Major Barry poszedł za jego spojrzeniem, które spoczywało na mniej więcej czterdziestoletnim mężczyźnie, jasnowłosym i opalonym. Miał on spokojną, miłą twarz i siedział na plaży paląc fajkę i czytając „Timesa”.

— Och, ten! — powiedział major Barry. — To przecież mąż, mój chłopcze. To Marshall.

— Tak, wiem.

Major Barry zachichotał. Będąc kawalerem, zwykł oceniać mężów pod trzema kątami: jako Przeszkodę, Kłopot i Strażnika.

— Wydaje się, że to miły facet. Spokojny. Ciekaw jestem, czy mój „Times” już przybył.

Wstał i ruszył w kierunku hotelu.

Spojrzenie Poirota przesunęło się z wolna ku Stephenowi Lane’owi.

Stephen Lane patrzył na Arlenę Stuart i Patricka Redferna. Nagle zwrócił się w stronę Poirota. W oczach jego lśnił surowy, fanatyczny blask.

— Ta kobieta jest zła do szpiku kości — powiedział. — Czy pan w to wątpi? Poirot odparł powoli:

— Trudno być tego pewnym.

— Ależ, na Boga żywego, czy nie wyczuwa pan obecności zła w powietrzu? Wokół siebie?

Herkules Poirot z wolna potakująco skinął głową.

Rozdział drugi

Herkules Poirot nie próbował nawet ukryć swego zadowolenia, gdy Rosamund Darnley podeszła i usiadła przy nim.

Przyznał później, że podziwiał Rosamund Darnley bardziej niż jakąkolwiek inną znaną sobie kobietę. Podobały mu się jej dystyngowane maniery, wdzięczna postać, żywość mchów dumnie osadzonej głowy. Podobały mu się gładkie fale jej ciemnych włosów i ironia kryjąca się w uśmiechu.

Miała na sobie sukienkę z granatowego materiału w biały rzucik. Dzięki kosztownej prostocie kroju wyglądała ona bardzo skromnie. Rosamund Darnley, kierująca „Rosa Mond Ltd.”. była jedną z najbardziej znanych w Londynie projektantek mody.

Powiedziała:

— Wydaje mi się, że nie lubię tego miejsca. Nie wiem, dlaczego tu przyjechałam!

— Była pani tu już przedtem, prawda?

— Tak, dwa lata temu podczas Wielkanocy. Nie było wtedy tylu ludzi.

Spojrząwszy na nią Herkules Poirot powiedział łagodnie:

— Stało się coś, co panią niepokoi. Mam rację, prawda?

Przytaknęła mchem głowy. Przez chwilę obserwowała swoją kołyszącą się stopę.

— Spotkałam ducha. To mnie niepokoi.

— Ducha, *mademoiselle*?

— Tak.

— Ducha czego? Czy kogo?

— Och, mego własnego ducha. Poirot zapytał łagodnie:

— Czy to był duch, który sprawił ból?

— Niespodziewanie. Przeniósł mnie w przeszłość, wie pan...

Urwała i zamyśliła się. Później powiedziała:

— Proszę sobie wyobrazić moje dzieciństwo. Nie, nie może pan. Nie jest pan Anglikiem.

— Czy było to bardzo angielskie dzieciństwo? — zapytał Poirot.

— Niewiarygodnie angielskie! Wiejska okolica... wielki rozsypujący się dom... konie, psy... spacer w deszczu... szczapy w kominku... jabłka w ogrodzie... brak pieniędzy... stare tweedy... stroje wieczorowe, co roku te same... zapuszczony ogród... z michałkami, jesienią wystrzelającymi jak chorągwie...

Poirot zapytał łagodnie:

— Chciałaby pani tam powrócić? Rosamund Darnley potrząsnęła głową.

— Człowiek nic może powrócić, prawda? To niemożliwe. Ale żałuję, że nie poszłam... inną drogą.

Poirot powiedział:

— Dziwi mnie to.

Rosamund Darnley roześmiała się.

— Mnie też, szczerze mówiąc.

— W czasie mojej młodości (a to, *mademoiselle*, było rzeczywiście bardzo dawno) istniała taka gra, która nazywała się: „Jeśli nie sobą, to kim chciałbyś być?” Odpowiedzi wpisywało się młodym damom do sztambuchów ze złoconymi brzegami i oprawnymi w niebieską skórę. Niełatwo było znaleźć odpowiedź, *mademoiselle*.

Rosamund powiedziała:

— Chyba ma pan rację. Jest to ryzykowne. Człowiek nie chciałby zostać Mussolinim albo księżniczką Elżbietą. Jeśli chodzi o naszych przyjaciół, to zbyt wiele o nich wiemy. Pamiętam, że poznałam kiedyś czarujące małżeństwo. Byli dla siebie uprzejmi i serdeczni i wydawali się tak bardzo ze sobą zaprzyjaźnieni, że pozazdrościłam tej kobiecie. Z chęcią zamieniłabym się z nią. Później ktoś mi powiedział, że będąc sam na sam nie przemówili do siebie słowa od jedenastu lat! — Roześmiała się. — To znaczy, że nigdy nie można być pewnym.

Po chwili Poirot powiedział:

— Wielu ludzi musi pani zazdrościć, *mademoiselle*.

— Och, tak, oczywiście — odparła chłodno Rosamund Darnley.

Zastanowiła się nad tym, a kąciki jej ust uniosły się w ironicznym uśmiechu.

— Tak, jestem naprawdę doskonałym przykładem kobiety, której się powiodło! Lubię swoją pracę, a moje Stroje Są bardzo popularne. Mam więc satysfakcję artystyczną i finansową. Jestem bardzo zamożna, mam dobrą figurę, niezłą twarz i nie zanadto złośliwy język.

Urwała i uśmiechnęła się Szerzej.

— Oczywiście... nie mam męża! Tu mi się nie udało, prawda, panie Poirot?

Poirot odpowiedział z galanterią:

— Jeśli nie jest pani zamężna, *mademoiselle*, to znaczy że żaden przedstawiciel mojej płci nie był dostatecznie wymowny. Pozostaje pani samotna z wyboru, nie z konieczności.

— A jednak jestem pewna, że jak wszyscy wierzy pan w głębi serca, że żadna kobieta nie jest szczęśliwa, jeśli nie wyszła za mąż, i nie ma dzieci.

Poirot wzruszył ramionami.

— Wyjść za mąż i mieć dzieci to zwykły los kobiety. Tylko jedna kobieta na sto... więcej, na tysiąc, umie zdobyć imię i pozycję taką jak pani. Rosamund uśmiechnęła się do niego. — A jednak, mimo to, jestem tylko nieszczęsną starą panną! W każdym razie tak się dzisiaj czuję. Byłabym szczęśliwsza zarabiając niewiele, mając wielkiego, milczącego, nieokrzesanego męża i gromadkę dzieciaków biegających za mną. Zgadza się pan?

— Skoro pani tak mówi, zapewne tak jest, *mademoiselle*.

Rosamund roześmiała się odzyskując niespodziewanie równowagę. Wyjęła i zapaliła papierosa.

— Na pewno umie pan postępować z kobietami, panie Poirot. Czuję w tej chwili, że gotowa jestem przyjąć przeciwny punkt widzenia i popierać kobiety robiące karierę. Oczywiście dobrze mi jest tak jak jest... i wiem o tym!

— A więc wszystko w naszym ogródku... a może powiedzmy: nad morzem... jest prześliczne, *mademoiselle*?

— Tak sędzę.

Z kolei Poirot wyjął z papierošnicy jednego ze swych ulubionych, cieniutkich papierosów. Patrząc rozbawionym wzrokiem na unoszącą się mgiełkę dymu, mruknął:

— A więc, pan... nie, kapitan Marshall, jest pani starym przyjacielem, *mademoiselle*!

Rosamund wyprostowała się.

— A skąd pan to wie? .— spytała zaskoczona. — Och, przypuszczam, że Ken powiedział panu. Poirot potrząsnął przecząco głową.

— Nikt mi niczego nie mówił. W końcu, jestem detektywem, *mademoiselle*. Ten wniosek sam się narzucał.

— Nie rozumiem.

— Proszę pomyśleć! — tłumaczył wymownie gestykulując. — Jest tu pani od tygodnia. Przez cały czas była pani pełna życia, wesoła, beztraska. A dziś nagle mówi pani o duchach i dawnych czasach. Co się wydarzyło? Przez kilka dni nie pojawił się nikt nowy, aż do wczoraj wieczór, kiedy przyjechał kapitan Marshall z żoną i córką. A dziś nastąpiła w pani gwałtowna zmiana! To przecież oczywiste!

Rosamund Darnley powiedziała:

— Cóż, ma pan rację. Kenneth Marshall i ja spędziliśmy wspólnie dzieciństwo. Marshallowie byli naszymi najbliższymi sąsiadami. Ken był zawsze miły dla mnie... choć traktował mnie nieco protekcjonalnie, bo był cztery lata starszy. Nie widziałam go przez długi czas. Co najmniej od piętnastu lat.

Poirot zamyślił się.

— To długi okres. Rosamund przytaknęła.

Po krótkiej pauzie Herkules Poirot powiedział:

— On jest sympatyczny, prawda?

— Ken to kochane stworzenie — zapewniła gorąco Rosamund. — Najlepszy z najlepszych. Okropnie cichy i powściągliwy. Powiedziałabym, że jedyną jego skazą jest skłonność do nieudanych małżeństw.

— Ach... — powiedział pan Poirot tonem pełnym zrozumienia.

Rosamund Darnley ciągnęła:

— Kenneth jest głupcem... zupełnym głupcem, gdy w grę wchodzi kobieta! Czy pamięta pan tę sprawę Martingdale?

Poirot zmarszczył brwi.

— Martingdale? Martingdale? Arszenik, prawda?

— Tak. Siedemnaście albo osiemnaście lat temu. Proces kobiety oskarżonej o zamordowanie męża.

— Udowodniono, że zażywał arszenik? A ją uniewinniono?

— Tak. Ken ożenił się z, nią po jej uniewinnieniu. To typowe dla niego, często robi takie właśnie cholernie głupie rzeczy.

— Ale skoro była niewinna? — mruknął Herkules Poirot.

— Przypuszczam, że była niewinna. Prawdy i tak nikt nie zna. Ale jest masa kobiet na tym świecie.

z którymi można się ożenić, nie trzeba szukać kogoś oskarżonego o morderstwo.

Poirot nie odpowiedział. Może sądził, że Rosamund Darnley i tak będzie mówiła dalej. I miał rację.

— Był, oczywiście, bardzo młody, miał tylko dwadzieścia jeden lat. Szalał za nią. Umarła w rok po ich ślubie, wydając Linde na świat. Myślę, że Ken był strasznie żałamany po jej śmierci. Zaczął hulać... Myślę, że chciał zapomnieć”.

Zamilkła na chwilę.

— A później wynikła sprawa Arleny Stuart, występującej wówczas w rewiach, i lorda Codringtona. Lady Codrington wystąpiła o rozwód z Cordingtonem, wymieniając ją jako powód. Podobno lord Codrington absolutnie stracił dla niej głowę. Sądzone, że wezmą ślub, gdy tylko rozwód się uprawomocni, ale nie ożenił się z Arleną, odrzucił ją bez wahania. Zdaje się, że wystąpiła przeciw niemu ze skargą o złamanie obietnicy małżeńskiej. W każdym razie sprawa ta narobiła wtedy dużo szumu. I wówczas pojawił się Ken i wzięli ślub. Głupiec... zupełny głupiec!

Herkules Poirot szepnął:

— Można człowiekowi wybaczyć takie głupstwa... ona jest piękna, *mademoiselle*.

— Niewątpliwie. Przed trzema laty nastąpił drugi skandal. Stary sir Roger Erskine pozostawił jej wszystkie swe pieniądze, co do pensa. Można byłoby sądzić, że to otworzy wreszcie Kenowi oczy.

— A nie otworzyło?

Rosamund Darnley wzruszyła ramionami.

— Powiedziałam panu, że nie widziałam się z nim od lat. Podobno przyjął to z absolutnym spokojem. Dlaczego? Czy tak ślepo w nią wierzy?

— Mogą być inne przyczyny.

— Tak! Jest dumny! Woli cierpieć z zaciśniętymi zębami. Nie wiem, jakie naprawdę są jego uczucia wobec niej. Nikt tego nie wie.

— A ona? Jakie są jej uczucia wobec męża? Rosamund spojrzała na niego. Powiedziała:

— Jej uczucia? Bezbłędnie potrafi wyczuć pieniądze. To kobieta fatalna, niszczy mężczyzn! Jeśli cokolwiek godnego uwagi i ubranego w spodnie zbliży się do niej na sto jardów, staje się jej łupem. Taka jest.

Poirot wolno pochylił głowę na znak, że całkowicie zgadza się z tą charakterystyką.

— Tak — powiedział. — To prawda, co pani mówi... Jej oczy szukają tylko jednego: mężczyzn.

— Teraz ma na oku Patricka Redferna — powiedziała Rosamund. — Jest przystojny i raczej prostoduszny, jak pan wie. Rozkochany w żonie i nie kobieciarz. Dla Arleny ktoś taki to prawdziwa uczta. Lubię tę małą panią Redleni. Jest nawet ładna, choć nieco bezbarwna. Myślę, że nie ma nawet cienia szansy przeciw tej tygrysicy, Arlenie.

— Ma pani rację — potwierdził z przygnębieniem Poirot.

Rosamund ciągnęła:

— Christine Redleni, jak mi się wydaje, była nauczycielką. I pewnie sady, że umysł rządzi materią. Czeka ją gwałtowny wstrząs.

Strapiony Poirot potakiwał głową. Rosamund wstała.

— To wstyd. Powinno się coś z tym zrobić — dodała mgliście.

II

Linda Marshall beznamiętnie przyglądała się swej twarzy w lustrze w sypialni. Bardzo jej nie lubiła. W tej chwili wydawało jej się, że składa się ona głównie z kości i piegów. Z niesmakiem patrzyła na gęstwinę miękkich, brązowych włosów („mysiego koloru” jak powiedziała sobie w myśli), zielonkawoszare oczy, wysoko osadzone kości policzkowe i długą, agresywną linię podbródka. Usta i zęby nie były może aż tak bardzo złe... ale w końcu, co znaczą zęby? A czy z boku na nosie nie pojawił się pryszcz?

Z ulgą stwierdziła, że to nie pryszcz. Pomyślała:

„To straszne, mieć szesnaście lat... po prostu straszne”.

Człowiek nie wie, na czym stoi. Linda była tak niezgrabna jak żreback i kolczasta jak jeż. Przez cały czas dręczyła ją świadomość braku wdzięku i bolało ją, że była ni tym, ni owym. W szkole nie czuła się źle. Niestety, właśnie skończyła szkołę i zdawało się, że nikt nie wie dokładnie, co powinna teraz robić. Ojciec mówił zdawkowo o wysłaniu jej w zimie do Paryża... Linda nie chciała jechać do Paryża... ale nie chciała także zostać w domu. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo nie lubi Arleny.

Na myśl o niej twarz Lindy stężała, w zielonych oczach pojawiło się napięcie.

Arlena...

Pomyślała:

„To zwierzę... zwierzę...”

Macochy! To paskudna rzecz mieć macochę, wszyscy tak mówili. I była to prawda! Nie dlatego, że Arlena była dla niej niemiła. Przez większość czasu niemal jej nie dostrzegała. Ale gdy już zwracała na nią uwagę, w jej spojrzeniu i słowach pojawiało się wzgardliwe rozbawienie. Doskonała swoboda i wdzięk mchów Arleny podkreślały jeszcze bardziej młodzieńczą nieporadność Lindy. Gdy Arlena była w pobliżu, odczuwała ze wstydem, jak bardzo jest niedojrzała i surowa. Ale to nie wszystko.

Linda zaczęła z wahaniem szukać w zakamarkach swego umysłu. Nie umiała jeszcze porządkować i klasyfikować swych uczuć. Chodziło o wpływ Arleny na ludzi... na ich dom.

„Ona jest zła — stanowczo pomyślała Linda. — Całkowicie zła.”

Ale i to nie załatwiało jeszcze sprawy. Nie wystarczy po prostu zadrzeć nosa z poczuciem moralnej wyższości i przepędzić ją z myśli.

Miała zły wpływ na ludzi. Ojciec... ojciec bardzo się zmienił.

Zacząła w myśli przywoływać obraz ojca przychodzącego, żeby przyprowadzić ją ze szkoły, zabierającego ją w podróż morską. I ojciec w domu... z Arlena. Zamknięty w sobie... i nieobecny.

„I tak to będzie trwało — pomyślała Linda. — Dzień po dniu... miesiąc po miesiącu. Nie mogę tego znieść”.

Przed nią jeszcze całe życie, składające się z nieskończonej ilości smutnych, zatrutych obecnością Arleny dni. Pomimo swych szesnastu lat, Linda była dziecinna, brakowało jej poczucia proporcji. Rok wydawał się jej wiecznością.

Nagle poczuła ogarniająca, ją falę gorącej nienawiści do Arleny.

„Chciałabym ją zabić. Och! Jak bym chciała, żeby umarła...”

Spojrzała ponad lustrem na morze w dole.

Jakże tu miło. A raczej mogłoby być miło. Wszystkie te plaże i zatoczki, i śmieszne wąskie ścieżki. Masa rzeczy do odkrycia. I miejsca, gdzie można powałęsać się samotnie. Były też groty, o których opowiedzieli jej chłopcy Cowanów.

„Gdyby tylko Arlena wyjechała — pomyślała Linda — bawiłabym się wspaniale.”

Powróciła myślami do wieczoru, kiedy przyjechali. Podniecająca była droga ze stałego lądu. Grobla znikła pod wodą, więc przyплыnęli łodzią. Hotel także wyglądał podniecająco i niezwykle. Gdy weszli na taras, z leżaka zerwała się wysoka, ciemnowłosa kobieta i wykrzyknęła:

— Ocli. to ty Kenneth!

A ojciec, okropnie zdumiony, zawołał:

— Rosamund!

Linda zaczęła, surowo i krytycznie, jak to czyni młodość, oceniać Rosamund. Doszła do wniosku, że jej się podoba. Jest sensowna. I włosy ma ładne, pasują do niej. Większość ludzi miała włosy, które są dla nich niestosowne. I ubierała się ładnie, i miała śmieszna, rozbawioną twarz, jak gdyby śmiała się z siebie, nie z innych. Rosamund była miła dla niej, Lindy. Nie była wylewna i nie mówiła „różnych rzeczy” (pod określeniem „mówić różne rzeczy” Linda zgrupowała masę rozmaitych spraw, których nie lubiła). I Rosamund nie sprawiała wrażenia, że uważa Linde za idiotkę. Traktowała ją jak istotę ludzką.

Linda tak rzadko czuła się istotą ludzką, że odczuwała dla Rosamund głęboką wdzięczność.

Także ojciec był, jak się wydawało, zadowolony, widząc pannę Darnley.

Dziwne, ale niespodziewanie stał się zupełnie inny. Wyglądał... wyglądał... Nagle Linde olśniło: tak, wyglądał o wiele młodziej. Śmiał się innym, jakby chłopięcym śmiechem. Nagle przyszło jej do głowy, że dotąd bardzo rzadko słyszała jego śmiech. Zaskoczyło ją to. Jak gdyby zobaczyła przelotnie

zupełnie innego człowieka.

„Ciekawa jestem — pomyślała — jaki był ojciec w moim wieku...” Niestety, pytanie było zbyt trudne, więc dała spokój rozmyśleniom na ten temat. Nagle wspaniała myśl błysnęła jej w głowie. Jak byłoby miło, gdyby przyjechali tutaj i spotkali pannę Darnley... sami, ona i ojciec. Przez chwilę wyobraziła sobie ojca — chłopięcego i roześmianego, pannę Darnley i siebie... i całą radość, jaką człowiek mógłby mieć z tej wyspy: kąpiele, grotty...

Ogarnął ją smutek.

Arlena. Nie można być radosnym, mając w pobliżu Arlene. Dlaczegoż nie? Cóż, ona, Linda, nie potrafi. Obecność osoby, której się nienawidzi, niszczy wszelką radość. A ona nienawidziła Arleny.

Czuła, jak ogarnia ją gorąca fala nienawiści.

Twarz Lindy zbieleła. Wargi rozchyliły się i zwęziły źrenice. Zesztywniałe palce zacisnęły się w pięści.

III

Kenneth Marshall zapukał do pokoju żony. Kiedy usłyszał jej głos, otworzył drzwi i wszedł.

Arlena kończyła właśnie toaletę. Ubrana była w lśniącą zieloną suknię, w której trochę przypominała syrenę. Stała przed lustrem malując tuszem rzęsy. Powiedziała:

— Ach, to ty Ken.

— Tak. Chciałem sprawdzić, czy jesteś gotowa.

— Jeszcze chwilkę.

Kenneth Marshall podszedł do okna. Spojrzał na morze. Twarz, jego nie zdradzała żadnych uczuć, była miła jak zwykle.

Odwróciwszy się, powiedział:

— Arleno?

— Tak?

— Jak sądzę, poznałaś Redferna już wcześniej? Arlena odparła swobodnie:

— Och, tak, kochanie. Gdzieś podczas jakiegoś popołudniowego przyjęcia. Wydał mi się przemiły.

— Takie odniosłem wrażenie. Czy wiedziałaś, że przyjedzie tu z żoną?

Arlena bardzo szeroko otworzyła oczy.

— Och, nie, kochanie. Była to ogromna niespodzianka!

Kenneth Marshall powiedział spokojnie:

— Pomyślałem, że może to właśnie nasunęło ci pomysł przyjazdu tutaj. Bardzo chciałaś, żebyśmy tu przyjechali.

Arlena odłożyła pędzelek z tuszem. Odwróciła się ku niemu. Uśmiechnęła się... miękkim, uwodzicielskim uśmiechem.

— Ktoś opowiadał mi o tym miejscu. Myślę, że chyba Rylandowie. Powiedzieli, że jest po prostu cudowne... tak świeże. Czy nie podoba ci się?

— Nie jestem pewien, czy mi się podoba — powiedział.

— Och kochanie, przecież uwielbiasz wodę i odrobinę lenistwa. Jestem pewna, że będzie ci tu cudownie.

— Widzę, że chcesz się zabawić.

Oczy jej rozszerzyły się nieco. Spojrzała na niego niepewnie.

Kenneth Marshall powiedział:

— Jak przypuszczam, prawda jest taka, że poinformowałaś Redferna o swoim przyjeździe tutaj?

— Kenneth, kochanie, nie masz chyba zamiaru być wstrętny?

— Słuchaj, Arleno, znam cię dobrze. Redfernowie to para miłych, młodych ludzi. Ten chłopiec naprawdę lubi swoją żonę. Czy musisz rozbijać ich małżeństwo?

— Jesteś nieuczciwy wobec mnie — powiedziała Arlena. — Nie uczyniłam nic... absolutnie nic. Nie mam przecież wpływu na to, że...

— Że co? Zatrzepotała powiekami.

— Cóż, oczywiście. Wiem, że mężczyźni szaleją za mną. Ale nie mam w tym udziału. Po prostu tak się dzieje.

— Więc przyznajesz, że miody Redfern szaleje na tobie?

Arlena szepnęła:

— To naprawdę niemądrze z jego strony. Zrobiła krok w stronę męża.

— Ale przecież ty wiesz, prawda Ken, że nie dbam o nikogo prócz ciebie?

Spojrzała na niego spod przyciemnionych rzęs.

Było to cudowne spojrzenie... spojrzenie, któremu niewielu mogło się oprzeć.

Kenneth Marshall patrzył na nią poważnie. Twarz jego była spokojna. Cicho powiedział:

— Sądzę, że znam cię dość dobrze, Arleno...

IV

Po opuszczeniu hotelu południowym wejściem wychodziło się bezpośrednio na tarasy w dole i plażę. Była tam ścieżka biegnąca na południowy zachód wzdłuż skalistego brzegu wyspy. Prowadziły od niej w dół stopnie ku pewnej ilości wykutych w skale zagłębień, figurujących na hotelowej mapie pod nazwą Słonecznej Krawędzi. W tych kamiennych niszach postawiono ławki.

Tam właśnie natychmiast po kolacji udali się Patrick Redfern i jego żona. Wieczór był śliczny, jasno lśnił księżyc. Redfernowie usiedli. Przez chwilę milczeli. W końcu Patrick Redfern powiedział:

— Jaki cudowny wieczór, prawda, Christine?

— Tak.

Gdyby słuchał uważnie, zaniepokoiłby go ton jej głosu, ale Patrick siedział nie patrząc na żonę. Christine Redfern zapytała spokojnie:

— Czy wiedziałeś, że ta kobieta będzie tutaj? Zwrócił się ku niej nagle.

— Nie wiem, kogo masz na myśli — powiedział.

— Myślę, że wiesz.

— Słuchaj, Christine. Nie wiem, co się z tobą stało. Przerwała mu. W głosie jej drżało wzruszenie.

— Ze mną? To z tobą coś się stało!

— Nic. Się ze mną nie stało.

— Och, Patricku! To nieprawda. Tak nalegałeś, żeby tu przyjechać. Byłeś uparty. Chciałam pojechać raz jeszcze do Tintangel, gdzie spędziliśmy miodowy miesiąc. Ale ty chciałeś być tutaj.

— Cóż, dlaczegóżby nie? To fascynujące miejsce.

— Być może. Ale chciałeś tu przyjechać ze względu na nią.

— Na nią? Kto to taki?

— Pani Marshall... Ty... jesteś w niej zadurzony.

— Na miłość boską, Christine, nie rób z siebie idiotki. Nie bądź zazdrosna, to niepodobne do ciebie.

Mówił dobitnie, ale była w jego głosie odrobina niepewności. I przesady. Powiedziała:

— Byliśmy bardzo szczęśliwi.

— Szczęśliwi? Oczywiście, że byliśmy szczęśliwi! Nadal jesteśmy szczęśliwi. Ale nic będziemy szczęśliwi, jeżeli nie będę mógł nawet przemówić do innej kobiety bez awantur z twojej strony...

— Wcale tak nie jest.

— Ależ jest. W małżeństwie człowiek musi mieć prawo... przyjaźnić się także z innymi ludźmi. Podejrzliwość jest szkodliwa. Nie wolno mi porozmawiać z ładną kobietą, żebyś nie doszła do wniosku, że jestem w niej zakochany.

Urwał. Wzruszył ramionami.

— Jesteś w niej zakochany — powiedziała Christine Redfern.

— Och, nie bądź głupia, Christine! Ja... ja zamieniłem z nią dosłownie kilka stów.

— To nieprawda.

— Na miłość boską, nie próbuj być zazdrosna o każdą ładną kobietę, którą spotykamy.

— Ona nic jest pierwszą lepszą ładną kobietą! Ona... ona jest inna! Jest zła! Tak jest! Skrzywdzi cię, Patricku. Proszę, daj temu spokój. Wyjedźmy stąd.

Patrick Redfern buntowniczo wysunął podbródek. Z tą wyzywającą miną wyglądał bardzo młodzieńczo.

— Nie ośmieszaj się, Christine. I... i nie kłóćmy się już.

— Nie chcę się kłócić.

— Więc zachowuj się jak rozumna istota. Chodź, wrócimy już do hotelu.

Wstał. Po chwili wstała też Christine Redfern.

W sąsiedniej niszy siedział na ławce Herkules Poirot i ze smutkiem potrząsnął głową.

Niektórzy ludzie wzdrygaliby się przed podsłuchiwaniami tak intymnej rozmowy. Ale nie Herkules Poirot. Nie miał skrupułów tego rodzaju.

— Poza tym — wyjaśnił o wiele później swemu przyjacielowi Hastingsowi — była to kwestia morderstwa.

— Ale morderstwo jeszcze wówczas nie nastąpiło — powiedział Hastings wpatrując się w niego ze zdumieniem.

Herkules Poirot westchnął.

— Ale już zostało, *mon cher*, bardzo wyraźnie zarysowane.

— Więc dlaczego mu nie zapobiegłeś?

. A Herkules Poirot odparł z ponownym westchnieniem, powtarzając to, co powiedział już raz kiedyś w Egipcie: jeśli ktoś postanowił popełnić morderstwo, niełatwo go powstrzymać. Nie wini siebie za to, co zaszło. Jego zdaniem, było to nieuchronne.

Rozdział trzeci

I

Rosamund Darnley i Kenneth Marshall siedzieli na niskiej sprężystej trawie porastającej skałę nad Zatoczką Mew. Zacisze to leżało po wschodniej stronie wyspy. Odwiedzali je ci, którzy pragnęli wykąpać się w spokoju.

Rosamund powiedziała:

— Jak to miło uciec od ludzi. Marshall mruknął niedosłyszalnie:

— M...m, tak.

Przewrócił się na bok i powąchał niską murawę.

— Ładnie pachnie. Pamiętasz te pagórki w Shipley?

— Pewnie.

— Miłe to były dni.

— Tak.

— Nie bardzo się zmieniłaś, Rosamund.

— Zmieniłam się. Ogromnie.

— Powiodło ci się, jesteś bogata i tak dalej, ale pozostałaś tą samą dawną Rosamund.

Rosamund szepnęła:

— Chciałabym nią być.

— Cóż to takiego?

— Nic. Czy to nie wielka szkoda, Kenneth, że nie możemy zachować miłego usposobienia i szczytnych ideałów, jakie mieliśmy w młodości?

— Nie pamiętam, żebyś miała wyjątkowo miłe usposobienie, moje dziecko. Dostawałaś zupełnie przerażających napadów wściekłości. Kiedyś rzuciłaś się na mnie w furii i niemal mnie udusiłaś. Rosamund roześmiała się.

— Czy pamiętasz ten dzień, kiedy wzięliśmy Toby'ego, żeby zapolować na szczury wodne?

Przez chwilę przypominali sobie dawne przygody. Później zamilkli.

Palce Rosamund bawiły się zatrzaskiem torebki. Wreszcie rzekła:

— Kenneth?

— Uhm... — odpowiedź była niewyraźna, gdyż nadal leżał z twarzą zagłębioną w trawie.

— Czy odezwiesz się jeszcze kiedyś do mnie, jeśli powiem ci teraz oburzającą impertynencję?

Obrócił się w trawie i usiadł.

— Nie sędzę — powiedział poważnie — że mógłbym uważać za impertynencję coś, co ty powiesz. Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

Skinęła głową, zgadzając się z ostatnim zdaniem. Ukryła jedynie, jak wielką przyjemność jej to sprawiło.

— Kenneth, dlaczego nie rozwiedziesz się z żoną? Marshallowi gwałtownie zmieniła się twarz. Stała się surowa, zniknął z niej wyraz zadowolenia. Wyjął z kieszeni fajkę i zaczął ją nabijać.

— Przykro mi, jeżeli cię uraziłam — przeprosiła Rosamund.

— Nie uraziłaś mnie — odparł spokojnie.

— Więc dlaczego się nie rozwiedziesz?

— Nie rozumiem, moje miłe dziecko.

— Czy... czy jest ci aż tak bardzo miła?

— Nie o to chodzi. Ożeniłem się z nią.

— Wiem. Ale ona nie ma... najlepszej reputacji. Rozwazał to przez chwilę, ubijając uważnie tytoń w fajce.

— Tak myślisz? Chyba masz rację.

— Mógłbyś się z nią rozwieść, Ken.

— Moja droga, nie masz prawa tak mówić o niej. To, że mężczyźni tracą dla niej głowę, nie oznacza, że ona traci głowę dla nich.

Rosamund w ostatnim momencie ugryzła się w język, żeby nie skomentować.

— Mógłbyś wziąć winę na siebie... jeśli wolisz w ten sposób.

— Oczywiście, że mógłbym.

— Powinieneś, Ken. Naprawdę, wierzę w to. Jest przecież dziecko.

— Linda?

— Tak, LLnda.

— A cóż Linda ma z tym wspólnego?

— Arlena nie jest odpowiednia dla Lindy. Naprawdę. Myślę, że Linda jest niezwykle wrażliwa.

Kenneth Marshall przyłożył zapalniczkę do fajki. Wciągając dym powiedział:

— Tak... coś w tym jest. Myślę, że Arlena i Linda nie są nazbyt miłe dla siebie nawzajem. Nic jest to chyba dobre dla dziewczynki. Trochę kłopotliwe.

— Lubię Linde... bardzo ją lubię — powiedziała Rosamund. — Jest w niej coś delikatnego.

— Podobna do matki. Bierze wszystko poważnie, zupełnie jak Ruth.

— A więc, czy naprawdę nie sądzisz, że... powinieneś pozbyć się Arleny?

— Doprowadzić do rozwodu?

— Tak. Dużo osób to robi.

Kenneth Marshall powiedział z nagłą gwałtownością:

— Tak. I tego właśnie nienawidzę.

— Czego nienawidzisz? — Była zaskoczona.

— Obecnej postawy wobec życia. Jeżeli podejmujesz się czegoś i przestaje ci się to podobać, starasz się szybko wykręcić! Niech to diabli! Musi istnieć coś takiego jak zaufanie. Jeżeli żenisz się z kobietą i zobowiązujesz do opieki nad nią, masz się z tego wywiązać. Nie pochwalam szybkich małżeństw i łatwych rozwodów. Arlena jest moją żoną i już.

Rosamund pochyliła się ku niemu.

— Więc taki jesteś? „Póki śmierć nas nie rozłączy”? — szepnęła.

Kenneth Marshall skinął głową.

— Właśnie.

— Rozumiem — powiedziała Rosamund.

II

Pan Horace Blatt, powracający do zatoki Leathercombe wąską i krętą drogą, niemal potracił na zakręcie panią Redfern.

Christine wtuliła się w żywopłot, a pan Blatt gwałtownie nacisnął na hamulec i zatrzymał swego sunbeama.

— Halo—halo! — zawołał wesoło pan Blatt, rosły mężczyzna o rumianej twarzy, z wieńcem rudych włosów otaczających lśniąca łysinę.

Najwyraźniej ambicją pana Blatta było stać się duszą każdego towarzystwa, w którym się znalazł. Często i nieco zbyt głośno wyrażał opinię, że hotel „Wesoły Roger” wymaga ożywienia. Był zdumiony, że gdy tylko się pojawił, okazywało się, że każdy jest zajęty i natychmiast znika.

— Mało brakowało, a zrobiłbym, z pani konfitury truskawkowe — stwierdził radośnie pan Blatt.

— Tak, to prawda.

— Niech pani wskoczy do auta.

— Och, dziękuję... myślę, że pójdę pieszo.

— Nonsens — zaprotestował pan Blatt. — A do czego służy samochód?

Chyląc czoło przed koniecznością, Christine Redfern wsiadła.

Pan Blatt zapalił silnik auta i zapytał:

— Czemu pani spaceruje tak samotnie? To nie w porządku. Taka ładna dziewczyna jak pani!

Christine odpowiedziała pośpiesznie:

— Lubię samotność.

Pan Blatt dźgnął ją potężnie łokciem w bok, po czym niemal wbił auto w żywopłot.

— Dziewczyny zawsze tak mówią — powiedział — ale wcale tak nie myślą. Wie pani co? To miejsce, ten „Wesoły Roger”, wymaga odrobiny ożywienia. Jest smętny, brak mu życia. Oczywiście, jest tu masa niedołęgów. Masa dzieci i starych pierników. Jest ten stary nudziarz anglo-indyjski, atletyczny pastor, ci rozpaplani Amerykanie i cudzoziemiec z wąsikami... śmiać mi się chce z jego wąsika! To chyba jakiś fryzjer albo coś podobnego.

Christine potrząsnęła głową.

— Och, nic. To detektyw.

Pan Blatt raz jeszcze o mały włos nie wpakował samochodu w żywopłot.

— Detektyw? Chce pani powiedzieć, w przebraniu? Christine uśmiechnęła się blado.

— Och, nie, on naprawdę tak wygląda. To Herkules Poirot. Musiał pan o nim słyszeć.

— Nie usłyszałem dobrze jego nazwiska, kiedy się przedstawiał. Oczywiście, że słyszałem o nim. Ale myślałem, że już nie żyje. Powinien już nie żyć. Czego tu szuka?

— Niczego nie szuka... wypoczywa.

— Być może — powiedział pan Blatt z powątpiewaniem. — Wygląda, jakby był trochę stuknięty.

— Cóż — Christine zawahała się — może jest trochę dziwny.

— Powtarzam jedno. Czemu Scotland Yard ma być gorszy? Jeżeli o mnie chodzi, sądzę, że nie ma jak towary brytyjskie.

Zjechał z pagórka i tryumfalnie naciśnąwszy klakson wprowadził wóz do garażu hotelowego, umieszczonego na lądzie stałym, powyżej linii przyływu, tuż naprzeciw hotelu.

III

Linda Marshall znajdowała się akurat w małym sklepiku, który zaspokajał potrzeby odwiedzających zatokę Leathercombe. Jedną ścianę sklepu zajmowały książki, które można było wypożyczyć za dwa pensy. Najnowsza z, nich miała dziesięć lat, niektóre miały po dwadzieścia, a inne były jeszcze starsze.

Linda wzięła z półki jedną, później następną i spojrzała na nie z powątpiewaniem. Nie miała ochoty czytać ani *Czterech Piór*, ani *Vice Versa*. Wyciągnęła oprawny w brunatną skórę pękaty tomik małego formatu. Czas mijał...

Słyszając głos Christine Redfern, Linda, spłoszona, wsunęła książkę z powrotem na półkę.

— Co czytasz, Lindo?

— Nic. Szukam książki — odparła pospiesznie.

Wyciągnęła na chybił trafił *Małżeństwo Williama Ashe'd* i podeszła do lady grzebiąc w torbie w poszukiwaniu dwupensówki.

Christine powiedziała:

— Pan Blatt właśnie odwiózł mnie do domu... ale najpierw o mało mnie nie rozjechał. Poczułam, że nie jestem w stanie przejść z nim całej grobli, więc powiedziałam, że muszę kupić parę rzeczy.

— Prawda, że jest okropny? — zauważyła Linda. — Ciągłe mówi o tym, jaki jest bogaty i opowiada straszne dowcipy.

— Biedny człowiek. Powinniśmy mu współczuć — odparła Christine.

Linda nic podzielała jej zdania. Nie widziała żadnego powodu do współczucia. Była młoda i bezlitosna.

Wyszła ze sklepu razem z Christine Redfern i obie ruszyły w kierunku grobli. Linda pogrążona była we własnych myślach. Stwierdziła, że lubi Christine Redfern. Ona i Rosamund Darnley były w jej opinii jedynymi znośnymi osobami na wyspie. Po pierwsze, żadna z nich nie mówiła zbyt wiele. Na przykład teraz, idąca obok niej Christine wcale się nie odzywała. Bardzo rozsądnie z jej strony, pomyślała Linda. Po cóż mleć jęzorem przez cały czas, jeżeli nie ma się nic ciekawego do powiedzenia?

Linda powróciła myślami do własnych kłopotów.

Nagle odezwała się:

— Pani Redfern, czy czuła pani kiedykolwiek, że wszystko jest tak straszne... tak okropne... że, och rozsadzi panią...?

Słowa te były niemal komiczne, ale twarz Lindy, ściągnięta i przestraszona, nie była śmieszna. Christine Redfern spojrzała na nią niepewnie, nie rozumiejąc o co chodzi, ale dostrzegła, że nie ma się z czego śmiać...

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

Powiedziała:

— Tak... tak... tak się właśnie czuję.

IV

— Wiec pan jest tym sławnym detektywem, co? — zagadnął pan Blatt.

Znajdowali się w barze, jego ulubionej kryjówce. Herkules Poirot przyjął tę uwagę ze zwykłym brakiem skromności.

Pan Blatt ciągnął:

— A co pan tu robi...? Pracuje pan?

— Nie. Wypoczywam. Mam wakacje. Pan Blatt zmrużył oko.

— W każdym wypadku tak by pan odpowiedział, prawda?

— Niekoniecznie — odparł Poirot.

— Och! Niech pan nie udaje. Mnie nie musi się pan obawiać. Nie powtarzam wszystkiego, co słyszę. Już przed laty nauczyłem się trzymać gębę na kłódkę. Nie doszedłbym w życiu do tego, do czego doszedłem, gdybym nic umiał milczeć. Pan wie, jacy są ludzie: ple, ple, ple o wszystkim, co usłyszą. W swoim zawodzie nie może pan się na to narażać. Dlatego musi pan podtrzymywać, że wypoczywa pan tu i nic więcej.

Poirot zapytał:

— A dlaczego przypuszcza pan, że tak nie jest?

Pan Blatt przymrużył oko.

— Jestem człowiekiem światowym. Wiem, z jakiego materiału ludzie są skrojeni. Człowiek taki jak pan pojechałby do Deauville, Le Touquet, albo na południe do Juan les Pins. To pańska... jak by to się wyrazić?... duchowa ojczyzna.

Poirot westchnął. Wyjrzał przez okno. Padał deszcz

i mgła otuliła wyspę.

— Możliwe, że ma pan słuszność — powiedział. — Tam przynajmniej nie brak rozrywek, kiedy pada.

— Dobre stare kasyno! — wykrzyknął i westchnął pan Blatt. — Wie pan, musiałem ciężko pracować prawie przez całe życie. Nie było czasu na wakacje i luksusy. Chciałem się wzbogacić i udało mi się. Teraz mogę robić to, czego zapragnę. Moje pieniądze są tak dobre jak pieniądze każdego innego człowieka. Mogę panu powiedzieć, że użyłem trochę życia w ostatnich latach.

— Ach, tak? — wyszeptał Poirot.

— Nic wiem, dlaczego tu przyjechałem — ciągnął Blatt.

— Ja także zastanawiałem się nad tym — zauważył Poirot.

— Ech? Co takiego?

Poirot zrobił wymowny ruch ręką.

— Ja także lubię obserwować. Oczekiwałem, że z całą pewnością powinien pan być wybrać Deauville albo Biarritz.

— A zamiast tam, obaj znaleźliśmy się tutaj, co? Pan Blatt zachichotał ochryple.

— Nie wiem doprawdy, dlaczego tu przyjechałem — powiedział niepewnie. — Może dlatego, że zabrzmiało to romantycznie? Hotel „Wesoły Roger”, Wyspa Przemysłowców. Taki adres może skusić. Przywołuje na myśl czasy, kiedy się było chłopcem. Piraci, przemyt i cała reszta.

Roześmiał się z pewnym zakłopotaniem.

— Jako chłopiec często żeglowałem. Nic w tej części świata. Na wschodnim wybrzeżu. To dziwne, ale zamiłowanie do tego rodzaju rzeczy nigdy człowieka łak naprawdę nie opuszcza. Gdybym chciał, mógłbym mieć tip-top jacht, lecz jakoś nigdy mnie do niego nie ciągnęło. Lubię się waleśać w tej mojej małej jolcie. Redfern też lubi żeglować. Wypłynął ze mną raz czy dwa razy. Ale teraz nie mogę go złapać... ciągle kręci się przy tej rudej żonie Marshalla.

Urwał, a później podjął zniżając głos: — Same stare jędzy w tym hotelu! Pani Marshall to jedyna barwna plamka! Myślę, że ten Marshall ma ręce pełne roboty pilnując jej. Opowiadają całą masę historyjek o niej z czasów, kiedy była na scenie... i później! Mężczyźni szaleją za nią. Zobacz pan, że wkrótce wyniknie z tego jakiś kłopot.

— Jaki kłopot? — zapytał Poirot.

— To zależy — odparł Horace Blatt. — Patrząc na Marshalla powiedziałbym, że to człowiek o przedziwnym usposobieniu. Mówiąc szczerze, wiem, że jest nieobliczalny. Słyszałem o tym. Spotykałem już takich spokojnych jak on. Nigdy nie wiadomo, do czego są zdolni. Ten Redfern dobrze robi, jeżeli będzie ostrożny...

Urwał, gdyż przedmiot jego rozważań wszedł do baru. Po chwili Blatt podjął głośno i z pewnym skrepowaniem: — Jak powiedziałem, żeglowanie wzdłuż brzegów to świetna rozrywka. Halo, Redfern, napije się pan ze mną jednego? Czego chce pan spróbować? Wytrawne Martini? Słusznie. A pan, panie Poirot? Poirot potrząsnął głową. Patrick Redfern usiadł i powiedział: — Żeglowanie? Najwspanialsza rozrywka w świecie. Chciałbym uprawiać je częściej. Jako chłopiec spędzałem prawie cały czas żeglując w gumowej łodzi wokół brzegów, tutaj.

— Wiec zna pan dobrze tę okolicę? — zapytał Poirot.

— Raczej tak! Znałem to miejsce, zanim jeszcze postawiono tu hotel. Nad zatoką Leathercombe stało tylko kilka domów rybackich, a na wyspie — na pół zrujnowany, zamknięty dom.

— Był tu dom?

— O tak, ale od lat nie zamieszkały. Dosłownie się rozpadł. Było bardzo wiele opowieści o ukrytych przejściach z domu do Groty Skrzata. Pamiętam, że często szukaliśmy takiego ukrytego przejścia.

Horace Blatt rozlał swój napój. Zaklął, wytarł się i zapylał:

— Cóż to takiego, ta Grota Skrzata?

— Och, nie widział jej pan? — zdumiał się Patrick.

— Znajduje się nad Zatoczką Skrzata. Niełatwo znajdzie pan do niej wejście. Ukryte jest między głazami. Wąska, długa szczelina. Ledwie można się przez nią przecisnąć. Wewnątrz rozszerza się i tworzy zupełnie dużą grootę. Wyobrażacie sobie, co to była za radość dla chłopca? Pokazał mi ją stary rybak. A dzisiaj nawet rybacy o niej nie wiedzą. Zapytałem wczoraj któregoś z nich, dlaczego to miejsce nazywają Zatoczką Skrzata, ale nie umiał mi odpowiedzieć.

— Nadal nie rozumiem — spytał Herkules Poirot — co to jest ten skrzat?

— Och, to typowe dla Devonu — powiedział Patrick Redfern. — W Sheepstor na wrzosowiskach jest również Pieczara Skrzata. Należy tam zostawić szpilkę jako prezent dla skrzata. Skrzat jest takim duszkiem wrzosowisk.

— Ach, to bardzo interesujące! — powiedział Herkules Poirot.

Patrick Redfern ciągnął:

— W Dartmoor nadal wiele się opowiada o skrzatach. Są tam wzgórza podobno nawiedzane przez nie, a przypuszczam, że chłopci powracający do domu ciemną nocą nadal skarżą się, że skrzat wywiódł ich na manowce.

— Tacy, którzy łyknęli za wiele? To pan chciał powiedzieć? — zapytał Horace Blatt. Redfern odparł z uśmiechem:

— Tak podpowiada zdrowy rozsądek. Blatt spojrzał na zegarek.

— Idę na kolację. Na ogół, Redfern, piraci są moimi faworytami, nie skrzaty.

Kiedy wyszedł, Redfern powiedział śmiejąc się: — Na Boga, sam bym chciał zobaczyć, jak skrzat prowadzi tego starego na manowce! Poirot zauważył w zamyśleniu:

— Jak na twardego człowieka interesów, pan Blatt ma bardzo romantyczną wyobraźnię.

— Ponieważ jest niedokształcony — wytłumaczył Patrick Redfern — a przynajmniej tak twierdzi moja żona. Niech pan spojrzy na to, co on czyta! Nic, tylko horrory i opowieści z Dzikiego Zachodu.

— Chce pan powiedzieć, że ma nadal duszę chłopca?

— A pan sądzi inaczej, proszę pana?

— Ja... nic stykam się z nim często.

— Ani ja. Wypłynąłem z nim raz czy dwa żaglówką... ale tak naprawdę, to on nie lubi, kiedy ktoś mu towarzyszy. Woli być sam.

— To doprawdy ciekawe — powiedział Herkules Poirot. — Zupełnie sprzeczne z jego zachowaniem na lądzie.

Redfern roześmiał się.

— Wiem. Wszystkim nam trudno jest uniknąć jego towarzystwa. Chciałby zmienić to miejsce w coś pośredniego pomiędzy Margate a Le Touquet.

Poirot milczał przez dłuższą chwilę, bardzo uważnie przyglądając się roześmianej twarzy swego towarzysza.

Nagle zauważył:

— Myślę, panie Redfern, że pan cieszy się życiem.

Patrick spojrział na niego ze zdumieniem.

— Oczywiście, że tak. Dlaczego miałbym się nie cieszyć?

— Rzeczywiście, dlaczego nie — zgodził się Poirot. — Gratuluję panu.

Uśmiechając się, Patrick Redfern powiedział:

— Dziękuję panu.

— Właśnie dlatego, jako człowiek starszy, o wiele starszy, ośmielę się dać panu pewną radę.

— Tak, proszę pana?

— Pewien bardzo mądry człowiek, mój przyjaciel z policji, powiedział do mnie przed laty: „Herkulesie, mój przyjacielu, jeśli chcesz mieć spokój, unikaj kobiet”.

— Obawiam się — zauważył Patrick Redfern — że trochę za późno na tę radę. Jestem żonaty, jak pan wie.

— Wiem. Pańska żona jest niezwykle czarującą i miłą kobietą. Sądzę, że bardzo jest do pana

przywiązana.

Patrick Redfern powiedział ostro:

— A ja jestem bardzo przywiązany do niej.

— Cieszę się, że to usłyszałem — westchnął Herkules Poirot.

Patrick Redfern zmarszczył się groźnie.

— Panie Poirot, do czego pan zmierza?

— *Les femmes** Wiem coś o nich. Potrafią nieznośnie komplikować życie. A Angielki prowadzą swe sprawy w sposób nie dający się opisać. Jeżeli musiał pan tu przyjechać, panie Redfern, czemu, na Boga, zabrał pan z sobą żonę?

— Nie pojmuję, co pan ma na myśli — wyrzucił z gniewem Patrick Redfern.

Herkules Poirot odparł spokojnie:

— Pojmuje pan doskonale. Nie jestem tak głupi, żeby chcieć przekonywać zaślepionego człowieka. Rzucam jedynie słowo przestrogi.

— Nasłuchał się pan tych przeklętych plotkar. Pani Gardener i ta Brewster... nie mają nic innego do roboty prócz paplania od rana do wieczora. Tylko dlatego, że jakaś kobieta jest przystojna, spadają na nią jak stado jastrzębi.

Herkules Poirot wstał.

— Czy naprawdę jest pan aż tak młody? — mruknął.

Potrząsając głową wyszedł z baru. Patrick Redfern patrzył za nim gniewnie.

Po wyjściu z jadalni Herkules Poirot zatrzymał się w hallu. Drzwi wejściowe były otwarte i wpływało nimi tchnienie łagodnej nocy.

Deszcz przestał padać, a mgła rozwiała się. Noc była znów piękna.

Herkules Poirot znalazł panią Redfern na jej ulubionej ławce w zagłębieniu skalnym. Przystanął przed nią i powiedział:

— Nie powinna pani tu siadać, jest wilgotno. Zaziębi się pani.

— Nie, nie zaziębię się. A zresztą, co to ma za znaczenie!

— No, no, nie jest pani dzieckiem! Jest pani wykształconą kobietą. Musi pani rozsądnie patrzeć na życie!

Odparła zimno:

— Upewniam pana, że nigdy się nie zaziębiam.

— Pogoda była dziś' paskudna — ciągnął Poirot. — Wiatr dał, deszcz padał, a mgła była tak gęsta, że nie dało się przez nią niczego zobaczyć. *Eh, bien*, a jak jest teraz? Mgła opadła, niebo jest czyste, a tam w górze lśnią gwiazdy. Podobnie bywa w życiu, *madame*. Christine powiedziała niskim, gniewnym głosem: — Wie pan, czego mam tutaj najbardziej po uszy?

— Czego, *madame*?

— Współczucia.

Strzeliła tym słowem jak szpicrutą.

— Czy sądzi pan, że nie wiem? Że nie widzę? Przez cały czas ludzie mówią: „Biedna pani Redleni... ta biedna mała kobietka”. A ja nie jestem mała, jestem wysoka. Mówią „mała”, bo mi współczują. A ja nie mogę tego znieść!

Pan Poirot ostrożnie rozpostarł swoją chusteczkę na ławce i usiadł. Powiedział w zamyśleniu:

— Coś w tym jest.

— Ta kobieta... — Christine urwała.

— Czy pozwoli pani powiedzieć coś, *madame*? — przerwał jej Poirot. — Coś, co jest tak prawdziwe jak te gwiazdy nad nami? Arleny Stuart... czy Arleny Marstiaall... tego świata nie liczą się.

— Nonsens.

— Zapewniani panią, że to prawda. Ich królestwo trwa krótką chwilę i one żyją dla tej chwili. Żeby się liczyć... naprawdę się liczyć, kobieta musi być dobra albo rozumna.

— Sądzi pan, że mężczyźni dbają o dobroć albo rozum? — spytała wzdorliwie Christine.

— W zasadzie tak — powiedział Poirot z powagą. Christine roześmiała się krótko.

— Nie zgadzam się z panem.

— Pani mąż kocha panią, *madame*. Wiem o tym.

— Nie może pan o tym wiedzieć.

— Ależ tak, wiem o tym. Przyglądałem mu się, gdy patrzył na panią.

Nagle załamała się. Zaczęła łkać burzliwie i gorzko na ramieniu Poirota. Powiedziała:

— Nie mogę tego znieść... Nie mogę tego znieść... Poirot poklepał ją po ramieniu.

— Cierpliwości... tylko cierpliwości — rzekł pocieszająco.

Wyprostowała się i przyłożyła do oczu chusteczkę. Szepnęła zduszonym głosem:

— Już przeszło. Jest mi lepiej. Proszę mnie zostawić samą... wolałabym być sama.

Posłuchał i pozostawił ją na ławce, a sam ruszył krętą ścieżką w dół, w stronę hotelu.

Był już bardzo blisko, gdy usłyszał przyciszone głosy ludzkie i dostrzegł Arlenę Marshall, a obok niej Patricka Redferna. W głosie mężczyzny brzmiała nutka uczucia.

— Szaleję za tobą... szaleję... doprowadziłaś mnie do szaleństwa... czy dbasz o to choć trochę? Czy zależy ci na mnie?

Twarz Arleny Marshall przypominała lśniącego, szczęśliwego kota... twarz zwierzęca, nie ludzka. Powiedziała cicho:

— Oczywiście, Patricku, kochanie. Uwielbiam cię. Wiesz, że...

Tym razem pan Poirot zrobił wyjątek i przestał podsłuchiwać. Powrócił na ścieżkę i ruszył w stronę hotelu.

Nagle zrównała się z nim jakaś postać. Był to kapitan Marshall.

Powiedział:

— Wyjątkowa noc, co? Po takim dniu — spojrzał w górę ku niebu. — Wygląda na to, że jutro

będziemy mieli piękną pogodę.

Rozdział czwarty

Wstał świetlisty i bezchmurny poranek dwudziestego piątego sierpnia. W taki dzień nawet niepoprawne lenie wcześniej zrywają się ze snu. Nawet w „Wesołym Rogerze” kilka osób wstało wcześniej niż zazwyczaj.

Była ósma, kiedy Linda położyła okładką do góry na toaletce otwarty niewielki, oprawny w skórę tomik. Spojrzała na swoją twarz w lustrze. Wargi jej były zaciśnięte, a źrenice zwężone.

— Zrobię to... — szepnęła.

Szybko zdjęła piżamę i włożyła kostium kąpielowy. Narzuciła szlafrok, a nogi wsunęła w sznurowane espadrylki.

Wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem. Na jego końcu były drzwi prowadzące na balkon i na zewnętrzne schody, które wiodły prosto na skały u stóp hotelu. Przyczepioną do skaty wąską żelazną drabinką można było zejść do wody. Korzystało z niej wielu gości hotelowych, pragnących zażyć kąpieli przed śniadaniem, gdyż zabierało to mniej czasu niż droga na główną plażę. Na schodach Linda minęła się z ojcem.

— Wcześniej wstałaś — zauważył. — Idziesz do wody?

Skinęła potakująco głową.

Zamiast jednak zejść ku skałom, Linda obeszła hotel i znalazła się na ścieżce prowadzącej do grobli łączącej wyspę ze stałym lądem. Był szczyt przyływu i grobla zniknęła pod wodą, ale zauważyła łódź przewożącą gości uwiązaną do maleńkiego mola. Przewoźnik akurat gdzieś sobie poszedł, więc Linda odwiązała łódkę i zaczęła wiosłować ku drugiemu brzegowi.

Gdy dotarła na miejsce, przywiązała łódkę i, minąwszy garaż hotelowy, ruszyła w górę po łagodnym zboczu. Po chwili znalazła się w sklepie.

Sprzedawczyni zdjęła właśnie okiennice i sprzątała podłogę. Ze zdziwieniem spojrzała na Linde.

— No, no, wcześniej panienka wstała.

Linda wsunęła dłoń do kieszeni szlafroka kąpielowego i wyjęła stamtąd nieco pieniędzy. Rozpoczęła zakupy.

II

Chrisline Redfern stała pośrodku pokoju Lindy, kiedy dziewczyna wróciła.

— O, jesteś — zawołała Christine. — Tak myślałam, że nie wyszłaś jeszcze na dobre.

— Nie, poszłam się tylko wykąpać.

Widząc paczkę w jej ręce, powiedziała ze zdumieniem:

— O, poczta dzisiaj przyszła bardzo wcześnie. Linda zaczerwieniła się i ze zdenerwowania wypuściła paczkę z ręki. Cienki sznurek pękł i część zawartości potoczyła się po podłodze.

— Dlaczego kupiłaś świece? — zawołała Christine.

Ku uldze Lindy nie czekała jednak na odpowiedź, tylko dodała:

— Przyszłam zapytać, czy chciałabyś dziś przed południem pójść ze mną do Zatoki Mew. Chcę trochę poszkicować.

Linda zgodziła się bez wahania.

W ciągu ostatnich dni nieraz towarzyszyła Christine Redfern podczas jej wypraw ze szkicownikiem. Christine była bardzo mierną artystką, ale być może używała malarstwa jako wymówki dającej możliwość zachowania dumy, teraz kiedy jej mąż spędzał większą część czasu z Arleną Marshall.

Linda Marshall była coraz bardziej przygnębiona i gniewna. Lubiła przebywać z Christine, ponieważ ta, pogrążona w pracy, niewiele mówiła. Jej obecność nie przeszkadzała Lindzie, która lubiła samotność, ale jednocześnie tęskniła za towarzystwem. Pomędzy nią a starszą od niej kobietą wytworzyła się nic wzajemnej sympatii, najprawdopodobniej opartej na wspólnej niechęci do tej samej osoby.

— O dwunastej będę grała w tenisa — powiedziała Christine — więc może wyruszymy tak wcześnie, jak się da. O pół do jedenastej?

— W porządku. Będę gotowa. Spotkam panią w hallu.

III

Wychodząc z jadalni po zjedzeniu bardzo późnego śniadania, Rosamund Darnley zderzyła się z Lindą zbiegającą jak huragan po schodach.

— Och, przepraszam, panno Darnley.

— Śliczny poranek, prawda? — zauważyła Rosamund. — Niemal nie do uwierzenia po wczorajszym dniu.

— Tak. Idę z panią Redfern do Zatoczki Mew. Powiedziałam jej, że będę tu o pół do jedenastej. Wydawało mi się, że jestem spóźniona.

— Nie. Jest dopiero dwadzieścia pięć po dziesiątej.

— Och, to dobrze!

Oddychała szybko i Rosamund spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Nie masz gorączki, Lindo?

Oczy dziewczyny lśniły jasno, a na policzkach pojawiły się jaskrawe rumieńce.

— Och, nie! Nigdy nie gorączkuję.

— Dzień jest tak piękny — rzekła z uśmiechem Rosamund — że wstałam na śniadanie. Zwykle jadam je w łóżku, ale dzisiaj zesłam i stawiałam czoło jajkom i wędzonce jak mężczyzna.

— Tak, wiem. Po tym wczorajszym dniu wszystko jest niebiańskie. Rano Zatoczka Mew jest wspaniała. Natrę się całą masą olejku i postaram się naprawdę opalić.

— Tak. Rano Zatoczka Mew jest rzeczywiście wspaniała — przyznała Rosamund. — I spokojniejsza niż ta plaża tutaj.

— Niech pani pójdzie z nami — zaproponowała nieśmiało Linda.

Rosamund potrząsnęła głową.

— Nie dzisiaj. Mam inne plany.

Na schodach ukazała się Christine Redfern. Miała na sobie zielono–żółtą luźno skrojoną plażową piżamę z długimi rękawami i kloszowymi spodniami. Rosamund zaswędziało język, żeby powiedzieć jej, że żółty i zielony to dwa kolory najmniej pasujące do jej jasnej, nieco anemicznej cery. Widok ludzi nie mających poczucia koloni zawsze wytrącał Rosamund z równowagi.

„Gdybym ja ubierała tę dziewczynę — pomyślała — jej mąż zaraz zwróciłby na nią uwagę. Bez względu na to, jak głupia jest Arlena, umie się jednak ubrać. Ta nieszczęsna dziewczyna wygląda zupełnie jak usychająca sałata.”

Głośno powiedziała:

— Bawcie się dobrze. Biorę książkę i idę na Słoneczną Krawędź.

IV

Herkules Poirot zjadł w pokoju śniadanie składające się, jak zwykle, z kawy i bułeczek. I jego piękno poranka skusiło do wcześniejszego wyjścia z hotelu. Pół godziny wcześniej niż miał w zwyczaju, o dziesiątej, zaczął schodzić w kierunku plaży. Plaża była pusta, jeśli nie liczyć jednej osoby. Osobą tą była Arlena Marshall.

Ubrana w biały kostium kąpielowy i zielony chiński kapelusz, próbowała zepchnąć na wodę białą drewnianą łódeczkę. Poirot m s żył po rycersku na pomoc, zamoczywszy przy tym parę białych zamszowych butów.

Podziękowała mu spojrzeniem spod rzęs.

Gdy odepchnęła się od brzegu, zawołała:

— Panie Poirot?

Poirot podskoczył ku krawędzi wody.

— *Madame!*

— Zrobi pan coś dla mnie, prawda? — spytała.

— Wszystko.

Uśmiechnęła się do niego i zniżyła głos.

— Niech pan nie mówi nikomu, gdzie jestem... — rzuciła mu błagalne spojrzenie — wszyscy ciągle za mną chodzą. Choć raz chciałabym być sama.

Oddaliła się wiosłując energicznie.

Poirot ruszył wzdłuż plaży. Mruknął do siebie:

— Ah ça, jamais*! W to nie mogę uwierzyć!

Wątpił, czy Arlena Stuart (użył przy tym jej scenicznego nazwiska) kiedykolwiek w życiu chciała być sama.

Herkules Poirot, światowiec, znał się na ludziach. Arlena Marshall udała się niewątpliwie na randkę, a Poirot był przeświadczony, że wie z kim. A może tylko wydawało mu się, że wie, bo wkrótce odkrył swą niewątpliwą omyłkę.

Gdy tylko łódeczka zniknęła za cyplem przy końcu zatoczki, Patrick Redfern, a w chwilę po nim Kenneth Marshall, wynurzyli się z hotelu i zeszli na plażę.

Marshall pozdrowił Poirota skinieniem głowy.

— Dzień dobry, Poirot. Nie widział pan tu gdzieś mojej żony?

— Czyżby *madame* wstała tak wcześnie? — odpowiedział Poirot dyplomatycznie.

— Nie ma jej w pokoju — wytłumaczył Marshall i spojrzał w niebo. — Piękny dzień. Od razu pójde się wykąpać. Mam dużo pracy dziś rano.

Patrick Redfern mniej otwarcie zerkał w górę i w dół plaży. Usiadł w pobliżu Poirota i oczekiwał przybycia swej damy.

— A *madame* Redfern? Czy także wstała tak wcześnie? — spytał Poirot.

— Christine? Och, poszła gdzieś rysować. Ostatnio poświęca się sztuce.

Redfern powiedział to niecierpliwie. Najwyraźniej myśli jego błądziły gdzie indziej. W miarę upływu czasu coraz niecierpliwiej oczekiwał przybycia Arleny. Słyszac odgłos kroków odwracał niezwłocznie głowę, żeby zobaczyć, kto schodzi drogą z hotelu. Przeżywał rozczarowanie za rozczarowaniem. Najpierw przybyli pan i pani Gardener, z robótką na drutach i książką, a za nimi panna Brewster.

Pani Gardener, pracowita jak zawsze, usiadła z robótką na krześle plażowym i niemal w tej samej chwili zaczęła mówić.

— Cóż, panie Poirot. Plaża zdaje się bardzo wyludniona dzisiejszego ranka. Gdzie się wszyscy podzieli?

Poirot odparł, że Mastennanowie i Cowanowie, dwie rodziny mające dzieci, wyruszyli na całodzienny rejs żaglówką.

— Tak, to wielka różnica, kiedy nie ma śmiechów i krzyków. I tylko jedna osoba się kąpie, kapitan Marshall.

Marshall właśnie dopłynął do brzegu. Szedł teraz plażą wymachując ręcznikiem.

— Przyjemnie jest dziś w morzu — zauważył. — Niestety, mam sporo pracy. Czas się za nią zabrać.

— Czy to nie pech, kapitanie Marshall! W taki piękny dzień jak dziś. A wczoraj było okropnie. Powiedziałam do męża, że jeśli pogoda się nie poprawi, będziemy musieli po prostu wyjechać. Jest lak melancholijnie, kiedy ta mgła otula całą wyspę. Robi się upiornie, a ja od dzieciństwa jestem wrażliwa na pogodę. Czasem, wie pan, czułam, że muszę krzyczeć. Krzyczałam i krzyczałam... A to, oczywiście, było bardzo wyczerpujące dla moich rodziców. Ale moja mama była cudowną kobietą i mówiła do ojca: „Sinclairze, jeżeli dziecko chce krzyczeć, musimy jej na to pozwolić. Krzyk to sposób wyrażania siebie”. I, oczywiście, ojciec zgadzał się Z nią. Był oddany mojej matce i robił wszystko, co mu poleciła. Stanowili po prostu cudowną parę. Pewna jestem, że pan Gardener zgadza

się ze mną.

— Tak, kochanie — potwierdził pan Gardener.

— A gdzie pańska córeczka, kapitanie Marshall?

— Linda? Nie wiem. Myślę, że wałęsa się gdzieś po wyspie.

— Wie pan, kapitanie Marshall, ta dziewczynka wydaje mi się trochę mizerna. Potrzebuje dobrego odżywiania i bardzo, bardzo troskliwej opieki.

— Nic jej nie jest — uciął Kenneth Marshall i ruszył w stronę hotelu.

Patrick Redfern nie wszedł do wody. Siedział nadąsany spoglądając otwarcie na hotel. Wkrótce do towarzystwa dołączyła panna Brewster, jak zwykle pogodna i bezpośrednia. Rozmowa potoczyła się podobnie jak poprzedniego ranka. Łagodne skomlenie pani Gardener i przerywane co jakiś czas naszczekiwanie panny Brewster.

— Plaża wydaje się trochę wyludniona. Czy wszyscy są na wycieczkach? — spytała panna Brewster.

Pani Gardener odparła:

— Właśnie rano powiedziałam panu Gardenerowi, że musimy odbyć wycieczkę do Dartmoor. To niedaleko, a tyle się z tym łączy romantycznych skojarzeń. I chciałabym obejrzeć to więzienie... Princetown, prawda? Myślę, że najlepiej od razu ustalić, że jedziemy tam jutro, Odellu.

— Tak, kochanie — zgodził się pan Gardener. Herkules Poirot zwrócił się do panny Brewster:

— Czy będzie się pani kąpać, *mademoiselle*?

— Och. byłam już w wodzie przed śniadaniem. Ktoś o mało nie rozbił mi głowy butelką. Wyrzucono ją z któregoś okna hotelowego.

— To bardzo niebezpieczne — powiedziała pani Gardener. — Mój bliski przyjaciel doznał wstrząsu mózgu, kiedy spadła mu na głowę tubka pasty do zębów wyrzucona z trzydziestego piątego piętra. To bardzo niebezpieczne. Otrzymał bardzo wysokie odszkodowanie. — Zaczęła przerzucać motki wełny. — Spójrz, Odellu, zdaje się, że nie mam tu tego drugiego odcienia fioletowej wełny. Jest w drugiej szufladzie komody w naszej sypialni, a może w trzeciej.

— Tak, kochanie.

Pan Gardener wstał posłusznie i wyruszył na poszukiwanie.

Pani Gardener mówiła dalej:

— Czasami, wiecie państwo, wydaje mi się, że zaszliśmy zbyt daleko w naszych czasach. Te

wszystkie wielkie odkrycia i fale elektryczne, które znajdują się w atmosferze, sędzę, że to musi doprowadzić do wielkich niepokojów umysłowych. Czuję po prostu, że nadszedł czas nowego przesłania dla ludzkości. Nie wiem, panie Poirot, czy kiedykolwiek interesował się pan prorocत्वami z piramid.

— Nie interesowałem się — odparł Poirot.

— Cóż, chcę pana zapewnić, że są one bardzo, ale to bardzo interesujące. Co pan na to, że Moskwa znajduje się dokładnie tysiąc mil na północ od... od czego?... czy nie od Niniwy?... W każdym razie jak zakreśli pan okrąg, odkryje pan zdumiewające rzeczy. I od razu widać, że ktoś musiał tym kierować, bo ci starożytni Egipcjanie sami nie mogliby wymyśleć tego, co wykonali. A kiedy zagłębi się pan w teorię cyfr i ich postęp, wszystko staje się tak jasne, że nie mogę pojąć, jak ktoś może choćby przez chwilę z to wątpić.

Pani Gardener zrobiła tryumfalną pauzę, ale ani Poirot, ani panna Emily Brewster nie byli skłonni do dyskusji.

Poirot posępnie przyglądał się swym zamszowym bucikom.

Emily Brewster powiedziała:

— Czy wszedł pan w butach do wody?

— Niestety! Byłem nieuważny. Emily Brewster zniżyła głos.

— Gdzie się podziewa nasz wamp? Spóźnia się. Pani Gardener uniosła oczy znad robótki i przyjrzała się Patrickowi Redfernowi. Mruknęła:

— Wygląda jak chmura burzowa. Och, jak mi żal, że tak się stało. Ciekawa jestem, co myśli o tym kapitan Marshall. To taki miły, spokojny człowiek... tak bardzo brytyjski i bezpretensjonalny. Nigdy nie wiadomo, co on sobie myśli.

Patrick Redfern wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem po plaży. Pani Gardener szepnęła:

— Zupełnie jak tygrys w klatce.

Śledzony przez trzy pary natarczywych oczu, Patrick nie był już nadąsany. Wyglądał, jak gdyby ogarnął go gniew.

Nagle w ciszy dobiegło bicie dzwonu. Emily Brewster powiedziała cicho:

— Wiatr znowu wieje ze wschodu. To dobry znak, kiedy słyszeć bicie kpscielnego zegara.

Nikt już nie odezwał się do chwili, gdy powrócił pan Gardener z kłębkim jaskrawej karmazynowej wełny.

— Odellu, co ty robiłeś przez tyle czasu — przywitała go małżonka.

— Przykro mi, kochanie, ale nie było go w ogóle w twojej komodzie. Znalazłem go na półce w szafie.

— Czy to nie przedziwne? Mogłabym przysiąc, że włożyłam go do szuflady w komodzie. Całe szczęście, że nigdy nie musiałam być świadkiem w sądzie. Zamartwiłabym się na śmierć, że nie zapamiętałam czegoś właściwie.

Pan Gardener powiedział:

— Moja żona jest bardzo skrupulatna.

— Czy będzie pani wiosłowała, pani Brewster? Zechce mnie pani zabrać? — spytał Patrick Redfern pięć minut później.

Panna Brewster odparła wesoło:

— Z przyjemnością.

— Opłynemy wyspę — zaproponował Redfern.

— Czy będzie na to dość czasu? — Panna Brewster spojrzała na zegarek. — Och, chyba tak, nie minęło jeszcze pół do dwunastej. No to ruszajmy.

Razem poszli wzdłuż plaży. Patrick Redfern pierwszy zasiadł do wiosła. Wiosłował potężnymi pociągnięciami i łódź mknęła do przodu.

— Dobrze! — pochwaliła Emily Brewster. — Zobaczymy, czy uda się panu utrzymać to tempo.

Roześmiał się. Był już w lepszym nastroju.

— Na pewno będę miał kilka pięknych pęcherzy, zanim powrócimy. — Uniósł głowę, odrzucając do tyłu swe czarne włosy. — Boże, jaki cudowny dzień! Nie ma nic piękniejszego od prawdziwie letniego dnia w Anglii.

— Moim zdaniem, nic w ogóle nie może przewyższyć Anglii — burknęła Emily Brewster. — To jedyne miejsce na świecie, gdzie można żyć.

— Trzymam z panią.

Okружили kamienny cypel zatoki i teraz płynęli pod skałami. Patrick Redfern uniósł głowę.

— Czy jest ktoś dzisiaj na Słonecznej Krawędzi? Tak, widzę parasol przeciwsłoneczny. Ciekawe, kto to jest?

— Myślę, że to panna Darnley. To ona ma takie japońskie чудо.

Podpłynęli bliżej brzegu. Po lewej mieli otwarte morze.

— Powinniśmy byli okrążyć wyspę z drugiej strony. Teraz wiosłujemy pod prąd — zauważyła Emily.

— Prąd jest bardzo słaby. Wcześniej pływałem tutaj i nic nie czułem. Zresztą i tak nie moglibyśmy popłynąć w drugą stronę. Grobla nie jest zakryta.

— Oczywiście, to zależy od wysokości przyływu. Ale słyszałam, że kąpiel w Zatoczce Skrzata jest niebezpieczna, jeżeli wypłynie się za daleko.

Patrick nadal energicznie wiosłował, a równocześnie przeszukiwał wzrokiem przybrzeżne skały.

Emily Brewster pomyślała nagle: „Szuka tej Marshall. Dlatego chciał wypłynąć ze mną. Nie pokazała się dziś rano i Redfern zastanawia się, do czego ona zmierza. Z pewnością zrobiła to umyślnie. Żeby go bardziej rozpalić”.

Okружили występ skalny zamykający od południa małą Zatoczkę Skrzata. Plaża w zatoczce, osłonięta wysoko wystrzelającą w górę krawędzią skalną i upstrzona głazami o fantastycznych kształtach, otwierała się na północny zachód. Było to ulubione miejsce na popołudniowe pikniki. Rano, kiedy słońce tu nie docierało, rzadko kto tu przychodził.

Tym razem jednak na plaży zauważyli postać ludzką. Patrick Redfern odruchowo zahamował, ale zaraz opanował się i powiedział z udaną obojętnością:

— Oho, a któż to?

Panna Brewster odparła sucho:

— Wygląda, że pani Marshall.

— Rzeczywiście — przytaknął, jak gdyby zaskoczony, Patrick Redfern.

Zmienił kurs i skierował łódź w stronę brzegu.

— Nie chcieliśmy przecież przybijać tutaj do brzegu, prawda? — zaprotestowała Emily Brewster.

Patrick Redfern odparł pospiesznie: — Och, mamy masę czasu.

Patrzył jej w oczy... i to naiwne, proszące spojrzenie zebrzącego psa zamknęło Emily Brewster usta. Pomyślała: „Biedny chłopiec, głęboko go to ugodziło. Cóż, nic na to nie poradzę. Przejdzie mu z czasem.” Łódź szybko zbliżała się do brzegu. Arlena Marshall leżała twarzą ku ziemi, ramiona miała rozrzucone. Niedaleko spoczywała wyciągnięta na brzeg biała łódeczka.

Na ten widok Emily Brewster odczuła zdziwienie. Miała uczucie, że spogląda na coś dobrze znanego, ale jeden z elementów nie pasował do tego obrazu. Dopiero po chwili pojęła, dlaczego ją to zastanowiło. Arlena Marshall spoczywała w typowej pozie osoby opalającej się w słońcu. Wiele razy leżała tak na hotelowej plaży: wyciągnięta, opalona na brąz ciało z głową i szyją osłoniętą zielonym, tekturowym kapelusikiem.

Ale na plaży w Zatoczce Skrzata nie było słońca i miało go nie być jeszcze przez kilka godzin. Wysoka skała osłaniała raniem plażę przed słońcem. Emily Brewster ogarnęło niejasne uczucie niepokoju.

Łódź dotknęła brzegu. Patrick Redfern zawołał:

— Hej, Arleno!

W tej chwili niejasne przecucie Emily Brewster zmieniło się w bardzo konkretny lęk, gdyż spoczywająca postać nie drgnęła i nie odpowiedziała na ich wołanie.

Emily dostrzegła, że twarz, Patricka zmieniła się. Wyskoczył z łodzi, a ona za nim. Wyciągnęli łódź na brzeg i pobiegli plażą ku nieruchomej i milczącej postaci u stóp skały.

Patrick Redfern dotarł tam pierwszy, Emily Brewster była tuż za nim.

Spoglądała niby we śnie na brązowe członki, biały kostium kąpielowy bez pleców... rudy pukiel włosów wynurzający się spod szmaragdowozielonego kapelusika... Ujrzała jeszcze coś... dziwny, nienaturalny układ rozpostartych ramion. Zrozumiała, że Arlena nie położyła się sama, ale została rzucona... Patrick klęczał przy nieruchomym kształcie, dotykał dłoni... ramienia. Uszu Emily dobiegł jego cichy, przerażony szept:

— Mój Boże, ona nie żyje...

Uniósł nieco kapelusik, spojrzał na szyję:

— O Boże, uduszono ją... zamordowano.

VI

Mieli wrażenie, że czas zatrzymał się. Ogarnięta przedziwnym poczuciem nierzeczywistości, Emily Brewster usłyszała swoje słowa:

— Nie wolno nam niczego dotykać... zanim nie przybędzie policja.

Redfern przytaknął mechanicznie:

— Nie... nie... oczywiście, że nie. — Po chwili dodał głębokim, rozpaczliwym szeptem: — Kto? Kto? Kto mógł to zrobić Arlenie? Nie mogli jej zamordować. To nie może być prawda!

Emily Brewster potrząsnęła głową nie wiedząc, co odpowiedzieć. Usłyszała, że wciągnął gwałtownie powietrze. Z cichą, tłumioną wściekłością w głosie wyrzucił z siebie:

— Mój Boże, obym dostał w ręce tego plugawego diabła, który to zrobił!

Emily Brewster zadrżała. Wyobraźnia podsunęła jej obraz mordercy czającego się za jednym z głazów. Usłyszała swój głos:

— Ktokolwiek to zrobił, nie pozostał tutaj. Musimy sprowadzić policję. Może... — zawahała się — jedno z nas powinno tu zostać przy ciele.

Patrick Redfern powiedział:

— Ja zostanę.

Emily Brewster westchnęła cicho z ulgą. Nie należała do kobiet, które przyznałyby, że odczuwają lęk, ale w skrytości ducha była wdzięczna, że nie musi pozostać na tej plaży sama, jeśli istniała choćby najmniejsza możliwość, że w pobliżu kryje się szaleniak—morderca.

— Dobrze — powiedziała. — Zrobię to tak szybko, jak to możliwe. Wezmę łódź. Nie mogę patrzeć na tę drabinę. W zatoce Leathercombe jest policjant.

Patrick Redfern szepnął automatycznie:

— Tak... tak, niech pani zrobi, co pani uzna na stosowne.

Emily Brewster wsiadła do łodzi i energicznie wiosłując, oddalała się od brzegu. Gdy rzuciła okiem na brzeg, Patrick z twarzą ukrytą w dłoniach klęczał przy zmarłej. W jego postawie było coś tak smutnego, że wbrew woli odczuła litość. Wyglądał jak pies strzegący martwego pana. Mimo współczucia zdrowy rozsądek mówił jej: „To najlepsze, co mogło przydarzyć się jemu

— i jego żonie... a także Marshallowi i dziecku... ale nie sądzę, żeby on to tak odebrał, biedaczek”.

Emily Brewster zawsze umiała stawić czoło nadzwyczajnym okolicznościom.

Rozdział piąty

Inspektor Colgate stał oparty plecami o skałę czekając, aż lekarz policyjny zakończy oględziny zwłok Arleny. Patrick Redfern i Emily Brewster stali nieco z boku.

Doktor Neasden uniósł się z kolan szybkim, zwinnym mchem.

— Uduszona... — powiedział — i to bardzo silnymi dłońmi. Wydaje się, że nie stawiała dużego oporu. Została zaskoczona. Hm... bardzo paskudna sprawa.

Emily Brewster prędko odwróciła oczy, gdy zobaczyła twarz martwej kobiety. Ohydnie wykrzywione, sine rysy. Inspektor Colgate zapytał:

— Kiedy nastąpiła śmierć?”

— Nie mogę określić dokładnie — odparł z irytacją Neasden — zanim nie będę wiedział czegoś więcej. Trzeba brać pod uwagę wiele czynników. Zaraz... teraz jest za piętnaście pierwsza. O której godzinie ją znaleźliście?

Patrick Redfern, do którego zwrócone było pytanie, odpowiedział niepewnie:

— Przed dwunastą. Nie wiem dokładnie. Emily Brewster uściśliła:

— Było dokładnie za kwadrans dwunasta, kiedy odkryliśmy, że nie żyje.

— Ach, tak. Przybyliście państwo łodzią. O której dostrzeżliście, że tu leży?

Emily Brewster zastanowiła się.

— Myślę, że okrążyliśmy przylądek pięć albo sześć minut wcześniej. — Zwróciła się do Redferna.

— Zgadza się pan?

Odpowiedział odruchowo:

— Tak, tak... myślę, że mniej więcej o tej porze. Neasden przyciszonym głosem zapytał inspektora:

— To mąż? Och! Widzę, że się omyliłem. Myślałem, że to mąż. Wygląda, jakby go zważyło z nóg.

— Powiedzmy — powiedział już głośniejszym, rzeczowym tonem — że była za dwadzieścia dwunasta. Zabito ją niewiele wcześniej. Powiedzmy, między jedenastą a jedenastą czterdzieści... z pewnością nie wcześniej niż za piętnaście jedenasta.

Inspektor zamknął z rozmachem swój notes.

— Dziękuję — rzekł. — To powinno nam pomóc. Bardzo zawęża ramy... pozostaje mniej niż godzina.

Zwrócił się do panny Brewster:

— Do tej chwili, jak mi się wydaje, wszystko jest jasne. Pani jest panną Emily Brewster, a to jest pan Patrick Redfern. Oboje zamieszkujecie w hotelu „Wesoły Roger”. Potwierdzacie państwo, że zmarła, podobnie jak wy, mieszkała w tym hotelu i była żoną kapitana Marshalla?

Emily Brewster przytaknęła ruchem głowy.

— Sądzę — powiedział inspektor Colgate — że powinniśmy udać się teraz do hotelu.

Skinął na policjanta.

— Hawkes, zostaniesz tutaj i nie pozwolisz nikomu zbliżyć się do tego miejsca. Później przyślę tu Phillipsa.

II

— Na mą duszę! — powiedział pułkownik Weston. — To prawdziwa niespodzianka, że spotykam tu pana!

Herkules Poirot uprzejmie odwzajemnił powitanie szefa policji i dodał półgłosem:

— Ach, tak, wiele lat minęło od czasu tej sprawy w St. Loo.

— Ja o niej nie zapominałem — zapewnił Weston. — To było największe zaskoczenie w moim życiu! Do tej pory nie mogę pojąć, jak pan zaaranżował tę aferę z pogrzebem. Wszystko absolutnie odbiegało od utartych wzorów postępowania. Fantastyczne!

— *Tout de même, mon Colonel** — powiedział Poirot — wyszło to na dobre, prawda?

— Hm... tak, możliwe. Chociaż śmiem twierdzić, że dotarlibyśmy do celu bardziej ortodoksyjnymi metodami.

— Możliwe — przyznał dyplomatycznie Poirot.

— I oto znalazł się pan znowu w sercu afery — powiedział szef policji. — Czy ma pan już jakieś pomysły?

— Nic określonego... — rzekł po namyśle Poirot — ale rzecz jest interesująca.

— Pomoże nam pan?

— Jeśli pan pozwoli.

— Mój drogi, będę szczęśliwy ze współpracy. Nie wiem jeszcze, czy należy przekazać tę sprawę Scotland Yardowi. Na pierwszy rzut oka wygląda, że morderca musi być niedaleko. Z drugiej strony, wszyscy ci ludzie są tu obcy. Żeby dowiedzieć się czegoś o nich i o możliwych motywach, trzeba skontaktować się z Londynem.

Poirot skinął głową.

— Tak, to prawda.

— Przede wszystkim — powiedział Weston — musimy dowiedzieć się, kto ostatni widział ją żywą. O dziewiątej pokojówka zaniósł jej śniadanie do pokoju. Około dziesiątej dziewczyna w recepcji na dole widziała, jak wychodziła z hotelu.

— Mój przyjacielu — powiedział Poirot — podejrzewam, że to ja właśnie jestem tym człowiekiem, którego pan poszukuje.

— Widział pan ją dziś rano? O której?

— Pięć minut po godzinie dziesiątej. Pomogłem jej zepchnąć łódkę na wodę.

— I odpłynęła na niej?

— Tak.

— Sama?

— Tak.

— Czy dostrzegł pan, w jakim kierunku popłynęła?

— Wiosłowała wokół przylądka, tamtędy, w prawo.

— To znaczy w kierunku Zatoczki Skrzata?

— Tak.

— O której to mogło być?

— Powiedziałbym, że opuściła plażę piętnaście po dziesiątej.

Weston zastanowił się.

— To by się zgadzało dość dokładnie. Ile czasu, pańskim zdaniem, zajęłoby jej dopłynięcie do zatoczki?

— Nie jestem ekspertem! Nie wiosłuję. Być może około pół godziny.

— Ja też myślę, że zajęło jej to mniej więcej tyle czasu — zgodził się pułkownik. — Sądzę, że się nie spieszyła. Jeśli przybyła tam kwadrans przed jedenastą, wszystko by się zgadzało.

— A kiedy zdaniem lekarza nastąpił zgon?

— Neasden nie chce jeszcze się ostatecznie wypowiadać. To ostrożny facet. Najwcześniej, według niego, za piętnaście jedenasta.

Poirot skinął głową.

— Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym poruszyć. Odpływając, pani Marshall poprosiła mnie, abym nikomu nie wspominał, że ją widziałem.

Weston otworzył szeroko oczy.

— Hm, to daje do myślenia, prawda?

— Tak — mruknął Poirot — i ja tak to odczułem. Weston szarpnął swój wąsik.

— Niech pan posłucha, Poirot — rzekł. — Jest pan światowcem. Jaką kobietą była pani Marshall?

Lekki uśmiech pojawił się na ustach Poirota. Zapytał:

— Nie słyszał pan jeszcze? Szef policji odpowiedział sucho:

— Wiem, co mówią o niej kobiety. To do nich podobne. Ile jest w tym prawdy? Czy miała romans z tym Redfernem?

— Bez wątpienia.

— Przyjechał tu za nią, co?

— Są przyczyny, aby w to wierzyć.

— A mąż? Czy wiedział? Co czuł? Poirot odpowiedział po namyśle:

— Niełatwo wiedzieć, co myśli albo co czuje kapitan Marshall. Jest to człowiek, który nie okazuje swych uczuć.

Weston powiedział szorstko:

— Lecz mimo to może im podlegać. Poirot potakująco skinął głową.

— Oczywiście.

III

Szef policji traktował panią Castle z ogromnym taktem.

Pani Castle — właścicielka i kierowniczka hotelu „Wesoły Roger” — była kobietą mniej więcej czterdziestoletnią, o wielkim biuście, włosach barwionych chną na kolor intensywnie czerwony i niemal obelżywie wyszukany sposóbie wysławiania się.

— Że też coś takiego musiało się zdarzyć w moim hotelu! — jęczała. — Głowę bym dała, że zawsze był najspokojniejszym miejscem, jakie można sobie wyobrazić! Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, są tacy mili. Żadnych awantur... jeżeli wie pan, co mam na myśli. Nie tak jak w tych wielkich hotelach w St. Loo.

— Zupełnie słusznie, pani Castle — uspokajał ją pułkownik Weston. — Lecz takie wypadki zdarzają się nawet w najlepszych... zakładach.

— Jestem pewna, że inspektor Colgate potwierdzi moje słowa — powiedziała pani Castle posyłając błagalne spojrzenie inspektorowi Colgate'owi, który siedział przybrawszy bardzo urzędową minę. — Jeśli chodzi o wyszynk, to skrupulatnie przestrzegam wszystkich praw. Nie było nigdy najmniejszego wykroczenia!

— Zapewne, zapewne — rzekł Weston. — Nie winimy pani w najmniejszym stopniu, pani Castle.

— Ale to się odbija na przedsiębiorstwie — pożałowała się pani Castle, a jej wielki biust uniósł się gwałtownie. — Kiedy pomyślę o tych hałaśliwych tłumach gapiów! Oczywiście, nikt prócz gości hotelowych nie ma dostępu na wyspę, ale na pewno pojawią się i będą pokazywali nas palcami z brzegu. — Wzdrygnęła się.

Inspektor Colgate dostrzegł szansę skierowania rozmowy na właściwy tor.

— A propos tego, o czym pani przed chwilą wspomniała, dostępu na wyspę. Jak pani udaje się nie wpuszczać obcych?

— Przestrzegam tego jak najściślej.

— Tak, ale jakim sposobem? Co ich utrzymuje z dala? Latem urlopowicze roją się jak muchy.

Pani Castle ponownie się wzdrygnęła.

— Wszystkiemu są winne autokary wycieczkowe — wyjaśniła. — Widziałam ich kiedyś osiemnaście na raz, zaparkowanych przy nadbrzeżu w zatoce Leathercombe.

— Właśnie. Jak pani broni się przed inwazją na .wyspę?

— Powiesiłam tablice. A w czasie przyływu jesteśmy odcięci.

— A w czasie odpływu?

Pani Castle wyjaśniła, że na końcu grobli od strony wyspy jest furta, a na niej napis: „Hotel «Wesoły Roger». Posiadłość prywatna. Wstęp jedynie dla gości hotelowych”. Po obu stronach skały wyrastają wprost z morza i nie da się na nie wspiąć.

— Jednak każdy mógłby wynająć łódź, opłynąć wyspę i wylądować w jednej z zatoczek? Nie ma pani na to wpływu. Każdy może korzystać z plaży między odpływem a przyływem.

Lecz taka sytuacja, jak się okazało, zdarzała się bardzo rzadko. Wprawdzie można wynająć łódź na przystani w zatoce Leathercombe. ale stamtąd jest daleko do wyspy. Poza tym tuż koło przystani Leathercombe trzeba by było walczyć z przeciwnym prądem. Nie wspominając o umieszczonych pod drabiną tablicach przy Zatoczce Mew i Zatoczce Skrzata. A plaży hotelowej, znajdującej się najbliżej stałego lądu, strzegli zawsze George i William.

— Kim są George i William?

— George obsługuje plażę. Pilnuje kostiumów kąpielowych i łódek. William jest ogrodnikiem. Dbą o ścieżki, wyznacza linie na kortach tenisowych i zajmuje się podobnymi sprawami.

Pułkownik Weston powiedział niecierpliwie:

— Cóż, wszystko jest jasne. Przedostanie się tu z zewnątrz jest możliwe, ale wiąże się to z pewnym ryzykiem... ryzykiem, że zostanie się dostrzeżonym. Zamieńmy teraz kilka słów z George'em i Williamem.

— Nie lubię tych wycieczek — rzekła pani Castle — zachowują się hałaśliwie i rzucają skórki z pomarańczy i puste pudełka po papierosach na groblę i pod skały, ale mimo wszystko nigdy nie pomyślałabym, że ktoś z nich może okazać się mordercą. Doprawdy, to naprawdę okropne! Dama taka jak pani Marshall, zamordowana, a — co jeszcze straszniejsze... — uduszona...

Pani Castle z trudem zdobyła się na wypowiedzenie tego ostatniego słowa. Uczyniła to z najwyższą niechęcią.

Inspektor Colgate powiedział pojednawczym tonem:

— Tak, to paskudna sprawa.

— A gazety? Mój hotel na łamach gazet!

— No cóż — stwierdził Colgate z niemal niedostrzegalnym uśmiechem — jest to swego rodzaju reklamą.

Pani Castle wyprostowała się. Jej pierś zafalowała gwałtownie. Zaskrzypiały fiszby gorsetu.

— Nie zależy mi na takiej reklamie, panie Colgate. Pułkownik Weston wtrącił szybko:

— Czy mogłaby pani udostępnić nam listę gości, o którą panią prosiłem?

— Tak, proszę pana.

Pułkownik Weston pochylił się nad księgą hotelową. Spojrzał w kierunku Poirota, który uzupełniał grono zebranych w gabinecie pani Castle.

— Prawdopodobnie będzie pan mógł udzielić nam teraz pomocy.

Odczytał nazwiska.

— A służba?

Pani Castle podała mu drugą listę.

— Mam cztery pokojówki, starszego kelnera i trzech innych, którzy mu podlegają. Jest także Henry i William, który czyści buty. Prócz tego kucharka i dwie pomoce kuchenne.

— Co z kelnerami?

— Cóż, proszę pana, Albert, mój dotychczasowy kelner przyszedł do mnie z „Vincenza” w Plymouth. Pracował tam przez parę lat. Ci trzej, którymi kieruję, są u mnie od trzech lat... jeden z nich nawet cztery. To bardzo mili chłopcy i bardzo przyzwoici. Henry jest tu od chwili otwarcia hotelu. Stał się niemal instytucją.

Weston skinął głową.

— Wydają się w porządku. Trzeba to, oczywiście, sprawdzić. Dziękuję, pani Castle.

— Nie będzie pan potrzebował niczego więcej?

— W tej chwili nie.

Pani Castle wyszła z pokoju skrzypiąc fiszbinami.

— Najpierw trzeba pomówić z kapitanem Marshallem — powiedział Weston.

IV

Kenneth Marshall siedział nieruchomo, odpowiadając na zadawane mu pytania. Gdyby nie lekkie stężenie rysów, twarz jego mogłaby wydawać się spokojna. Przyglądając mu się teraz, w świetle słonecznym padającym z okna, widać było, że jest przystojnym mężczyzną. Ostre rysy, spokojne błękitne oczy, silne usta. Głos miał niski i miły. Pułkownik Weston powiedział:

— Rozumiem doskonale, kapitanie Marshall, jakim straszliwym wstrząsem musi to być dla pana. Ale zdaje pan sobie sprawę, że pragnę zdobyć jak najprędzej największą ilość informacji.

Marshall skinął potakująco głową.

— Rozumiem to doskonale — rzekł. — Proszę mówić dalej.

— Pani Marshall była pańską drugą żoną?

— Tak.

— Ja długo byliście państwo po ślubie?

— Nieco ponad cztery lata.

— A jej nazwisko panieńskie?

— Helen Stuart. Jej nazwisko sceniczne brzmiało Arlena Stuart.

— Była aktorką?

— Grała w rewii i musicalach.

— Czy porzuciła scenę wychodząc za mąż?

— Nie. Grała nadal. Wycofała się naprawdę dopiero półtora roku temu.

— Czy istniał jakiś specjalny powód? Kenneth Marshall zastanawiał się przez chwilę.

— Nic. Po prostu stwierdziła, że jest zmęczona tym wszystkim.

— A nie stało się to... hm... na pańskie wyraźne życzenie?

Marshall uniósł brwi.

— Och, nie.

— Był pan zadowolony, że po ślubie nadal występowała?

Marshall uśmiechnął się blado.

— Wolałbym, żeby dała spokój... tak. Lecz nie stawiałem żadnych przeszkód.

— Nie wywoływało to nieporozumień?

— Oczywiście, że nie. Moja żona miała pełną swobodę. Mogła robić, co chciała.

— A czy małżeństwo to było szczęśliwe? Kenneth Marshall odpowiedział chłodno:

— Oczywiście.

Pułkownik Weston milczał przez chwilę. Później zapytał:

— Kapitanie Marshall, czy ma pan choćby cień podejrzenia, kto mógł zabić pańską żonę?

— Najmniejszego — odpowiedział bez wahania.

— Czy miała wrogów?

— Być może.

— A więc?

— Proszę mnie źle nie zrozumieć — wyjaśnił szybko. — Moja żona była aktorką. A także bardzo przystojną kobietą. W jednym i drugim wypadku wzbudzała pewną zazdrość i zawiść. Były spory o role, rywalizacja z innymi kobietami, było wiele zawiści, nienawiści, złości i wszelkiego rodzaju niechęci! Ale to wszystko nie oznacza, aby istniał ktoś zdolny do zamordowania jej z zimną krwią.

Herkules Poirot przemówił po raz pierwszy. Powiedział:

— To, co pan chce w rzeczywistości powiedzieć, *monsieur*, oznacza, że wrogami jej były wyłącznie kobiety?

Kenneth Marshall rzucił mu spojrzenie ponad stołem.

— Tak — przyznał — to prawda.

— Nie słyszał pan o żadnym mężczyźnie — spytał szef policji — który mógł być do niej wrogo nastawiony?

— Nie.

— Czy znała wcześniej kogoś, kto przebywa obecnie w tym hotelu?

— Wydaje mi się, że wcześniej poznała pana Redferna... podczas jakiegoś cocktailu. O ile wiem, nikogo więcej.

Weston zamilkł. Zdawał się zastanawiać, czy powinien rozwinąć ten temat. W końcu zdecydował go nie kontynuować.

— Omówmy dzisiejszy poranek. Kiedy po raz ostatni widział pan swoją żonę?

Marshall milczał przez chwilę.

— Zajrzałem do niej w drodze na śniadanie.

— Proszę mi wybaczyć, czy zajmowaliście państwo osobne pokoje?

— Tak.

— A która wtedy była godzina?

— Musiała być mniej więcej dziewiąta.

— Co wtedy robiła?

— Otwierała listy.

— Czy coś mówiła?

— Nic szczególnie ciekawego. Po prostu: dzień dobry... i że ładny mamy dzień... coś takiego.

— Jak się zachowywała? Czy było w jej zachowaniu coś niezwykłego?

— Nie. Zachowywała się tak jak zwykle.

— Nie wydawała się przygnębiona, podniecona, albo wyprowadzona z równowagi?

— Nie zauważyłem.

— Czy w ogóle wspominała o treści listów, które otrzymała? — spytał Herkules Poirot.

Ponownie na wargach Marshalla pojawił się nikły uśmiech.

— O ile pamiętam, powiedziała, że to wyłącznie rachunki.

— Czy pana żona jadała śniadania w łóżku?

— Tak.

— Czy zawsze?

— Niezmiennie.

— O której schodziła zwykle na dół? — wtrącił się Herkules Poirot

— Między dziesiątą a jedenastą... zwykle bliżej jedenastej.

— Fakt, że zeszła dokładnie o dziesiątej, mógłby się wydać raczej zaskakujący? — ciągnął Poirot.

— Tak. Rzadko pojawiała się tak wcześnie.

— Ale dziś rano pojawiła się o tej godzinie. Jak pan sądzi, dlaczego?

Marshall odparł nieporuszenie:

— Nie mam pojęcia. Może sprawiła to pogoda... piękny poranek i tak dalej.

— Zauważył pan jej nieobecność?

Kenneth Marshall poruszył się lekko w krześle. Powiedział:

— Zajrzałem do niej znowu po śniadaniu. Pokój był pusty. Zdziwiło mnie to trochę.

— A później zszedł pan na plażę i zapytał mnie pan, czy jej nie widziałem?

— Co?... A tak. — I dodał z lekkim naciskiem w głosie. — A pan powiedział, że jej pan nie widział...

Niewinne oczy Herkulesa Poirota nie drgnęły. Łagodnie głaskał obfite wąsy. Weston zapytał:

— Czy miał pan jakiś szczególny powód, by szukać swej żony dzisiejszego ranka?

Marshall przeniósł spojrzenie na szefa policji.

— Nie — odparł — zastanawiałem się tylko, gdzie może być, to wszystko.

Weston zrobił pauzę. Przesunął się nieco z krzesłem i spytał innym tonem:

— Przed chwilą, kapitanie Marshall, wspomniał pan, że pańska żona zawarła wcześniej znajomość z panem Patrickiem Redfernem. Jak dobrze pańska żona znała pana Redferna?

— Czy mogę zapalić? — Kenneth Marshall dotknął swych kieszeni. — A niech to! Zapodziałem gdzieś fajkę.

Poirot zaoferował mu papierosa, którego tamten przyjął. Zapalając go rzekł: — Pytał pan o Redferna? Żona powiedziała mi, że spotkała go na jakimś cocktailu.

— Był więc jedynie dalekim znajomym?

— Tak sądzę.

— Od owego czasu... jak sądzę — szef policji znów zrobił pauzę — znajomość ta dojrzała i przemieniła się w coś bliższego.

Marshall powiedział ostro:

— Tak pan sądzi? Kto panu to powiedział?

— Taka plotka krąży po całym hotelu.

Pełne chłodnego gniewu oczy Marshalla zatrzymały się na krótko na panu Herkulesie Poirocie. Powiedział:

— Plotka hotelowa jest zwykle stekiem kłamstw.

— Możliwe. Ale wydaje mi się, że pan Redfern i pańska żona dostarczyli tej plotce pewnych podstaw.

— Jakich podstaw?

— Przebywali nieustannie w swym towarzystwie.

— Czy to wszystko?

— Nie zaprzecza pan, że tak było?

— Być może. Nie zwróciłem na to uwagi.

— Czy pan (proszę mi wybaczyć, kapitanie Marshall) nie miał zastrzeżeń wobec przyjaźni pana żony z panem Redfermem?

— Nie miałem zwyczaju krytykowania zachowania mojej żony.

— Nie zaprotestował pan ani nie zganił pan tego w żaden sposób?

— Oczywiście, że nie.

— Nawet wówczas, kiedy zaczynało to być źródłem skandalu, a pomiędzy panem Redfermem i jego żoną nastąpiło oziębienie?

Kenneth Marshall powiedział chłodno:

— Nie wtrącam się w cudze sprawy i oczekuję, że inni nie będą się wtrącać w moje. Nie wysłuchuję plotek i paplaniny.

— Nie zaprzecza pan, że pan Redfern uwielbiał pańską żonę?

— Zapewne uwielbiał. Większość mężczyzn to czyniła. Była bardzo piękną kobietą.

— Ale pan był przekonany, że to nic poważnego?

— Powiadam panu, że nigdy nie przyszło mi to do głowy.

— A przypuścimy, że mamy świadka, który zeznałby, że łączyła ich oboje największa zażyłość?

Ponownie błękitne oczy skierowały się w stronę Poirota, a na tej zwykle niewzruszonej twarzy ukazał się wyraz niechęci.

Marshall powiedział:

— Jeśli chcecie, możecie panowie słuchać tych bajek. Moja żona nie żyje i nie może się bronić.

— Chce pan powiedzieć, że osobiście w nie pan nie wierzy?

Po raz pierwszy na czole Marshalla pojawiły się drobne kropelki potu.

— Nigdy nie daję wiary plotkom. Czy nie oddalacie się za dużo — ciągnął — od sedna sprawy? To, w co ja wierze czy nie wierzę, nie jest chyba istotne dla prostego morderstwa?

— Nie rozumie pan tego, kapitanie Marshall — wtrącił się Herkules Poirot, zanim któryś z pozostałych zdążył przemówić. — Proste morderstwo nie istnieje. W dziewięciu wypadkach na dziesięć morderstwo zależy od charakteru zamordowanej osoby i okoliczności. Ofiara została zamordowana, ponieważ była osobą takiego czy innego rodzaju. Póki nie będziemy w pełni i szczegółowo wiedzieć, jaką dokładnie osobą była Arlena Marshall, nic nie będziemy również wiedzieć, kto mógł ją zamordować. Dlatego musimy zadawać pytania.

Marshall zwrócił się ku szefowi policji:

— Czy to także pański pogląd?

Weston spróbował zrobić unik. Powiedział:

— Do pewnego stopnia... to znaczy, chcę powiedzieć...

Marshall roześmiał się krótko.

— Tak pomyślałem, że pan się z tym nie zgodzi. Igraszki z charakterami to, jak mi się wydaje, specjalność pana Poirota.

Poirot odparł z uśmiechem:

— Może pan sobie pogratulować, że nie uczynił pan niczego, co mogłoby mi pomóc.

— Co pan ma na myśli?

— Cóż nam pan powiedział o swojej żonie? Dokładnie nic. Zdradził pan jedynie to, co każdy mógł sam zauważyć. Że była piękna i podziwiana. Nic więcej.

Kenneth Marshall wzruszył ramionami.

— Jest pan obłąkany — skomentował. Zwrócił wzrok ku szefowi policji.

— Czy jest jeszcze coś. o co chciałby pan mnie zapytać?

— Tak, kapitanie Marshall, o to, gdzie pan przebywał dziś rano, jeśli można prosić.

Kenneth Marshall skinął głową. Najwyraźniej oczekiwał tego.

— Mniej więcej o dziewiątej zjadłem śniadanie na dole i przeczytałem gazetę. Jak panom powiedziałem, zszedłem na górę do pokoju mojej żony i stwierdziłem, że jej tam nie ma. Zszedłem więc na plażę, spotkałem pana Poirota i zapytałem, czy ją widział. Później wziąłem krótką kąpiel w morzu i wróciłem do hotelu. Była wówczas, niech się zastanowię, mniej więcej za dwadzieścia jedenasta... tak, chyba tak. Spojrzałem na zegar w hallu. Brakowało dwudziestu minut do jedenastej. Poszedłem do mego pokoju, ale pokojówka nie dokończyła jeszcze sprzątanego. Poprosiłem, żeby skończyła tak prędko, jak może. Miałem kilka listów do napisania na maszynie, które chciałem wysłać pocztą. Zszedłem na dół i zamieniłem w barze kilka słów z Henrym. Za dziesięć jedenasta udałem się znów na górę do mego pokoju. Tam do godziny za dziesięć dwunasta pisałem na maszynie owe listy. Później przebrałem się w strój do tenisa, bo byłem o dwunastej umówiony na korcie. Zamówiliśmy kort dzień wcześniej.

— Z kim pan zamówił kort?

— Pani Redfern, panna Darnley, pan Gardener i ja. O dwunastej zszedłem i udałem się na kort. Była tam panna Darnley i pan Gardener. Pani Redfern zjawiała się kilka minut później. Graliśmy w tenisa przez godzinę. Gdy tylko wróciliśmy do hotelu, otrzymałem... tę wiadomość.

— Dziękuję, kapitanie Marshall. Żeby uczynić zadość formalności: czy jest ktoś, kto mógłby potwierdzić, że pisał pan w swoim pokoju pomiędzy godziną za dziesięć jedenasta... a za dziesięć dwunasta?

Kenneth Marshall powiedział z niedostrzegalnym niemal uśmiechem:

— Czy sądzi pan, że zabiłem moją własną żonę? Niech się zastanowię. W pobliżu była pokojówka, sprzątała pokoje. Musiała słyszeć maszynę do pisania. A poza tym są listy. Byłem wytrącony z równowagi i nie wysłałem ich. Wydaje mi się, że stanowią one niezły dowód.

Wyjął z kieszeni trzy koperty. Były zaadresowane, ale nie nalepiono na nie znaczków.

— Ich zawartość, mówiąc nawiasem, jest ściśle poufna. Ale w wypadku morderstwa człowiek zmuszony jest zaufać dyskrecji policji. Zawierają kolumny liczb i różne finansowe stwierdzenia. Myślę, że jeśli posadzi pan któregoś ze swoich ludzi i każe mu je napisać na maszynie, nie zdoła tego przepisać w mniej niż godzinę.

Urwał.

— Mam nadzieję, że satysfakcjonuje to pana? Weston odpowiedział gładko:

— To nie jest kwestia podejrzenia. Wszyscy na wyspie muszą wyjaśnić, co robili dzisiejszego ranka między godziną za piętnaście jedenasta a za dwadzieścia dwunasta.

— Rozumiem.

— Jeszcze jedno, kapitanie Marshall — dorzucił Weston. — Czy wie pan, jak pańska żona rozdzieliła majątek?

— Myśli pan o testamencie? Nie sędzę, aby kiedykolwiek sporządziła testament.

— Ale nie jest pan pewien?

— Wszystkie sprawy prawne załatwiała w spółce Barkett, Markett i Applegood, przy Bedford Square. Między innymi zajmowali się jej kontraktami. Ale jestem niemal pewien, że nigdy nie sporządziła testamentu. Powiedziała kiedyś, że sama myśl o spisaniu testamentu przyprawia ją o dreszcz.

— W takim wypadku, jeśli umarła nie sporządziwszy testamentu, pan, jako jej mąż, dziedziczy wszystko, co posiadała.

— Tak, przypuszczam, że tak.

— Czy miała jakichś bliskich krewnych?

— Nie sędzę. Jeśli miała, nigdy nie wspominała o nich. Wiem, że jej ojciec i matka umarli, kiedy była dzieckiem, a nie miała rodzeństwa.

— Nie miała, jak sędzę, większego majątku? Kenneth Marshall odparł chłodno:

— Przeciwnie. Dwa lata temu sir Robert Erskine, który był jej starym przyjacielem, umarł i pozostawił jej prawie całą swą fortunę. Wynosiła ona, jak mi się wydaje, około pięćdziesięciu tysięcy funtów.

Inspektor Colgate uniósł głowę. Spojrzenie jego stało się czujne. Do tej chwili milczał. Teraz powiedział:

— A pan nadal twierdzi, że nie sporządziła testamentu?

— Może pan zapytać radców prawnych. Ale jestem niemal pewien, że nie. Jak panom powiedziałem, uważała, że to przynosi nieszczęście.

Nastąpiła pauza, po której Marshall dodał:

— Czy jest jeszcze coś? Weston potrząsnął głową.

— Nie wydaje mi się... co, Colgate? Nie. Raz jeszcze, kapitanie Marshall, proszę pozwolić mi na złożenie współczucia z powodu ciężkiej straty.

Marshall zamrugał.

— Ach... dziękuję — powiedział gwałtownie i wyszedł.

Pozostali w pokoju mężczyźni spojrzeli na siebie znacząco. Weston powiedział:

— Zimny klient. Nie zdradza się z niczym? Co pan o nim sądzi, Colgate?

Inspektor potrząsnął głową.

— Trudno powiedzieć. Tacy jak on niczego po sobie nie okazują. Zeznając jako świadkowie w sądzie wywierają bardzo złe wrażenie, często niesłusznie. Z powodu takiego właśnie zachowania ława przysięgłych wydała skazujący wyrok na Wallace'a. Nie było dowodów, ale nie mogli po prostu uwierzyć, że po stracie żony człowiek może zachowywać się z takim chłodem. Weston zwrócił się do Poirota.

— Co pan sądzi, Poirot?

Herkules Poirot rozłożył bezradnie ręce.

— Cóż mogę powiedzieć? Ten człowiek zamknął się jak ostryga. Wybrał dla siebie taką rolę. Niczego nie słyszał, niczego nie widział, nic nie wie!

— Motywów mamy w bród — zauważył Colgate, — Zazdrość, pieniądze... W takich wypadkach mąż jest głównym podejrzanym. To naturalne, że najpierw on przychodzi na myśl. Jeśli wiedział, że jego pani zadaje się z tym drugim facetem...

— Myślę, że wiedział o tym — przerwał mu Poirot.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Niech pan posłucha, przyjacielu. Zeszłego wieczora rozmawiałem z panią Redfern w Słonecznym Zagłębieniu. Stamtąd poszedłem do hotelu, a po drodze zobaczyłem tamtych dwoje razem... panią Marshall i Patricka Redferna. Po chwili spotkałem kapitana Marshalla. Twarz miał nieruchomą. Nic nie wyrażała... zupełnie nic! Była niemal przesadnie pusta! Bez wątplenia wiedział o wszystkim.

— No cóż, jeżeli pan tak sądzi... — rzeki niepewnie Colgate.

— Jestem tego pewien! Ale i tak niewiele to nam mówi. Co czuł Kenneth Marshall do żony?

— Przyjął jej śmierć dość spokojnie — powiedział pułkownik Weston.

Poirot z niezadowoleniem potrząsnął głową.

— Czasem ci na pozór spokojni są bardzo gwałtowni, jeżeli można się tak wyrazić — rzeki inspektor Colgate.

— Wszystko w nich jest zakorkowane jak w butelce. Mógł być w niej do szaleństwa zakochany... i szaleńczo zazdrosny. Ale nie okazywał tego.

— To możliwe... tak — powiedział Poirot po namyśle.

— Bardzo ciekawy charakter... ten kapitan Marshall. Ogromnie mnie ciekawi. On i jego alibi.

— Alibi dzięki maszynie do pisania — Weston wybuchnął krótkim, szczekliwym śmiechem. — Co pan ma do powiedzenia, Colgate?

Inspektor Colgate podniósł wzrok.

— Cóż, wie pan, podoba mi się to alibi. Nie jest za dobre, ale wiecie panowie, co mam na myśli. Jest... naturalne. Jeśli pokojówka była gdzieś w pobliżu i potwierdzi, że słyszała stukot maszyny, to będziemy musieli rozejrzeć się za innym podejrzanym.

— Hm — powiedział pułkownik Weston. — Gdzie będzie się pan rozglądał?

VI

Przez kilka chwil trzech mężczyźni zastanawiali się nad tym pytaniem.

Pierwszy przemówił inspektor Colgate.

— Wszystko sprowadza się do tego: czy był to ktoś z zewnątrz, czy gość hotelowy. Nie wykluczam całkowicie służby, ale ani przez chwilę nie myślę, że ktoś z nich maczał w tym palce. Nie, to gość hotelowy albo ktoś z zewnątrz. Po pierwsze musimy rozważyć motyw. Zysk. Jediną osobą, która zyskałaby na śmierci tej pani, jest jej mąż, jak się wydaje. Jakie mogą być inne motywy? Najpierw i przede wszystkim zazdrość. Sądzę, na pierwszy rzut oka, że jeśli kiedykolwiek mieliśmy do czynienia z *crime passionnel** — kłonił się Poirotowi — jest nią właśnie ta zbrodnia.

Poirot spojrział ku sufitowi i szepnął:

— Jest tak wiele różnych namiętności. Inspektor Colgate ciągnął:

— Jej mąż nie dopuszcza myśli, aby mogła mieć wrogów... to znaczy prawdziwych wrogów, ale nie wierzy ani przez chwilę, że tak jest. Myślę, że kobieta jak ona mogła narobić sobie wielu wrogów... Co pan o tym sądzi?

— *Mais oui**, to prawda — odparł Poirot. — Arlena Marshall mogła narobić sobie wrogów. Ale moim zdaniem teoria wroga nie da się utrzymać, bo widzi pan, inspektorze, sądzą, jak powiedziałem przed chwilą, że wrogami jej byłyby zawsze kobiety.

Pułkownik Weston chrząknął i rzekł:

— Coś w tym jest. To właśnie kobiety były jej przeciwne.

— Nic wydaje się możliwe — podjął Poirot — żeby zbrodnia ta została popełniona przez kobietę. Co mówią oględziny lekarskie?

Weston znowu chrząknął.

— Neasden jest pewien, że została uduszona przez mężczyznę. Wielkie dłonie, potężny uścisk. Jest. Oczywiście, możliwe, choć nieprawdopodobne, że mogła to uczynić niezwykle atletyczna kobieta...

Poirot skinął głową.

— Właśnie. Arszenik w filiżance herbaty... pudełko zatrutych czekoladek... nóż... nawet pistolet... ale uduszenie... nie! Musimy szukać mężczyzny... I od razu sprawa staje się o wiele trudniejsza. W tym hotelu są dwie osoby, które miały powód do usunięcia Arleny Marshall z drogi... ale obie są kobietami. Pułkownik Weston zapytał:

— Jedną z nich jest, jak przypuszczam, żona Redferna?

— Tak. Pani Redfern mogła postanowić, że zabije Arlenę Stuart. Miała, powiedzmy sobie, ważną przyczynę. Myślę także, że pani Redfern mogłaby popełnić zbrodnię. Ale nie taką zbrodnię. Pomimo smutku i zazdrości nie jest ona, jak sądzę, kobietą o wielkich namiętnościach. W miłości zapewne jest oddana i lojalna... lecz nie namiętna. Jak już powiedziałem: arszenik w filiżance herbaty — tak, uduszenie — nie. Jestem także pewien, że fizycznie byłaby niezdolna do popełnienia tej zbrodni. Ma bardzo małe stopy i dłonie.

— Tej zbrodni nie dokonała kobieta — przytaknął Weston. — Nie, uczynił to mężczyzna.

Inspektor Colgate zakasłał.

— Proszę mi pozwolić na przedstawienie innego rozwiązania. Powiedzmy, że przed spotkaniem pana Redferna Arlena Stuart miała romans z kimś, kogo nazwiemy X. Rzuciła go dla Redferna. X oszalał z gniewu i zazdrości. Pojechał za nią, zamieszkał gdzieś w pobliżu, przybył na wyspę i załatwił ją. Czy jest to możliwe?

— Tak, jest to możliwe — powiedział Weston. — A jeśli to prawda, łatwo będzie o dowody. Czy przybył pieszo, czy łodzią? To drugie wydaje się prawdopodobniejsze. Jeśli tak, musiał gdzieś wynająć tę łódź. Powinien pan zarządzić dochodzenie.

Spojrzał na Poirota.

— Co pan sądzi o sugestii Colgate'a? Poirot odparł po namyśle:

— W pewien sposób pozostawia ona zbyt wiele przypadkowi. A poza tym... w którymś miejscu obraz ten jest nieprawdziwy. Widzi pan, nie umiem sobie wyobrazić tego człowieka... człowieka oszalałego z gniewu i zazdrości.

— Lecz ludzie dostawali kręćka na jej punkcie — upierał się Colgate. — Niech pan popatrzy na Redferna.

— Tak, tak... Ale mimo to... Colgate spojrzał na niego pytająco. Poirot potrząsnął głową.

— Coś nam musiało umknąć — rzekł marszcząc brwi.

Rozdział szósty

I

Pułkownik Weston czytał głośno listę gości hotelowych.

Odczytał głośno:

— Major Cowan z żoną, córka Pamela Cowan i synowie: Robert Cowan i Evan Cowan, zamieszkali w Rydals Mount, Leatherhead.

Pan Masterman z żoną i dziećmi: Edwardem Mastermanem, Jennifer Masterman, Royem Mastermanem i Frederickiem Mastermanem, zamieszkali przy Marlborough Avenue 5, Londyn.

Pan Gardener z żoną, oboje z Nowego Jorku.

Pan Redfern z żoną, zamieszkali w Crossgates, Seldon, Princes Risborough.

Major Bany, Cardon St. 18. St. James, Londyn. Pan Horace Blatt, Pickersgill Street 5, Londyn.

Monsieur Herkules Poirot, zamieszkały w Whitehaven Mansions, Londyn.

Panna Rosamund Darnley, zamieszkała przy Cardigan Court 8, Londyn.

Panna Emily Brewster, zamieszkała w Southgates, Sunbury-on-Thames.

Wielebny Stephen Lane, Londyn.

Kapitan Marshall z żoną i panna Linda Marshall, zamieszkali przy Upcott Mansions 73, Londyn.

Urwał.

Inspektor Colgate powiedział:

— Myślę, proszę pana, że możemy skreślić dwa pierwsze wpisy. Pani Castle powiedziała mi, że Master—manowie i Cowanowie przybywają tu regularnie każdego lata, wraz z dziećmi. Dziś rano wyruszyli na całodniową wycieczkę żeglarską i zabrali ze sobą prowiant. Odpłynęli tuż po dziewiątej, wraz z panem Andrew Bastonem, który użyczył im swojej łodzi. Możemy to sprawdzić, ale myślę, że oni raczej nie wchodzą w grę.

Weston skinął głową.

— Zgadza się. Wyeliminujmy, kogo się da. Czy może nam pan opisać pozostałych, panie Poirot?

— Charakterystyka powierzchowna jest łatwa. Gardenerowie to para w średnim wieku, mili, lubiący podróże. Cała władza spoczywa w rękach żony. Mąż zgadza się na wszystko. Gra w tenisa i golfa, kiedy spotka go pan bez żony, zdradza nawet swego rodzaju poczucie humoru.

— Brzmi to zupełnie sympatycznie.

— Następnie... Redfernowie. Pan Redfern jest młody, atrakcyjny dla kobiet, wspaniały pływak, dobrze gra w tenisa i pięknie tańczy. O jego żonie mówiłem już panom. Cicha, ładna, choć nieco bezbarwna. Myślę, że jest oddana mężowi. Ma ona coś, czego nie miała Arlena Marshall.

— Cóż to takiego?

— Rozum.

Inspektor Colgate westchnął.

— Rozum niewiele znaczy, kiedy w grę wchodzi ślepa namiętność, proszę pana.

— Być może. A jednak, szczerze wierzę, że Patrick Redfern pomimo ślepej namiętności do pani Marshall, naprawdę kocha swoją żonę.

— Być może, proszę pana. Nie byłoby to wyjątkiem.

— I to jest właśnie smutne — mruknął Poirot. — Kobietom najtrudniej w to uwierzyć.

— Major Barry — ciągnął. — Emerytowany oficer armii indyjskiej. Miłośnik kobiet. Opowiada długie i nużące historyjki.

Inspektor Colgate westchnął:

— Nie musi pan niczego dodawać. Spotkałem kilku takich.

— Pan Horace Blatt. Najwyraźniej jest zamożnym człowiekiem. Mówi dość dużo... o panu Blacie. Pragnie być przyjacielem wszystkich. To smutne. Gdyż nikt go za bardzo nie lubi. I jeszcze coś. Pan Blatt zeszłego wieczoru zasypywał mnie pytaniami. Czuł się niepewnie. Tak, pan Blatt jest niezupełnie w porządku.

Zawiesił głos, a później podjął innym tonem:

— Następna z kolei jest panna Rosamund Darnley. Prowadzi spółkę Rosa Mond, Ltd. Jest sławną projektantką mody. Cóż mogę o niej powiedzieć? Ma rozum, czar i wdzięk. Miło na nią patrzeć — urwał, a za chwilę dodał — i jest bardzo dawną przyjaciółką kapitana Marshalla.

Weston wyprostował się w krześle.

— Ach, czyżby?

— Tak. Nie widzieli się od lat. Weston zapytał:

— Nie wiedziała, że on przybędzie tutaj?

— Mówi, że nie. — Zamilkł na chwilę.

— Kto następny? Panna Brewster. Według mnie. jest nieco niepokojąca. — Potrząsnął głową. — Ma głos jak mężczyzna. Jest szorstka i wylewna. Lubi wiosłować i daje cztery punkty for w golfa — zawiesił głos. — Wydaje mi się jednak, że ma dobre serce.

— Pozostaje nam tylko wielebny Stephen Lane — powiedział Weston. — Kim jest wielebny Stephen Lane?

— Mogę panom rzec tylko jedno. Jest on w stanie wielkiego napięcia nerwowego. To, jak sędzę, fanatyk.

Inspektor Colgate powiedział:

— Tak, to ktoś taki.

— I to już wszyscy! — westchnął Weston i spojrzał na Poirota. — Wydaje się pan zagubiony w myślach,

przyjacielu?

— Tak. Ponieważ, widzi pan, gdy pani Marshall odpływała dziś rano i poprosiła mnie, abym nikomu nie mówił o tym, wyciągnąłem od razu pewien wniosek. Pomyślałam, że jej przyjaźń z Patrickiem Redfernem doprowadziła do spięcia z mężem. Sądziłem, że udaje się na spotkanie z Patrickiem Redfernem i nie chce, aby jej mąż dowiedział się, gdzie są. — Urwał. — Ale tu właśnie, widzi pan, omyliłem się. Bo choć mąż jej pojawił się niemal natychmiast na plaży i zapytał, czy jej nie widziałem, Patrick Redfern też tam przybył i najwyraźniej rozglądał się za nią! Dlatego, moi przyjaciele, zastanawiam się, z kim miała się spotkać Arlena Marshall?

Inspektor Colgate powiedział:

— To zgadza się z moim pomysłem. Z człowiekiem z zewnątrz, na przykład z Londynu.

Herkules Poirot potrząsnął głową.

— Mój przyjacielu — rzekł — zgodnie z pańską teorią Arlena Marshall zerwała z tym człowiekiem. Dlaczego więc miałyby włożyć tyle wysiłku i kłopotów w zorganizowanie spotkania?

Inspektor Colgate spytał z niedowierzaniem:

— A pan sądzi, że kto to był?

— Tego właśnie nie umiem sobie wyobrazić. Przeczytaliśmy przed chwilą pełną listę gości hotelowych. Są to ludzie w średnim wieku... nieciekawi. Którego z nich Arlena Marshall pragnęłaby bardziej niż Patricka Redferna? Nie, to niemożliwe. A jednak, mimo wszystko, udała się na spotkanie z kimś... a tym kimś nie był Patrick Redfern.

— Czy nie sądzi pan — mruknął Weston — że po prostu wyruszyła samotnie?

Poirot zaprzeczył ruchem głowy.

— *Mon cher** — powiedział — widać od razu, że nie spotkał pan nigdy zmarłej. Ktoś kiedyś napisał uczony traktat o różnicy, jaką samotne uwięzienie zrobiłoby Beau Brummelowi i człowiekowi takiemu jak Newton. Arlena Marshall, mój drogi przyjacielu, jako osoba samotna przestałaby w rzeczywistości istnieć. Żyła jedynie w blasku męskiego uwielbienia. Nie, Arlena Marshall wyruszyła dziś rano, aby z kimś się spotkać. Kto to był?

II

Pułkownik Weston westchnął, potrząsnął głową i powiedział:

— No cóż, później będziemy mogli roztrząsać teorie. Teraz trzeba zakończyć to przesłuchanie. Musimy czarno na białym stwierdzić, gdzie kto był. Myślę, że najlepiej się stanie, jeżeli wezwiemy teraz tę dziewczynkę Marshalla. Może powie nam coś pożytecznego.

Linda Marshall niezgrabnie weszła do pokoju, zapukawszy w futrynę drzwi. Oddychała szybko, a źrenice jej oczu były rozszerzone. Wyglądała jak spłoszony żrebak. Pułkownik Weston poczuł do niej sympatię.

„Biedne dziecko... — pomyślał. — Bo jest jeszcze tylko dzieckiem. Musiał to być dla niej paskudny wstrząs”.

Przesunął krzesło i powiedział uspokajającym tonem:

— Przykro mi, że muszę panią tym dręczyć... panno Lindo, prawda?

— Tak, na imię mam Linda.

Mówiła wstrzymując oddech jak uczennica. Dłonie położyła na stole... wzruszające dłonie, duże i czerwone, o grubych kościach i wydłużonych przegubach. Weston pomyślał: „W taką sprawę nie powinny być zamieszane dzieci”.

— Nie ma się czego bać — uspokajał ją. — Chcemy tylko, żeby powiedziała nam pani wszystko, co pani zdaniem mogłoby być dla nas użyteczne. To wszystko.

— Ma pan na myśli — zapytała Linda — Arlenę?

— Tak. Czy widziała ją pani dziś rano? Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie. Arlena zwykle schodzi dość późno. Jada śniadanie w łóżku.

— A pani, *mademoiselle*? — wtrącił się Herkules Poirot.

— Wolę wstać. Śniadanie w łóżku jest okropnie przestarzałe.

— Proszę nam powiedzieć, co pani robiła dziś rano — poprosił Weston.

— Najpierw poszłam się wykapać w morzu, później zjadłam śniadanie i poszłam z panią Redfern do Zatoczki Mew.

— O której godzinie wyruszyłyście, pani i pani Redfern?

— Powiedziała, że o pół do jedenastej będzie czekać na mnie w halki. Bałam się, że się spóźnię, ale zdążyłam. Wyruszyliśmy trzy minuty po pół do jedenastej.

— A co robiłyście w Zatoczce Mew? — wtrącił Poirot.

— Natarłam się olejkiem i opalałam się, a pani Redfern rysowała. Później zeszłam do morza, a Christine wróciła do hotelu, żeby się przebrać do tenisa.

— Czy pamięta pani, która wtedy była godzina? — zapytał Weston, starając się mówić obojętnym tonem.

— Kiedy pani Redfera wróciła do hotelu? Za kwadrans dwunasta.

— Jest pani pewna, że za piętnaście dwunasta? Linda otworzyła szeroko oczy.

— Oczywiście. Spojrzałam na zegarek — potwierdziła.

— Na zegarek, który nosi pani w tej chwili? Linda zerknęła na przegub dłoni.

— Tak.

Weston zainteresował się.

— Pozwoli pani, że spojrzę?

Wyciągnęła rękę. Porównał czas na jej zegarku, na swoim i na zegarze hotelowym na ścianie.

— Zgadza się co do sekundy — oznajmił z uśmiechem. — A później kąpała się pani w morzu.

— Tak.

— Kiedy wróciła pani do hotelu?

— Niemal dokładnie o pierwszej. A... a wtedy usłyszałam... o Arlenie...

Głos jej się zmienił.

— Czy pani... dobrze żyła ze swą macochą? — spytał pułkownik Weston.

Patrzyła na niego nie odpowiadając.

— Och, tak — odparła po dłuższej chwili. Poirot zapytał:

— Czy lubiła ją pani, *mademoiselle*?

Linda powtórzyła:

— O tak — i dodała — Arlena była dla mnie bardzo miła.

— Nic była okrutną macochą, co? — rzucił Weston siląc się na żartobliwość.

Linda nie uśmiechnęła się, zaprzeczyła ruchem głowy.

— To dobrze. Czasem, jak pani wie, bywają różne trudności w rodzinach... zazdrość... i tak dalej. Dziewczyna i jej ojciec są w wielkiej przyjaźni, a później ona ma mu za złe, że zajmuje się tylko swoją nową żoną. Nie odczuwała pani tak tego, co?

Spojrzała na Westona:

— Och, nie. — W jej głosie brzmiała szczerłość.

— Przypuszczam, że ojciec bardzo był nią zajęty?

— Nie wiem.

— Jak powiadam — ciągnął Weston — w życiu rodzinnym pojawiają się różne trudności. Kłótnie... sprzeczki... tego rodzaju rzeczy. Gdy mąż i żona skaczą sobie do oczu, musi to niepokoić także i córkę. Działo się coś takiego?

— Chce pan zapytać, czy Arlena i ojciec kłócili się? — spytała Linda bez wahania.

— Hm... tak.

„Paskudne zajęcie... — pomyślał Weston — wypytywanie dziecka o ojca. Dlaczego człowiek jest policjantem? Niech to diabli, ale trzeba to jednak robić.”

— Och, nie — powiedziała z przekonaniem. — Ojciec nic kłóci się z ludźmi. W ogóle tego nie robi.

— Teraz, panno Lindo — rzekł Weston — chcę, żeby pani przemyślała dokładnie to, co powiem. Czy ma pani jakiś pomysł, kto mógł zabić pani macochę? Czy słyszała pani kiedykolwiek coś, albo czy wie pani coś, co mogłoby nam pomóc?

Przez chwilę Linda milczała. Zdawała się rozważać to pytanie poważnie i bez pośpiechu. Wreszcie powiedziała:

— Nie, nie wiem, kto mógłby chcieć zabić Arlenę.

— I dodała — z wyjątkiem, oczywiście, pani Redfern.

— Sądzi pani, że pani Redfern chciała ją zabić? Dlaczego?

— Bo jej mąż był zakochany w Arlenie. Ale nie myślę, że naprawdę chciałyby ją zabić. Chcę powiedzieć tylko, że pragnęłyby śmierci Arleny... a to wcale nie to samo, prawda?

— Nie, to wcale nie to samo — uspokoił ją Poirot. Linda przytaknęła ruchem głowy. Dziwny

skurcz przebiegł przez jej twarz.

— A poza tym, pani Redfern nigdy nie mogłaby zrobić czegoś takiego... zabić kogoś. Nie jest... nie jest gwałtowna.

Weston i Poirot skinęli głowami. Ten ostatni powiedział:

— Wiem dokładnie, co pani ma na myśli, moje dziecko, i zgadzam się z panią. Pani Redfern nie należy do osób porywczych. Nie wstrząsają nią burze uczuć... — Przymknął oczy dobierając uważnie słowa — nie ujrzałaby uciekającego życia, kurczącego się... nie ujrzałaby nienawistnej twarzy... nienawistnej białej szyi... nie pragnęłaby poczuć, jak palce zaciskają się... na ciele tamtej...

Urwał.

Linda gwałtownie odsunęła się od stołu.

— Czy mogę już odejść? Czy to wszystko? — spytała roztrzęsiona.

— Tak, tak to wszystko — powiedział pułkownik Weston. — Dziękuję pani, panno Lindo.

Wstał, żeby otworzyć przed nią drzwi. Później powrócił do stołu i zapalił papierosa.

— To paskudna robota — rzekł. — Muszę przyznać, że czułem się jak łajdak, wypytując ją o stosunki ojca z macochą. Było to trochę jak proszenie dziecka, żeby założyło ojcu stryczek na szyję. Ale taka jest konieczność. Morderstwo to morderstwo. A ona prawdopodobnie najlepiej zna te sprawy. Mimo to cieszę się, że nie miała niczego do powiedzenia na ten temat.

— Tak, myślałem, że to pana ucieszy — przyznał Poirot.

Weston zakasłał z zakłopotaniem i zauważył:

— A jak przy sposobności, Poirot. Wydaje mi się, że pod koniec posunął się pan trochę za daleko... myślę o tych palcach zaciskających się na szyi. Nie był to chyba obraz, który należałoby podsunąć dziecku.

Herkules Poirot spojrzał na niego zamyślonymi oczami.

— Więc sądzi pan — spytał — że podsuwam dziecku obrazy?

— A czy nie zrobił pan tego? Niech pan nie zaprzecza.

Poirot potrząsnął głową. Weston wycofał się.

— W sumie — rzekł — otrzymaliśmy od niej bardzo mało pożytecznych informacji. Prócz mniej więcej całkowitego alibi dla pani Redfern. Jeśli były razem od pół do jedenastej do za piętnaście dwunasta, wyklucza to Christine Redfern. Znika podejrzana zazdrosna żona.

— Pani Redfern jest wykluczona z ważniejszych powodów — zaprotestował Poirot. — Jestem przekonany, że uduszenie kogoś byłoby dla niej fizyczną i psychiczną niemożliwością. Jest raczej zimno— niż gorącokrwista. zdolna do wielkiego poświęcenia i niezachwianej wierności, ale nie do gorącej namiętności lub furii. Co więcej, dłonie jej są o wiele za małe i zbyt delikatne.

— Zgadzam się z panem, panie Poirot — stwierdził Colgate. — Trzeba ją wykluczyć. Doktor Neasden twierdzi, że tę panią udusiły wielkie dłonie.

— Sądzę — zaproponował Weston — że powinniśmy przesłuchać teraz Redfernów. Myślę, że on przyszedł już do siebie po tym szoku.

III

Patrick Redfern odzyskał już całkowicie panowanie nad sobą. Był blady, mizerny i niespodzianie wyglądał bardzo młodo, lecz zachowanie jego było zupełnie spokojne.

— Czy pan Patrick Redfern, zamieszkały w Crossgates, Seldon, Princes Risborough?

— Tak.

— Od jak dawna znał pan panią Marshall? Patrick Redfern zawahał się:

— Trzy miesiące. Weston podjął:

— Kapitan Marshall powiedział nam, że spotkał pan ją przypadkowo na jakimś przyjęciu. Czy to prawda?

— Tak, tak to się zaczęło.

— Kapitan Marshall dał nam do zrozumienia, że zanim spotkaliście się państwo tutaj, nie znaliście się dobrze. Czy to prawda, panie Redfern?

Patrick Redfern ponownie zawahał się. Później powiedział:

— Cóż... niezupełnie. Mówiąc szczerze, widywałem ją dość często.

— Bez wiedzy kapitana Marshalla? Redfern zarumienił się lekko.

— Nie wiem, czy wiedział o tym czy nie. Herkules Poirot spytał półgłosem:

— A czy działo się to także bez wiedzy pana żony, panie Redfern?

— Jak mi się wydaje, powiedziałem żonie, że poznałem sławną Arlenę Stuart.

Poirot nalegał:

— Ale nie wiedziała, jak często ją pan spotyka?

— Cóż, chyba nie.

— Czy umówił się pan z panią Marshall, że spotkacie się tutaj? — indagował Weston.

Redfern milczał przez dłuższą chwilę.

— Myślę — rzekł wreszcie wzruszając ramionami — że i tak wyjdzie to na jaw. Nie uda mi się wam wymknąć. Szalałem za tą kobietą, byłem obłąkany, zaślepiony, nazwijcie to jak chcecie.

Chciała, żebym tu przyjechał. Byłem temu przeciwny, ale w końcu zgodziłem się. Ja... ja... zrobiłbym wszystko, czego by zapragnęła. Taki miała wpływ na mężczyzn.

— Odmalowuje ją pan nam bardzo wyraźnie. To Circe. Wieczna Circe! — mruknął Poirot.

— Zmieniała mężczyzn w świnie — powiedział z goryczą Patrick Redfern — to prawda. Będę wobec was szczerzy, panowie. Jak powiedziałem, kochałem się w niej do szaleństwa. Nie wiem, czy zależało jej na mnie czy nie. Udawała że tak, ale sądzę, że należała do kobiet, które przestają interesować się mężczyzną w chwili, gdy opanują jego ciało i duszę. Wiedziała dobrze, że panuje nade mną. Dziś rano, kiedy znalazłem ją martwą tam, na plaży, było to, jakby... — urwał — jakbym otrzymał cios prosto między oczy. Byłem oszołomiony... wstrząśnięty!

Poirot pochylił się do przodu.

— A teraz?

Patrick Redfern nie ugiął się pod jego spojrzeniem.

— Powiedziałem wam prawdę. Chciałbym zapytać tylko o jedno: ile z tego zostanie rozgłoszone publicznie? To, co powiedziałem, nie ma związku z jej śmiercią. Jeśli wszystko zostanie ujawnione, będzie to ciężki cios dla mojej żony. — Urwał i dodał prędko. — Wiem, co panowie pomyślicie! Że do tej pory niewiele o nią dbałem! Może to prawda. Zapewne wydam się wam najgorszym hipokrytą, ale prawda jest taka, że obchodzi mnie moja żona, obchodzi bardzo głęboko. Ta druga... — wzruszył ramionami — to było szaleństwo, idiotyczne głupstwo, jakie popełniają mężczyźni... ale Christine jest inna. Jest prawdziwa. Choć postąpiłem wobec niej nieuczciwie, w głębi serca przez cały czas wiedziałem, że tak naprawdę to tylko ona się liczy. — Urwał, westchnął i dodał bezradnie. — Chciałbym, żebyście w to uwierzyli.

Herkules Poirot pochylił się ku niemu.

— Ależ wierzę panu. Naturalnie, że wierzę! Patrick Redfern spojrzał na niego z wdzięcznością.

— Dziękuję panu. Pułkownik Weston chrząknął.

— Może pan być pewien, panie Redfern, że nie będziemy zagłębiali się w rzeczy nie związane ze sprawą. Jeśli namiętność, którą odczuwał pan wobec pani Marshall, nie grała żadnej roli w tym morderstwie, nie ma powodu, by o niej wspominać. Nie pojmuję pan jednak, jak mi się wydaje, że ta... hm, zażyłość... mogła mieć bezpośredni związek z morderstwem. Mogła stanowić, rozumie pan, motyw dla zbrodni.

— Motyw? — zapytał Patrick Redfern.

— Tak, panie Redfern — powtórzył Weston — motyw! Być może kapitan Marshall nie wiedział o tym romansie i nagle odkrył prawdę?

— Och Boże! — wykrzyknął Redfern. — Chce pan powiedzieć, że dowiedział się i ją zabił.

Szef policji odparł sucho:

— To rozwiązanie nie przyszło panu do głowy? Redfern potrząsnął głową.

— Nie, dziwne, ale nie pomyślałem o tym. Widzi pan. Marshall to taki spokojny facet. Nadal nie wydaje mi się to prawdopodobne.

— Jaki był stosunek pani Marshall — zapytał Weston — do męża? Czy czuła się niepewnie... czy obawiała się, że dowie się o waszym romansie? Czy może było jej to obojętne?

Redfern powiedział z namysłem:

— Była trochę... nerwowa. Nie chciała, żeby zaczął ją podejrzywać.

— Czy sprawiała wrażenie, że się go boi?

— Boi? Nie, tego bym nie powiedział.

— Proszę mi wybaczyć, panie Redfern, ale czy nie było ani razu mowy o rozwodzie?

Patrick Redfern zdecydowanie potrząsnął głową.

— Och, nie, nie, o tym nie było w ogóle mowy. Była przecież Christine, jak pan wie. A i Arlenie z pewnością nigdy nie przyszło to do głowy. Małżeństwo z Marshalllem doskonale jej odpowiadało. Jest on... grubą rybą na swój sposób... — Uśmiechnął się niespodziewanie. — Jest ziemianinem... w całym tego słowa znaczeniu. I bardzo zamożny. Arlena nigdy nie pomyślała o mnie jako o potencjalnym mężu. Nie, byłem tylko kolejnym adoratorem... z którym mogła miło spędzić czas. Wiedziałem o tym od początku, a jednak, o dziwo, nie zmieniło to moich uczuć wobec niej...

Patrick Redfern zamilkł. Pogrążył się w myślach.

— Czy miał się pan spotkać z panią Marshall dziś rano? — przywrócił go do rzeczywistości Weston.

Patrick Redfern wydawał się zaskoczony.

— Nie byliśmy umówieni. Zwykle spotykaliśmy się każdego ranka na plaży. Przeważnie wiosłowaliśmy.

— Czy był pan zdziwiony, nie spotkawszy tam rano pani Marshall?

— Tak. Byłem zdumiony. Nie mogłem tego zrozumieć.

— Co pan pomyślał?

— Cóż, nie wiedziałem, co o tym myśleć. To znaczy, przez cały czas myślałem, że przyjdzie.

— A jeżeli poszła na spotkanie z kim innym? Nie wie pan, kto to mógłby być?

Patrick spojrział na niego i potrząsnął przecząco głową.

— Gdy miewał pan *rendez-vous* z panią Marshall, gdzie się one odbywały?

— Czasem spotykałem się z nią po południu w Zatoczce Mew. Widzi pan, po południu nie ma tam słońca, więc przeważnie plaża jest pusta. Spotkaliśmy się tam raz czy dwa.

— Nigdy w tej drugiej zatoczce? Zatoczce Skrzata?

— Nie. Zatoczka Skrzata otwiera się ku zachodowi, więc po południu przyływa tam mnóstwo ludzi. Nigdy nie próbowaliśmy spotykać się rano. Znadto rzucałoby się to w oczy. Po południu wszyscy drzemią albo wałęsają się bez celu i nikogo nie obchodzi, gdzie przebywają inni.

Weston skinął głową.

— Oczywiście, po kolacji — ciągnął Patrick Redfern — gdy wieczór był ładny, spacerowaliśmy po wyspie.

— Tak, oczywiście! — powiedział półgłosem Herkules Poirot. — Patrick Redfern obrzucił go zdumionym spojrzeniem.

Weston powiedział:

— Więc nie wie pan nic, co pomogłoby nam odkryć przyczynę pobytu pani Marshall w Zatoczce Skrzata?

Redfern potrząsnął głową.

— Nie mam najmniejszego pojęcia! — W jego głosie brzmiało szczere zdumienie. — To było niepodobne do Arleny.

— Czy miała jakichś przyjaciół w sąsiedztwie? — spytał Weston.

— Nie, o ile wiem. Raczej na pewno nie.

— Teraz, panie Redfern, chciałbym, żeby przemyślał pan dokładnie to, co powiem. Znał pan panią Marshall w Londynie. Musi pan znać wiele osób z jej kręgu. Czy wie pan o kimś, kto miałby do niej żal? Na przykład mężczyznę, którego darzyła uczuciem, zanim pan się pojawił?

Przez chwilę Patrick Redfern zastanawiał się, wreszcie potrząsnął głową.

— Mówiąc uczciwie, nikt taki nie przychodzi mi na myśl. Pułkownik Weston bębnił palcami po powierzchni stołu.

— Cóż, to tyle. Jak się wydaje, pozostały nam trzy możliwości. Pierwsza to nieznany zabójca,

maniak, który przypadkowo pojawił się w okolicy... co byłoby dość niezwykłym...

— Ale z pewnością — przerwał mu Redfern — najprawdopodobniejszym wyjaśnieniem.

Weston potrząsnął głową.

— Nie jest to przypadkowe „morderstwo na odludziu”. Zatoczka jest trudno dostępna. Morderca musiałby albo nadejść od strony grobli, minąć hotel, wspiąć się na wierzchołek skały i zejść po tej drabinie... albo przybyć łodzią. W każdym wypadku nic zaplanowane morderstwo jest wysoce nieprawdopodobne.

— Mówił pan o trzech możliwościach — przypomniał Patrick Redfern.

— Hm... tak — odparł szef policji — chcę powiedzieć, że dwie osoby na wyspie miały powód do zamordowania jej. Jej mąż i pańska żona.

Redfern zerwał się z krzesła i zaskoczony spoglądał na Westona.

— Moja żona? Christine? Czy chce pan powiedzieć, że Christine miała z tym coś wspólnego? — Wyrzucił z siebie słowa beładnie i z pośpiechem. — Jest pan szalony... zupełnie szalony... Christine? Ależ to niemożliwe! To śmieszne!

— A jednak, panie Redfern — powiedział Weston — zazdrość jest potężnym bodźcem. Zazdrosne kobiety potrafią zupełnie stracić kontrolę nad sobą.

Redfern odparł z przekonaniem:

— Nie Christine. Ona... och, ona nie jest taka. Była nieszczęśliwa, zgoda. Ale nie należy do osób, które... Och, nie jest gwałtowna.

Herkules Poirot skinął głową w zamyśleniu. Gwałtowność. Tego samego słowa użyła Linda Marshall. Po raz drugi zgodził się z tą charakterystyką.

— Prócz tego — ciągnął z przekonaniem Redfern — to absurdalne. Arlena była silniejsza niż Christine. Wątpię, czy Christine mogłaby udusić kociaka... a z pewnością nie takie silne, sprawne stworzenie jak Arlena. W dodatku Christine nigdy by nie zeszła po tej drabinie na plażę. Dostałaby zawrotu głowy. I... och, to wszystko jest jedną wielką bzdurą!

Pułkownik Weston podrapał się nieznacznie w ucho.

— Cóż — powiedział — tak jak pan to przedstawia, rzecz nie wydaje się prawdopodobna. Trzeba to panu przyznać. Ale musimy szukać przede wszystkim motywu. Motywu i sposobności.

IV

Gdy Redfern wyszedł z pokoju, szef policji zauważył uśmiechając się nieznacznie:

— Nie wydawało mi się wskazane powiadomianie go, że jego żona ma alibi. Chciałem usłyszeć, co myśli o takiej możliwości. Trochę to nim wstrząsnęło, prawda?

Herkules Poirot powiedział półgłosem:

— Argumenty, które przedstawił, są równie silne jak alibi.

— Z pewnością nie uczyniła tego! Nie mogła, fizycznie niemożliwe, jak pan sam stwierdził. Marshall to co innego, ale ma alibi.

Inspektor Colgate zakasłał.

— Proszę mi wybaczyć. Zastanawiałem się właśnie nad tym alibi. Jest możliwe, proszę pana, że gdyby morderstwo zaplanował wcześniej, to mógł sobie przygotować te listy.

— To ciekawa myśl. Musimy w to wejrzeć... Weston urwał, gdyż do pokoju weszła Christine Redfern. Jak zwykle, była spokojna i opanowana. Miała na sobie białą tenisową spódniczkę i jasnobłękitny pulower, co podkreślało jej jasną, nieco anemiczną urodę. Herkules Poirot pomyślał jednak, że twarz ta nie jest ani głupia, ani słaba. Było w niej wiele stanowczości, odwagi i zdrowego rozsądku. Skinął z uznaniem głową.

Pułkownik Weston pomyślał: „Miła kobietka. Może trochę bezbarwna. O wiele za dobra dla tego młodego romansowego osła, jej męża. Cóż, to młody chłopak. Kobiety co najmniej raz w życiu robią z nas głupców”.

Powiedział:

— Proszę usiąść, pani Redfern. Jak pani wie, prowadzimy rutynowe przesłuchania. Każdy musi zeznać, co robił dziś rano. To czysta formalność.

Christine Redfern przytaknęła mchem głowy i odezwała się spokojnym, opanowanym głosem:

— Och, tak. Całkowicie to rozumiem. Od kiedy mam zacząć?

— Tak wcześnie, jak to możliwe, *madame* — poprosił Herkules Poirot. — Co pani zrobiła zaraz po przebudzeniu?

— Niech się zastanowię. Schodząc na śniadanie zajrzałam do pokoju Lindy Marshall i umówiłam się z nią, że pójdziemy rano do Zatoczki Mew. Ustaliłyśmy, że spotkamy się w hallu hotelowym o pół do jedenastej.

— Nie kąpała się pani w morzu przed śniadaniem, *madame*? — zapytał Herkules Poirot.

— Nie. Robię to bardzo rzadko — uśmiechnęła się. — Lubię, kiedy morze jest już trochę nagrzane. Prędko marznę.

— A pani mąż kąpie się rano?

— O tak. Prawie zawsze.

— A pani Marshall? Czy ona także?

W tonie Christine nastąpiła zmiana. Stał się chłodny, niemal cierpki.

— Och, nie. Pani Marshall była jedną z tych, które nigdy nie ukazują się towarzystwu wczesnym rankiem.

Nieco zmieszany Herkules Poirot zauważył:

— Przepraszam, *madame*, że pani przerywam. Powiedziała pani, że weszła pani do pokoju Lindy Marshall. Która była wtedy godzina?

— Niech się zastanowię... pół do ósmej... nie, trochę później.

— Panna Marshall już wstała?

— Och, tak, nie było jej w pokoju,

— Nie było jej?

— Nic. Powiedziała, że poszła się wykapać. Poirota zastanowiła lekka, bardzo lekka nutka zakłopotania w głosie Christine.

— A później? — spytał Weston.

— Później zeszłam na śniadnie.

— A po śniadaniu?

— Poszłam na górę, wzięłam przybory do rysowania i szkicownik i wyszłyśmy.

— Pani i panna Linda Marshall?

— Tak.

— Która była wówczas godzina?

— Myślę, że niemal pół do jedenastej.

— I co panie uczyniły?

— Udałyśmy się do Zatoczki Mew. Wie pan, tej zatoczki po wschodniej stronie wyspy. Rozłożyłyśmy się tam. Ja szkicowałam, a Linda się opalała.

— O której opuściła pani zatoczkę?

— Za kwadrans dwunasta. O dwunastej byłam umówiona na tenisa i musiałam się przebrać.

— Wzięła pani z sobą zegarek?

— Nie, nie wzięłam. Zapytałam Linde, która jest godzina.

— Rozumiem. A później?

— Spakowałam moje przybory do szkicowania i poszłam do hotelu.

— A panna Linda? — zapytał Poirot.

— Linda? Weszła do morza.

— Czy siedziałyście panie z dala od morza?

— Znajdowałyśmy się wysoko nad linią przyływu. Tuż pod skałami, abym ja mogła siedzieć w cieniu, a Linda na słońcu.

— Czy Linda Marshall weszła do morza, zanim pani opuściła plażę? — spytał Poirot.

Christine zmarszczyła brwi próbując sobie przypomnieć.

— Niech się zastanowię. Pobiegła wzdłuż plaży... Zamknęłam moje pudełko... Tak, kiedy wchodziłam ścieżką w górę po skałach, usłyszałam ją, jak pluszcze się w wodzie.

— Czy jest pani tego pewna, *madame*? Pewna, że naprawdę weszła do morza?

— Och, tak.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem. Pułkownik Weston także obrzucił go zaskoczonym spojrzeniem i rzekł:

— Proszę mówić dalej, pani Redfern.

— Wróciłam do hotelu, przebrałam się i poszłam na korty tenisowe, gdzie spotkałam pozostałych.

— Kogo?

— Kapitana Marshalla, pana Gardenera i pannę Darnley. Rozegraliśmy dwa sety. Mieliśmy właśnie zacząć trzeci, gdy doszła nas ta wiadomość... o pani Marshall.

— A co pani pomyślała, madame, gdy usłyszała pani tę wiadomość? — spytał Herkules Poirot.

— Co pomyślałam?

Na twarzy jej pojawił się ślad niesmaku wywołanego pytaniem.

— Tak.

— To, co się stało, było ohydne — powiedziała powoli Christine.

— O tak, wzbudziło w pani wstręt. Rozumiem. Ale co to oznaczało dla pani... osobiście?

Rzuciła mu szybkie błagalne spojrzenie. Odpowiedział na nie. Ton jego był rzeczowy.

— Zwracani się do pani, jako do kobiety inteligentnej, mającej wiele zdrowego rozsądku i umiejącej oceniać ludzi. Podczas pobytu tutaj ukształtowała pani swoją opinię o pani Marshall, o tym, co to była za kobieta?

Christine odparła ostrożnie:

— Przypuszczam, że każdy dokonuje tego w mniejszym lub większym stopniu, podczas pobytu w hotelach.

— Oczywiście, jest to zupełnie naturalne. Zapytuję więc, madame, czy była pani naprawdę bardzo zaskoczona tym, że straciła ona życie w taki sposób?

Christine odparła powoli:

— Zdaje mi się, że rozumiem, co pan ma na myśli. Nie, nie byłam chyba zaskoczona. Wstrząśnięta, tak. Ale była to kobieta tego rodzaju, że...

Poirot dokończył za nią.

— Była to kobieta tego rodzaju, że mogło się to zdarzyć... Tak, madame, jest to najprawdziwsze i najbardziej znaczące zdanie z tych, które wypowiedziano dzisiaj w tym pokoju. Odłożywszy na bok wszystkie... hm... — położył wyraźnie nacisk na to słowo — osobiste uczucia, co pani naprawdę myślała o zmarłej pani Marshall?

Christine Redfern odpowiedziała spokojnie:

— Czy naprawdę warto zagłębiać się teraz w to wszystko?

— Sądzę, że tak.

— No cóż, co mogłabym powiedzieć? — Jej jasną skórę nagle zabarwił rumieniec. Na krótką chwilę objawiła się pierwotna kobieta. — Moim zdaniem, taka kobieta jest absolutnie bezwartościowa. Nie czyniła niczego, co usprawiedliwiłoby jej istnienie. Nie miała w ogóle

umysłu... mózgu. Myślała tylko o mężczyznach, strojach, pragnęła budzić podziw. Bezużyteczny pasożyt! Przypuszczam — a raczej na pewno — była atrakcyjna dla mężczyzn... I po to żyła. Dlatego, jak sądzę, nie byłam zaskoczona, że spotkał ją taki mamy koniec. Kobieta tego rodzaju wplątuje się w każde paskudztwo... szantaż... zazdrość... przemoc... Ona... ona rozbudzała w ludziach najniższe instynkty.

Urwała. Oddychała nieco szybciej. Odrobinę zbyt wąska górna warga uniosła się w grymasie obrzydzenia. Pułkownikowi Westonowi przyszło na myśl, że trudno byłoby znaleźć większe przeciwieństwo Arleny Stuart niż Christine Redfern. Przyszło mu także na myśl, że człowiekowi żyjącemu w subtelnej atmosferze wytwarzanej przez Christine Redfern Arleny Stuart tego świata wydawały się zapewne wyjątkowo atrakcyjne.

Te myśli nie wyparły z pamięci jednego słowa, które zwróciło jego uwagę.

Pochylił się ku Christine i powiedział:

— Pani Redfern, dlaczego mówiąc o niej, wspomniała pani słowo: szantaż?

Rozdział siódmy

Christine wpatrywała się w niego, zdając się nie pojmować początkowo, o czym mówił. Odpowiedziała odruchowo.

— Przypuszczam... ponieważ szantażowano ją. Takie kobiety często są szantażowane.

Pułkownik Weston zapytał pospiesznie:

— Ale... czy wie pani, że była szantażowana?

Na policzkach dziewczyny pojawił się nikły rumieniec. — Prawdę mówiąc — rzekła z wahaniem — wiem o tym. Ja... ja podsłuchałam coś.

— Czy może pani wyjaśnić to bliżej, pani Redfern? Rumieniec na jej twarzy pogłębił się.

— Ja... ja nie chciałam podsłuchiwać. Był to przypadek. Stało się to wieczorem, dwa... nie, trzy dni temu. Graliśmy w brydża — zwróciła się w kierunku Poirota. — Pamięta pan?... Mój mąż ze mną, a pan Poirot z panną Darnley. Wyłożyłam karty na stół. W pokoju karcianym było bardzo duszno i wymknęłam się przez oszklone drzwi, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Zaczęłam schodzić w stronę plaży. Nagle usłyszałam głosy. Jeden (pознаłam od razu głos Arleny Marshall) powiedział: „Nic nie wyniknie z naciskania mnie. Nie mogę teraz zdobyć więcej pieniędzy. Mój mąż zacznie coś podejrzewać”. A później odezwał się głos męski: „Nie przyjmuję żadnych wymówek. Musisz zdobyć forszę”. Na to Arlena Marshall: „Ty bydlaku, szantażysto!” Mężczyzna odpowiedział: „Bydlaku czy nie bydlaku, zapłacisz, moja damulko”.

Christine urwała.

— Zawróciłam, a po chwili przebiegła obok mnie Arlena Marshall. Wyglądała... jakby była okropnie wystraszona.

— A ten mężczyzna? — zapytał Weston. — Czy wie pani, kto to był?

Christine potrząsnęła głową.

— Mówił przyciszonym głosem. Z trudem słyszałam jego słowa.

— Czy głos ten nie przypominał pani głosu kogoś, kogo pani zna?

Zastanowiła się ponownie i potrząsnęła głową.

— Nie, nie wiem. Głos był gruby i niski. To mógł być każdy.

— Dziękuję pani, pani Redfern — powiedział pułkownik Weston.

II

Gdy za Christine Redfern zamknęły się drzwi, inspektor Colgate westchnął:

— Nareszcie coś.

— Tak pan sądzi? — spytał Weston.

— Cóż, to daje do myślenia, proszę pana. Nie da się zaprzeczyć. Ktoś w tym hotelu szantażował panią Marshall.

— A zabito nie paskudnego szantażystę — zauważył półgłosem Poirot — ale jego ofiarę.

— Zgadzam się, że to trochę niezwykle — powiedział inspektor. — Szantażyści nie mają w zwyczaju wykańczania swych ofiar. Ale coś nam to daje. Podsuwa przyczynę dziwnego zachowania pani Marshall dziś rano. Miała *rendez-vous* z tym facetem, który ją szantażował, i nie chciała, żeby dowiedział się mąż albo Redfern.

— Z pewnością można to uznać za wyjaśnienie — zgodził się Poirot.

Inspektor Colgate ciągnął:

— A pomyślmy o miejscu, które wybrano. Wymarzone do tego celu. Pani odpływa na swej łódce. To zupełnie naturalne. Robi tak co dnia. Udaje się do Zatoczki Skrzata, gdzie rankiem nikogo nie ma, więc można tam spokojnie przeprowadzić rozmowę.

— Tak, mnie także to uderzyło — przyznał Poirot. — Jest to, jak pan powiedział, idealne miejsce na *rendez-vous*: bezludne, dotrzeć tam można od strony lądu jedynie schodząc po pionowej metalowej drabinie, a nie każdy lubi takie ćwiczenia, *bien entendu**. W dodatku większa część plaży jest niewidoczna z góry, gdyż zasłania ją nawis skalny. A ponadto — o czym poinformował mnie pewnego dnia pan Patrick Redfern — jest tam grot. Trudno odkryć wejście, lecz jeśli się je odnajdzie, można się w niej ukryć. Z zewnątrz nic nie widać.

— Oczywiście. Grota Skrzata! — powiedział Weston — pamiętam, że kiedyś coś o tym słyszałem.

— Ale od lat nikt o niej nie wspominał — rzekł Colgate. — Zajrzyjmy tam. Nie wiadomo, czy nic znajdziemy jakiejś wskazówki.

— Tak, ma pan słuszość, Colgate. — przyznał Weston. — Znaleźliśmy rozwiązanie pierwszej części tej zagadki: dlaczego pani Marshall znalazła się w Zatoczce Skrzata. Ale brakuje nam drugiej części rozwiązania. Kogo miała tam spotkać? Przypuszczalnie kogoś zamieszkałego w tym hotelu. Żaden z nich nie wchodził w rachubę jako kochanek... ale szantażysta to zupełnie inna sprawa.

Sięgnął po spis gości.

— Wykluczysz kelnerów, posługaczy, itd., których uważam za mało prawdopodobnych, mamy następujące osoby: tego Amerykanina... Gardenera, majora Barry'ego, pana Horace'a Blatta i wielbego Stephen'a Lane'a. Inspektor Colgate powiedział:

— Możemy to trochę zawęzić, proszę pana. Myślę, że trzeba wykreślić Amerykanina. Całe rano spędził na plaży. Czy tak, panie Poirot?

— Był nieobecny przez chwilę — odparł Poirot. — Poszedł po motek wełny dla żony.

— Ale nie musimy brać tego pod uwagę — rzekł Colgate.

— A co z trzema pozostałymi? — spytał Weston.

— Major Barry pojawił się o dziesiątej dziś rano. Wrócił do hotelu o pierwszej trzydzieści.. Wielbny Lane zszedł jeszcze wcześniej. Zjadł śniadanie o ósmej. Powiedział, że idzie na pieszą wycieczkę. Pan Blatt wypłynął, jak niemal co dnia, żaglówką o dziewiątej trzydzieści. Żaden z nich nie powrócił do tej pory.

— Żaglówką, co? — powiedział w zamyśleniu pułkownik Weston.

Głos inspektora Colgate'a był czujny.

— Pasowałyby nieźle, proszę pana — podsumował.

— Cóż, trzeba będzie zamienić parę słów z tym majorem... — westchnął Weston. — Dajcie mi spojrzeć, kto jeszcze pozostał? Rosamund Darnley. I jeszcze ta kobieta, Brewster, która wraz z Redfernem znalazła ciało.

Jaka ona jest, Colgate?

— To rozsądna osoba, proszę pana. Nie trzymają jej się głupstwa.

— Czy nie wyrażała żadnych opinii o tej śmierci? Inspektor potrząsnął głową.

— Nie sądzę, żeby miała coś nowego do powiedzenia, proszę pana, ale trzeba się upewnić. A jeszcze są ci Amerykanie.

Pułkownik Weston skinął głową.

— Wezwijmy ich wszystkich i skończmy to tak szybko, jak się da. Może dowiemy się czegoś, choćby na temat tej sztuczki z szantażem.

III

Państwo Gardenerowie pojawili się razem przed obliczem sprawiedliwości.

Pani Gardener wyjaśniła natychmiast:

— Mam nadzieję, że zrozumie pan, jak to jest, pułkowniku Weston... tak brzmi pana nazwisko, jak mi się wydaje? — Upewniwszy się w tym przedmiocie, ciągnęła: — Był to dla mnie wielki wstrząs, a mąż zawsze bardzo, bardzo troszczy się o moje zdrowie...

Pan Gardener wtrącił:

— Żona jest niezwykle wrażliwa.

— ...i powiedział do mnie „Ależ, Carrie”, powiedział, „oczywiście, że pójde z tobą”. Nie znaczy to, że nie cenimy metod policji brytyjskiej. Słyszeliśmy, że brytyjska policja traktuje ludzi subtelnie i delikatnie. Nigdy w to nie wątpiłam i miałam rację. Kiedy zgubiłam bransoletkę w hotelu „Savo” przysłano nam młodego policjanta. Trudno sobie wyobrazić miłszego człowieka. A okazało się, że wcale nie zgubiłam tej bransoletki, ale gdzieś ją zapodziałam, to właśnie jest najgorsze, kiedy ciągle się gdzieś wychodzi. Człowiek zaczyna zapominać, gdzie co położył... — Pani Gardener urwała, wciągnęła łagodnie powietrze i rozpoczęła ponownie. — Chcę powiedzieć, (a wiem, że pan Gardener zgodzi się ze mną), że pragniemy oboje uczynić wszystko, żeby dopomóc brytyjskiej policji. Niech więc pan bez wahania pyta mnie o wszystko, co chciałby pan wiedzieć...

Pułkownik Weston otworzył usta, żeby zadośćuczynić tej propozycji, ale pani Gardener nie dała mu dojść do słowa.

— Tak powiedziałam, Odellu, prawda? I tak jest, prawda?

— Tak, kochanie — przytaknął pan Gardener. Pułkownik Weston prędko wtrącił:

— Jak słyszałem, przebywała pani wraz z mężem przez całe przedpołudnie na plaży?

Tym razem panu Gardenerowi udało się wyprzedzić żonę.

— Tak jest.

— Oczywiście, że tak — rzekła pani Gardener. — Był to piękny, spokojny poranek, podobny do innych, może nawet spokojniejszy. Nawet nie przyszło nam na myśl, co dzieje się na tej odludnej plaży.

— Czy widzieliście dzisiaj panią Marshall?

— Nie widzieliśmy jej. Nawet zapytałam Odella, gdzie może być dzisiaj pani Marshall. Tak

powiedziałam. Najpierw przyszedł jej mąż rozglądając się za nią, a później ten przystojny młody człowiek, pan Redfern. A jaki był niecierpliwy! Siedział na plaży patrząc spode łba na wszystko i wszystkich. I pomyślałam sobie wtedy: dlaczego, mając taką miłą, ładną żonkę, włóczy się za tą okropną kobietą? Cały czas czułam, że jest okropna, prawda, Odellu?

— Tak, kochanie.

— Nie mogę sobie po prostu wyobrazić, jak ten miły kapitan Marshall mógł ożenić się z taką kobietą? W dodatku mając dorastającą, miłą córkę, a przecież to takie ważne, żeby młode dziewczęta znajdowały się pod właściwym wpływem. A pani Marshall z pewnością nie była właściwą osobą... zwierzęca natura i zupełnie brak ogłady. Gdyby kapitan Marshall miał odrobinę rozumu, ożeniłby się z panną Darnley, która jest niezwykle, naprawdę niezwykle czarującą kobietą i bardzo wybitną. Muszę przyznać, że podziwiam ją za to, że potrafiła stworzyć to pierwszorzędne przedsiębiorstwo. Trzeba mieć rozum, żeby tego dokonać... a wystarczy spojrzeć na Rosamund Darnley i od razu widać, że rozumu jej nie brak. Umiałaby obmyślić i przeprowadzić wszystko, co zechce. Nie umiem powiedzieć, jak bardzo podziwiam tę kobietę. Któregoś dnia mówiłam mężowi, że jest bardzo zakochana w kapitanie Marshallu. Od razu widać... „Szaleje za nim”, tak powiedziałam, prawda, Odellu?

— Tak, kochanie.

— Zdaje się, że znali się w dzieciństwie, a teraz, kto wie, może wszystko dobrze się zakończy, kiedy ta kobieta została usunięta z drogi. Nie jestem osobą o ciasnym umyśle, pułkownika Weston, i nie ganię sceny (wiele moich najlepszych przyjaciółek jest aktorkami), ale przez cały czas mówiłam mężowi, że w tej kobiecie jest coś złego. I jak pan widzi, okazało się, że miałam rację — zakończyła tryumfalnie.

Maleńki uśmieszek zadrgał na wargach Herkulesa Poirota. Jego oczy napotkały na krótką chwilę bystre, szare oczy pana Gardenera.

Pułkownik Weston powiedział niemal rozpaczliwie: — Dziękuję, pani Gardener. Przypuszczam, że nie zauważyli państwo podczas swego pobytu tutaj niczego, co mogłoby mieć związek z tą sprawą?

— Chyba nie, jak sądzę — rzekł pan Gardener, przeciągle wymawiając słowa. — Pani Marshall niemal przez cały czas była w towarzystwie młodego Redferna... ale wszyscy mogą to wam powiedzieć.

— A jej mąż? Czy go to obchodziło? Jak pan sądzi? Pan Gardener odparł ostrożnie:

— Kapitan Marshall jest bardzo powściągliwym człowiekiem.

— No, tak, to prawdziwy Brytyjczyk — potwierdziła pani Gardener.

IV

Różne uczucia zdawały się walczyć o pierwszeństwo na nieco apoplektycznym obliczu majora Barry'ego. Starał się przywołać na twarz odpowiedni w takich wypadkach wyraz zgrozy, lecz nie mógł zapanować nad nieprzystojnym zadowoleniem.

Ochryplym, nieco astmatycznym głosem powiedział:

— Będę zadowolony mogąc wam pomóc w miarę sił. Oczywiście, o niczym nie wiem. zupełnie o niczym. Nie znałem tych ludzi. Ale w swoim czasie bywałem tu i ówdzie. Długo żyłem na Wschodzie, jak pan wie. I stwierdziłem, że to, czego nie wie się o naturze ludzkiej po pobycie w górskim forcie w Indiach, jest bez wartości.

Urwał, wciągnął powietrze i kontynuował:

— Szczerze mówiąc, ta sprawa przypomina mi pewne wydarzenie w Simli. Ten facet nazywał się Robinson, a może Falconer? Tak czy inaczej, był w pułku East Wilts, a może w North Surreys? Nie mogę już sobie przypomnieć, ale nie ma to znaczenia. Spokojny facet, wiecie, ogromnie lubił książki... jednym słowem, łagodny jak baranek. Pewnego wieczora rzucił się na żonę. Chwycił ją za gardło. Zadawała się z jakimś facetem i on się dowiedział. Na Jowisza, o mało jej nie załatwił. Ledwie ją odratowali. Zdumiał nas wszystkich! Nie myślałem, że go na to stać.

— I dostrzega pan w tym analogię do śmierci pani Marshall? — spytał półgłosem Herkules Poirot.

— Cóż, chciałem powiedzieć... uduszono ją. Podobna reakcja. Facetowi nagle robi się czerwono przed oczami.

— Sądzi pan, że to właśnie zdarzyło się kapitanowi Marshallowi?

— Och, niech pan da spokój. Wcale tego nie powiedziałem — twarz majora Barry'ego stała się czerwiejsza. — Nigdy nic nie powiedziałem przeciw kapitanowi Marshallowi. Wyjątkowo przyzwoity facet. Za skarby świata nie powiedziałbym o nim złego słowa.

Poirot mruknął:

— Ach, pardon, ale jednak powołał się pan na naturalną reakcję męża.

— Cóż, chciałem powiedzieć, że była to gorąca osóbka. Prowadziła młodego Redferna na sznureczku, a pewnie przed nim byli inni. Ale najdziwniejsze jest, że mężowie są zawsze tacy tępi. Zadziwiający. Zdumiewa mnie to nieustannie. Dostrzegają, że faceci oglądają się za ich żonami, ale nie widzą, że ich żony też oglądają się za tymi facetami. Przypominam sobie podobną sprawę w Poonie. Bardzo piękna kobieta. Na Jowisza, tak umiała wyprowadzić męża w pole, że...

Pułkownik Weston poruszył się trochę niespokojnie.

— Tak, tak, majorze Barry. W tej chwili musimy jednak ustalić fakty. Czy zauważył pan coś, co mogłoby nam pomóc w tej sprawie?

— Doprawdy nie, Weston. Któregoś dnia po południu widziałem ją i młodego Redferna w Zatoczce Mew — mrugnął znacząco i zachichotał ochryple — bardzo to było ładne. Ale nie takich dowodów pan potrzebuje. Ha, ha!

— Czy w ogóle nie widział pan pani Marshall dziś rano?

— Nikogo nie widziałem dziś rano. Poszedłem do St. Loo. Takie mam właśnie szczęście. W tej dziurze nic się nie dzieje przez całe miesiące, a kiedy wreszcie coś się stanie, to mnie tu nie ma!

W głosie majora brzmiała nutka żalu. Pułkownik Weston przynaglił go.

— Powiada pan, że poszedł do St. Loo?

— Tak, chciałem zatelefonować. Tu nie ma telefonu, a urząd pocztowy w Leathercomb nie zapewnia dyskrecji.

— Czy pańskie rozmowy telefoniczne miały bardzo poufny charakter?

Major znowu mrugnął pogodnie.

— Cóż, miały i nie miały. Chciałem połączyć się z przyjacielem i poprosić go, żeby postawił pewną sumę na konia. Ale na nieszczęście nie mogłem dostać połączenia.

— Skąd pan telefonował?

— Z budki telefonicznej na poczcie w St. Loo. Później w drodze powrotnej zbłądziłem... te przekłete ścieżki wiją się po całej okolicy. Musiałem stracić co najmniej godzinę. Co za pogmatwana część świata! Wróciłem dopiero pół godziny temu.

— Czy rozmawiał pan z kimś albo widział kogoś w St. Loo?

Major Barry zachichotał i powiedział:

— Chce pan sprawdzić moje alibi? Nic nie przychodzi mi na myśl. Widziałem mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy ludzi w St. Loo... ale to nie oznacza, że oni mnie zapamiętali.

— Musimy pytać o takie rzeczy, majorze — rzekł szef policji.

— Słusznie. Jestem do usług, kiedy tylko pan będzie mnie potrzebował. Z radością pomogę. Bardzo ponętna kobieta, ta nieboszczka. Chciałbym dopomóc wam w schwytaniu faceta, który to zrobił. „Mord na odludnej plaży”... założę się z panem, że tak nazwą to gazety. Przypomina mi to czas, gdy...

Inspektor Colgate stanowczo zakończył owe wspomnienia i wymanewrował gadatliwego majora za

drzwi. Wracając powiedział:

— Trudno będzie coś stwierdzić w St. Loo. Jest teraz pełnia sezonu.

— Tak, nie możemy skreślić go z listy — stwierdził szef policji. — Nie dlatego, abym serio podejrzewał, że jest w to zamieszany. Spotyka się dziesiątki takich starych nudziarzy. Pamiętam paru z czasu, gdy byłem w wojsku. Jednak... jest jakieś prawdopodobieństwo, że to on. Pozostawiam go panu, Colgate. Niech pan sprawdzi, o której wyprowadził samochód... wziął benzynę... i tak dalej. Mógł w końcu zaparkować wóz w jakimś odludnym miejscu i wrócić tu pieszo nad zatoczkę. Nie wydaje mi się to jednak prawdopodobne. Istniało zbyt wielkie ryzyko, że zostanie zauważony.

Colgate przytaknął ruchem głowy i rzekł:

— Oczywiście, przyjechało dziś wiele autokarów wycieczkowych. Piękny dzień. Zaczęli się zbierać o pół do dwunastej. Szczyt przyływu był o siódmej. Odpływ zatem musiał zacząć się około pierwszej. Na plażach i na grobli pełno było ludzi.

— Tak — powiedział Weston — ale jeśli na wyspę dostałby się po grobli, musiałyby przejść tuż koło hotelu.

— Niekoniecznie. Mógłby wybrać boczną ścieżkę, która prowadzi na wierzchołek wyspy.

— Nie twierdzą, że musiałyby zostać dostrzeżony — stwierdził Weston. — Praktycznie biorąc, wszyscy goście hotelowi byli na plaży z wyjątkiem pani Redfern i panny Marshall, które znajdowały się w Zatoczce Mew. Początek ścieżki jest widoczny jedynie z kilku pokoi hotelowych. Ryzyko, że ktoś wyjrzy z okna w tej chwili, było niewielkie. A propos ryzyka, sądzę, że można wejść do hotelu, minąć recepcję i wyjść nie zwracając niczyjej uwagi. Uważam jednak, że nie mógł na to liczyć.

— Mógł opłynąć wyspę i dotrzeć do zatoczki łódką — zaproponował Colgate.

Weston skinął głową.

— To brzmi o wiele rozsądniej. Gdyby w jednej z pobliskich zatok miał łódkę pod ręką, mógł pozostawić auto, popłynąć do Zatoczki Skrzata, dokonać morderstwa, wrócić do auta i pojawić się tu z bajeczką o tym, że był w St. Loo i zabłądził... a jest to bajeczka, co jednak trudno udowodnić. Wiedział o tym.

— Ma pan słuszność.

— Cóż, pozostawiam to panu, Colgate — powiedział szef policji. — Niech pan uważnie przeczesa całą okolicę. Wie pan, co trzeba zrobić. A teraz porozmawiajmy z panną Brewster.

Spotkanie z Emily Brewster nie wniosło nic nowego. Gdy powtórzyła swą relację, Weston spytał: — I nie wie pani niczego, co mogłoby nam pomóc w jakiś sposób?

Emily Brewster odparła krótko:

— Obawiam się, że nie. To przygnębiająca sprawa. Sądzę jednak, że wkrótce dotrzecie do sedna sprawy.

— Z pewnością, mamy taką nadzieję — rzekł Weston.

— Nie powinno to być trudne — dodała sucho Emily Brewster.

— Co pani ma na myśli, mówiąc to, panno Brewster?

— Przepraszam. Nie próbowałam uczyć pana pańskiego zawodu. Miałam na myśli jedynie to, że w wypadku tego rodzaju kobiety powinno to być dość łatwe.

— Tak pan sądzi? — indagował Herkules Poirot. Emily Brewster odparła ostro:

— Oczywiście! *De mortuis nil nisi bonum* i tak dalej, ale nie można uciec od faktów. Ta kobieta była na wskroś zepsuta. Musicie jedynie trochę powęszyć w jej nieprzyjemnej przeszłości.

— Nie lubiła jej pani? — spytał cicho Poirot.

— Za wiele wiem o niej — i w odpowiedzi na ich pytające spojrzenia podjęła: — Moja siostra stryjeczna wyszła za jednego z Erskine'ów. Prawdopodobnie słyszeliście panowie, że ta kobieta namówiła starego dzieciinniałego sir Roberta do pozostawienia jej całego majątku z pominięciem rodziny.

Pułkownik Weston zapytał:

— A rodzina... hm... poczuła się tym dotkniętą?

— Oczywiście. Już sam związek z nią był wystarczająco skandaliczny, a na dobitkę pozostawił jej pięćdziesiąt tysięcy funtów. Sam pan widzi, co to była za kobieta. Wiem, że to, co mówię, brzmi twardo, ale moim zdaniem Arleny Stuart nie zasługują na sympatię. Wiem także o młodym mężczyźnie, który zupełnie stracił dla niej głowę. Zawsze był trochę dziki, ale po spotkaniu z nią zupełnie stracił hamulce. Dokonał jakichś oszustw z akcjami tylko po to, żeby zdobyć pieniądze, które chciał wydać na nią i jedynie cudem uniknął oskarżenia. Ta kobieta zarażała każdego, z kim się zetknęła. Proszę spojrzeć, jak postępowała z młodym Redfernem. Nie, obawiam się, że niestety nie mogę odczuwać żalu po jej śmierci, choć oczywiście byłoby lepiej, gdyby utonęła albo spadła ze skały. Uduszenie to rzecz nieprzyjemna.

— I sądzi pani, że mordercą jest ktoś z jej przeszłości?

— Tak sądzę.

— Ktoś, kto przybył na wyspę i nie został przez nikogo dostrzeżony?

— Dlaczego ktoś miałby go dostrzec? Byliśmy wszyscy na plaży. O ile wiem, córka Marshalla i Christine Redfern były daleko, nad Zatoczką Mew. Kapitan Marshall Siedział w pokoju hotelowym. Więc kto miał go zobaczyć, prócz może panny Darnley?

— Gdzie była panna Darnley?

— Na szczycie skały zwanej Słoneczną Krawędzią. Widzieliśmy ją tam, Redfern i ja, kiedy opływaliśmy wyspę w łodzi.

— Być może ma pani słuszość, panno Brewster — zauważył Weston.

Emily Brewster odparła z przekonaniem:

— Jestem pewna, że mam słuszość. Kobiety jej pokroju same stanowią najlepszy klucz do rozwiązania zagadki. Czy nie zgadza się pan ze mną, panie Poirot?

Herkules Poirot uniósł głowę i spojrzał w jej szare, pełne ufności oczy. Powiedział:

— Och, tak... Zgadzam się z tym, co pani powiedziała w tej chwili. Arlena Marshall stanowi najlepszy, jedyny klucz do rozwiązania zagadki swej śmierci.

— No właśnie! — podsumowała zdecydowanie panna Brewster.

Stała wyprostowana przesuwając chłodnym, pewnym siebie spojrzeniem po obecnych mężczyznach.

— Może być pani pewna — zapewnił pułkownik Weston — panno Brewster, że żadna wskazówka zawarta w przeszłości pani Marshall nie zostanie pominięta.

Emily Brewster wyszła.

VI

Inspektor Colgate usiadł wygodniej przy stole i powiedział zamyślonym głosem:

— Ma charakter! I załatwiła zmarłą jak należy.

— Szkoda — dodał po krótkim namyśle — że ma żelazne alibi na całe rano. Czy zauważył pan jej dłonie? Wielkie jak u mężczyzny. Silna niewiasta... Powiedziałbym, że nie ustępuje siłą mężczyźnie.

Znowu urwał. Niemal prosząco spojrział na Poirota.

— I powiada pan, panie Poirot, że ani na chwilę nie zeszła z plaży dziś rano?

Poirot zaprzeczył powolnym ruchem głowy.

— Mój drogi inspektorze, przyszła na plażę, zanim pani Marshall mogła dotrzeć do Zatoczki Skrzata, i znajdowała się w zasięgu mego wzroku do chwili, kiedy wyruszyła łodzią z panem Redfernem.

Inspektor Colgate sposepniał.

— W takim razie trzeba ją skreślić.

VII

Jak zawsze, na widok Rosamund Darnley Herkules Poirot odczuł wyraźne zadowolenie.

Nawet do suchego przesłuchania policyjnego wniosła swój styl. Usiadła naprzeciw pułkownika i zwróciła ku niemu poważną, inteligentną twarz.

— Chce pan znać moje nazwisko i adres — rzekła. — Rosamund Annę Darnley. Prowadzę zakład krawiecki pod nazwą Rosę Mond, Ltd., 622 Brook Street.

— Dziękuję, panno Darnley. A teraz, czy mogłaby pani powiedzieć nam coś pomocnego?

— Doprawdy, nie sędzę.

— A co pani robiła...

— Zjadłam śniadanie o mniej więcej pół do dziesiątej, później wróciłam do mego pokoju, zabrałam parę książek, parasolkę dla ochrony przed słońcem i wyszłam w stronę Słonecznej Krawędzi. Musiało być wtedy mniej więcej dwadzieścia pięć minut po dziesiątej. Wróciłam do hotelu za dziesięć dwunasta, poszłam na górę, wzięłam raketę tenisową i zeszłam na korty, gdzie grałam w tenisa aż do lunchu.

— Była pani od godziny pół do jedenastej do za dziesięć w rozpadlinie skalnej, nazywanej w hotelu Słoneczną Krawędzią?

— Tak.

— Czy widziała pani panią Marshall dziś rano?

— Nie.

— Czy dostrzegła ją pani ze skały, kiedy płynęła wokół wyspy w stronę Zatoczki Skrzata?

— Nie. Musiała minąć to miejsce, zanim przyszłam.

— Czy zauważyła pani kogokolwiek w łodzi lub kajaku?

— Nie. Cały czas czytałam. Oczywiście, od czasu do czasu unosiłam głowę znad książki, ale za każdym razem morze było zupełnie puste.

— Nie zauważyła pani nawet pana Redferna i panny Brewster, kiedy opływali wyspę?

— Nie.

— Zdaje się, że zna pani pana Marshalla?

— Kapitan Marshall jest dawnym przyjacielem naszej rodziny. Jego rodzina i moja sąsiadowały ze sobą. Nie widziałam go jednak od wielu lat... chyba od dwunastu.

— A panią Marshall?

— Nie zamieniłam z nią nawet kilku słów od czasu przyjazdu.

— Jak pani sądzi, czy stosunki między kapitanem Marshalllem i jego żoną były dobre?

— Powiedziałabym, że bardzo dobre.

— Czy kapitan Marshall był oddany swojej żonie?

— Być może — odparła Rosamund Darnley. — Ale nie wiem na pewno. Kapitan Marshall jest raczej staromodny... nie ma zwyczaju rozgłaszać publicznie spraw małżeńskich.

— Panno Darnley, czy pani lubiła panią Marshall?

— Nie.

Ta jedna sylaba padła cicho i spokojnie. Zabrzmiała jak proste stwierdzenie faktu.

— Dlaczego?

Na wargach Rosamund pojawił się słaby uśmiech.

— Z pewnością odkrył już pan, że Arlena Marshall nie cieszyła się sympatią płci żeńskiej. Kobiety nudziły ją śmiertelnie i wcale tego nie ukrywała. Chciałabym jednak ją ubierać. Umiała doskonale wybrać stroje i potrafiła je nosić. Chciałabym, aby była moją klientką.

— Czy wiele wydawała na ubranie?

— Z pewnością. Ale miała przecież własne pieniądze, a poza tym kapitan Marshall jest dość zamożny.

— Czy słyszała pani albo czy przyszło pani do głowy, panno Darnley, że pani Marshall była szantażowana?

Na wyrazistej twarzy Rosamund Darnley pojawił się wyraz głębokiego zdumienia.

— Szantażowana? Arlena?

— Ta myśl wydaje się pani zaskakująca.

— Cóż, tak. Jest zaskakująca. Nie pasuje do Arleny.

— Ale z pewnością jest to możliwe.

— Wszystko jest możliwe, prawda? Życie szybko nas tego uczy. Ale zastanawiam się, dlaczego ktoś miałby ją szantażować.

— Jak przypuszczam, pani Marshall bardzo nie chciała, aby pewne sprawy dotarły do uszu jej męża.

— N—no tak. — Uśmiechnęła się i wyjaśniła: — To, co mówię, brzmi sceptycznie, ale widzi pan, Arlena nie kryła się ze swym postępowaniem. Nigdy nie próbowała pozować na osobę godną szacunku.

— Sądzi pani, że mąż wiedział o jej... poufałościach z innymi mężczyznami?

Nastąpiła pauza. Rosamund zmarszczyła brwi. Wreszcie zaczęła mówić powoli i niechętnie:

— Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć. Zawsze zakładałam, że Kenneth Marshall akceptuje swoją żonę, zupełnie szczerze, taką, jaka była. Ze nie ma żadnych złudzeń do co niej. Ale mogło być inaczej.

— Czy sądzi pani, że ślepo jej wierzył? Rosamund odparła na pół zrozpaczona:

— Mężczyźni są tak głupi. A Kenneth Marshall, choć zachowuje się jak światowiec, jest nie z tego świata. Być może wierzył jej ślepo. Może myślał, że była tylko... podziwiana.

— I nie wie pani o nikim... to znaczy, czy nie słyszała pani o nikim, kto żywiłby urazę do pani Marshall?

Rosamund Darnley uśmiechnęła się.

— Tylko urażone żony. A ponieważ została uduszona, przypuszczam, że zabił ją mężczyzna.

— Tak.

Rosamund powiedziała po namyśle:

— Nie, nikt mi nie przychodzi na myśl. Ale z drugiej strony, zapewne nie wiedziałabym. Musicie panowie zapytać kogoś z kręgu jej przyjaciół.

— Dziękuję, panno Darnley. Rosamund obróciła się w kierunku Poirota.

— A czy pan nie ma żadnych pytań? — spytała posyłając mu lekko ironiczny uśmiech.

Herkules Poirot potrząsnął głową.

— Nic mi nie przychodzi na myśl. Rosamund Darnley wstała i wyszła z pokoju.

Rozdział ósmy

Stali w sypialni, którą zajmowała niegdyś Arlena Marshall. Dwa wielkie okna w wykuszach wychodziły na balkon, naprzeciw którego znajdowała się plaża i morze. Światło słoneczne wlewało się do pokoju, migocząc na zdumiewającej kolekcji buteleczek i słoików pokrywających toaletowy stolik Arleny. Były tu wszystkie rodzaje kosmetyków i maści znanych salonom piękności. Pośród tego kobiecego rynsztunku poruszali się sprawnie trzej mężczyźni. Inspektor Colgate krążył otwierając i zamykając szuflady. W pewnej chwili chrząknął. Odkrył plik złożonych listów i przystąpił do przeglądania ich wraz z Westonem.

Herkules Poirot podszedł do szafy ściennej. Otworzywszy drzwi ujrzał ogromną ilość sukien i strojów sportowych. W drugiej połowie szafy leżały stosy lekkiej jak mgiełka bielizny. Na szerokiej półce spoczywały kapelusze: dwa kartonowe kapelusiki plażowe, pokryte czerwonym i jasnożółtym lakierem... wielki słomkowy hawajski kapelusz... i jeszcze jeden, o opadającym rondzie z ciemnoniebieskiego płótna..., trzy czy cztery nedorzeczne kapelusiki, które niewątpliwie musiały kosztować po parę gwinei za sztukę, ciemnoniebieski beret, coś jakby toczek z czarnego aksamitu i jasnoszary turban.

Herkules Poirot przyglądał się im badawczo. Na wargach jego pojawił się lekki, pobłażliwy uśmiech.

— *Les femmes* — wyszeptał.

Pułkownik Weston złożył na powrót listy.

— Trzy od młodego Redferna — rzekł. — Głupi osioł. Za parę lat nauczy się, że nie należy pisać listów do kobiet. Kobiety zawsze przechowują listy, choć przysięgają, że je spaliły. I jeszcze jeden list, tego samego rodzaju. — Podał go Poirotowi.

Kochana Arleno... Boże, jak mi smutno. Odjechać do Chin i może nie widzieć Cię przez całe lata! Nie wiedziałem, że człowiek może tak do szaleństwa pokochać kobietę jak ja Ciebie. Dziękuję za czek. Nie będzie już oskarżenia. Ale tak niewiele brakowało, wszystko dlatego, że chciałem zrobić wielkie pieniądze dla Ciebie. Czy możesz mi wybaczyć? Chciałem zawiesić brylanty w Twoich uszach... w Twoich wspaniałych uszach... i chciałem otoczyć TWĄ szyję kolia wielkich, białych jak mleko pereł. Choć podobno obecnie perły są fałszowane. A może bajeczny szmaragd? Tak, to byłoby to. Wielki szmaragd, zimny i zielony, pełen ukrytego ognia. Nie zapominaj o mnie... lecz wiem, że nie zapomnisz. Jesteś moja na zawsze.

Żegnaj, żegnaj, żegnaj.

— Warto byłoby sprawdzić, czy JN naprawdę wyjechał do Chin — powiedział inspektor Colgate. — Jeśli nie, to może być osobą, której poszukujemy. Zakochany do szaleństwa w kobiecie, idealizuje ją i nagle odkrywa, że zrobiła z niego frajera. Wydaje mi się, że to ten chłopak, o którym wspomniała panna Brewster. Tak, myślę, że koniecznie trzeba sprawdzić!

Herkules Poirot skinął głową.

— Tak, ten list jest ważny — stwierdził. — Myślę, że bardzo ważny.

Odwrócił się i objął spojrzeniem pokój: flakony na toalecie, otwartą szafę i wielkiego pierrota, rozpartego zuchwale na łóżku.

Przeszli do pokoju Kennetha Marshalla. Sąsiedował z pokojem żony, ale był o wiele mniejszy i nie łączył się z nim ani wewnętrznymi drzwiami, ani przez balkon. Dwa okna również wychodziły na plażę. Pomiędzy oknami wisiało na ścianie lustro w złoconych ramach. W rogu po prawej stronie stał stolik toaletowy, na którym leżały dwie szczotki z kości słoniowej, szczotka do ubrania i buteleczka płynu do włosów. Lewy róg pokoju, obok okna, zajmował stół z otwartą maszyną do pisania i stosem papierów.

Colgate przejrzał je szybko.

— Wszystko wydaje się w porządku — stwierdził. — Ach, tu jest ten list, o którym wspomniał. Datowany dwudziestego czwartego... to znaczy wczoraj. A to koperta z dzisiejszym porannym stemplem z poczty. Zeznania wydają się zgodne z prawdą. Teraz sprawdzimy, czy mógł z góry przygotować odpowiedź.

Usiadł.

— Tymczasem pozostawimy to panu — rzekł pułkownik Weston. — Zerknijmy teraz do innych pokoi. Nie wpuszczamy nikogo na korytarz i goście zaczynają się niecierpliwić.

Przeszli do pokoju Lindy Marshall. Wychodził on na wschód ku skałom i leżącemu w dole morzu. Weston rozejrzał się. Powiedział półgłosem:

— Nie sądzę, aby było tu coś ciekawego. Ale istnieje możliwość, że Marshall umieścił w pokoju córki coś, co chciał przed nami ukryć. Jest to jednak bardzo mało prawdopodobne. Nie ma przecież broni, której należałoby się pozbyć.

Wyszedł.

Herkules Poirot pozostał w pokoju. Zaintrygowało go coś w kominku. Niedawno coś tu spalono. Ukląkł i wziął się do pracy, cierpliwie układając kolejne znaleziska na kartce papieru. Wielka nieregularna kropla wosku ze świecy, kilka skrawków zielonego papieru lub tektury, być może zerwanych z kalendarza, gdyż był wśród nich niedopalony skrawek z wielką cyfrą „5” i fragment napisu „szlachetne czyny”. Była także zwykła szpilka i trochę spalonej substancji organicznej, być

może włosów.

Poirot ułożył wszystko porządnie w rzędzie i zaczął wpatrywać się w leżące okruchy. Szepnął:

— ”Spełniaj szlachetne czyny, a nie śnij o nich przez dzień cały”. *C’est possible** Ale co ma wynikać z tej kolekcji? *C’est fantastique!** — Uniósł szpilkę. Oczy jego stały się bystre i bardziej zielone.

Szepnął:

— *Pour l’amour de Dieu!** Czy to możliwe?

Herkules Poirot wstał i z wolna rozejrzał się po pokoju. Twarz miał poważną, niemal surową. Na lewo od kominka było kilka półek z książkami. Detektyw uważnie przejrzał tytuły. Biblia, podniszczony egzemplarz zebranych Sztuk Shakespeare’a, Małżeństwo Williama Ashe’a pióra pani Humprey Ward, Młoda macocha Charlotty Yonge, Chłopiec z Shropshire, Mord w katedrze Elliota. Święta Joanna Bernarda Shawa. Przemięło r wiatrem Margaret Mitchell. Płonący dwór Dicksona Carra.

Poirot wyjął dwie książki: Młodą macochę i Williama Ashe’a. Zerknął na wyblakły stempelek na stronie tytułowej. Chciał wsunąć je na powrót, gdy wzrok jego padł na wciśnięty za inne książki mały, pękaty tom oprawny w brązową skórę cielęcą. Wyjął go i otworzył. Bardzo powoli skinął głową.

— Więc miałem słusność... — szepnął. — Tak, miałem słusność. Lecz to drugie? Czy także jest możliwe? Nie, niemożliwe, chyba że...

Stał bez mchu, gładząc wąsy, a umysł jego pilnie rozważał pewne zagadnienie. Powtórzył cicho:

— Chyba że...

II

Pułkownik Weston zajrzał przez drzwi.

— Hej, Poirot, czy jest pan tam jeszcze?

— Idę, już idę! — zawołał Poirot. Wyszedł pospiesznie na korytarz.

Z pokojem Lindy sąsiadował pokój Redfernów.

Poirot zajrzał tam, notując odruchowo obecność dwu różnych indywidualności: schludności i porządku, które łączył z Christine, i malowniczego nieładu, charakterystycznego dla Patricka. Poza tym pokój nie zaciekał go.

Dalej był pokój Rosamund Darnley i tu zatrzymał się jedynie po to, by z przyjemnością chłonąć przez chwilę osobowość mieszkanki. Zapisał w pamięci kilka książek, leżących na stoliku przy łóżku, i kosztowną prostotę przyborów na toaletce. Do jego nozdrzy dotarł łagodny zapach drogich perfum, których używała Rosamund.

Zaraz za jej pokojem, na końcu korytarza, znajdowały się otwarte drzwi na balkon, z którego schodami można było się dostać na skały w dole.

Weston powiedział:

— Tędy goście hotelowi schodzą się wykąpać przed śniadaniem. To znaczy, jeżeli nie chce się im iść na plażę.

W oczach Poirota pojawiło się nagle zainteresowanie. Wyszedł na balkon i spojrzał w dół, gdzie zygzakowato wiła się ścieżka i wykute w skale stopnie wiodące ku morzu. Druga ścieżka biegła w lewo okrążając hotel.

— Można byłoby zejść po tych schodach, pójść w lewo okrążając hotel i wyjść na główną drogę idącą z grobli. — Weston potwierdził mchem głowy. Uściślił stwierdzenie Poirota.

— Można byłoby przeciąć całą wyspę nie wchodząc w ogóle do hotelu. — I dodał: — Ale wówczas można być dostrzeżonym z okna.

— Którego okna?

— Dwie wspólne łazienki wychodzą na północ, a także łazienka dla personelu i dwie przechowalnie na parterze. Także pokój bilardowy.

Poirot skinął głową.

— Wszystkie te pomieszczenia, prócz ostatniego, mają mlecze Szyby, a nikt nie gra w bilard

podczas tak pięknego poranka — skomentował.

— Z pewnością. — Weston zamilkł i dodał. — Jeżeli on to zrobił, na pewno przeszedł tędy.

— Ma pan na myśli kapitana Marshalla?

— Tak. Szantaż czy nie szantaż, myślę, że to wskazuje na niego. A jego zachowanie... cóż, zachowanie jego jest dość niefortunne.

— Być może — powiedział sucho Herkules Poirot — ale zachowanie nie czyni mordercy!

— Więc sądzi pan, że jest poza podejrzeniami? — spytał Weston.

Poirot potrząsnął głową.

— Nie. Tego nie twierdzę.

— Zobaczmy, co Colgate wywnioskuje z alibi, jakie daje to pisanie na maszynie. Tymczasem posłuchajmy, co ma do powiedzenia pokojówka z tego piętra. Czeka na przesłuchanie. Wiele może zależeć od jej zeznań.

Pokojówka była kobietą trzydziestoletnią, energiczną, sprawną i inteligentną. Odpowiadała chętnie.

Kapitan Marshall zajrzał do swego pokoju tuż po godzinie pół do jedenastej. Kończyła wówczas sprzątać pokój. Poprosił, żeby postarała się uwinąć tak prędko, jak potrafi. Nie zauważyła go, gdy wracał, ale wkrótce usłyszała odgłos maszyny do pisania. Jej zdaniem była wówczas mniej więcej za pięć jedenasta. Sprzątała wtedy pokój państwa Redfernów. Później przeszła do pokoju panny Darnley na końcu korytarza. Stamtąd nie mogła już słyszeć maszyny do pisania.

Do pokoju panny Darnley weszła tuż po jedenastej. Przypomina sobie, że gdy tam wchodziła, zegar kościelny w Leathercombe wybijał akurat godzinę. Kwadrans po jedenastej zeszła na dół. O jedenastej była pora na filiżankę herbaty i małą przekąskę. Później sprzątała pokoje w drugim skrzydle hotelu. Na prośbę inspektora policji wyjaśniła, że sprzątała pokoje w następującej kolejności: pokój i łazienka pani Marshall, pokój pana Marshalla, pokój i łazienka państwa Redfernów, pokój i łazienka panny Darnley. Pokoje kapitana Marshalla i panny Marshall nie miały własnych łazienek.

W czasie, gdy przebywała w pokoju panny Darnley, nie słyszała, aby ktoś przechodził koło drzwi lub wychodził na schody prowadzące ku skałom, lecz i tak nie usłyszałaby go, gdyby szedł cicho.

Weston zaczął następnie pytać o panią Marshall. Nie, pani Marshall z reguły nie wstawiała wcześniej. Ona, Gladys Narracott, była zaskoczona ujrzawszy, że tuż po dziesiątej drzwi są otwarte, a pani Marshall wyszła. Było to coś doprawdy niezwykłego.

— Czy pani Marshall zawsze jadła śniadanie w łóżku?

— Tak, proszę pana, zawsze. Niewiele tego było.

Tylko herbata i sok pomarańczowy z jedną grzanką. Odchudzała się, jak wiele innych pań.

Nie, nie, tego ranka nie zauważyła niczego niezwykłego w zachowaniu pani Marshall. Wydawała się taka jak co dnia. Herkules Poirot zapytał cicho:

— Co pani sądzi o pani Marshall, *mademoiselle*? Gladys Narracott spojrzała na niego.

— Cóż, chyba nie ja powinnam o tym mówić, proszę pana?

— Ależ tak, powinna pani. Chcemy... bardzo chcemy usłyszeć pani wrażenia.

Gladys rzuciła nieco niepewne spojrzenie na komisarza, który przybrał pełną aprobaty i sympatyczną minę, choć w głębi duszy był nieco zakłopotany metodami śledczymi swego zagranicznego kolegi. Zachęcił ją jednak:

— Hm... tak, oczywiście, proszę mówić. Po raz pierwszy Gladys Narracott objawiła pewne zakłopotanie. Zaczęła skubać palcami perkalową sukienkę. — Cóż, pani Marshall... nie była, jak by to powiedzieć, zupełną damą. Chcę powiedzieć, że wyglądała raczej na aktorkę.

— Była aktorką — potwierdził pułkownik Weston.

— Tak, proszę pana, właśnie to mówię. Zachowywała się tak, jak chciała. Nie... nie zadawała sobie trudu, żeby być uprzejma, kiedy nie miała na to ochoty. Raz była cała w uśmiechach, a za chwilę, kiedy nie mogła czegoś znaleźć albo nie odpowiedziało się od razu na jej dzwonek, albo pranie nie wróciło, potrafiła być ordynarna i paskudna. Można powiedzieć, że żadna z nas nie lubiła jej. Ale miała śliczne suknie i była bardzo piękną kobietą, więc oczywiście podziwiano ją.

— Przykro mi, że to poruszam, ale sprawa jest bardzo istotna. Czy może nam pani powiedzieć, jak się układały stosunki pomiędzy nią a jej mężem? — spytał pułkownik Weston.

Gladys Narracott wahała się przez chwilę.

— Pan nie... to nie było... pan nie myśli, że to on zrobił?

— A pani? — wtrącił prędko Herkules Poirot.

— Och, nie! To taki miły człowiek, ten pan kapitan Marshall. Nie mógłby zrobić czegoś takiego... jestem pewna, że by nie mógł.

— A jednak nie jest pani całkiem pewna. Słyszę to w pani głosie.

Gladys Narracott odparła niechętnie:

— Czyta się w gazetach o takich rzeczach! Kiedy rodzi się zazdrość, jeżeli się coś dzieje... a wszyscy o tym mówili... to znaczy o niej i panu Redfern. A pani Redfern — to taka miła, spokojna

osoba! Przecież to wstyd! Pan Redfern też jest miły. Myślę, że mężczyźni nie potrafią sobie poradzić z kobietami takimi jak pani Marshall... które zawsze stawiają na swoim. Żony muszą wiele znosić — westchnęła i urwała. — A kapitan Marshall dowiedział się o tym...

— Tak? — spytał ostro pułkownik Weston. Gladys Narracott powoli odpowiedziała:

— Czasem wydawało mi się, że pani Marshall bała się, że mąż się dowie.

— Co nasunęło pani takie myśli?

— Nic określonego, proszę pana. Tylko tak czułam, że czasem... bała się go. To jest bardzo spokojny mężczyzna... ale nie łatwy.

— Nie opiera się pani na czymś określonym? Na czymś co któreś z nich powiedziało do drugiego? — indagował Weston.

Gladys Narracott wolno potrząsnęła głową. Weston westchnął.

— A teraz o listach, które pani Marshall otrzymała dziś rano. — Czy może nam pani coś o nich powiedzieć?

— Było ich sześć albo siedem, proszę pana. Nie wiem dokładnie.

— Czy zaniósła je pani do jej pokoju?

— Tak, proszę pana. Wzięłam je jak zwykle z biura i położyłam na tacy ze śniadaniem.

— Czy pamięta pani, jak wyglądały? Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Były to zwyczajne listy. Rachunki, reklamy, jak myślę, bo leżały podarte na tacy.

— Co się z nimi stało?

— Poszły do zsypu na śmieci. Jeden z tych panów z policji tam grzebie.

Weston skinął głową.

— A gdzie jest teraz zawartość koszy na śmieci?

— Też są w zsypie.

— Hm... cóż. Myślę, że na razie to wszystko — rzekł Weston i spojrzał pytająco na Poirota. Poirot pochylił się ku Gladys.

— Kiedy sprzątała pani dziś rano pokój panny Lindy Marshall, czy sprzątała pani także w kominku?

— Nie, proszę pana. Nie było czego sprzątać. Nie palono w nim.

— Nie było niczego w kominku?

— Nie, proszę pana.

— O której sprzątała pani u niej?

— Mniej więcej kwadrans po dziewiątej, kiedy zeszła na śniadanie, proszę pana.

— Nie wie pani, czy wróciła do swojego pokoju po śniadaniu?

— Wiem. Weszła na górę około za kwadrans dziesiąta.

— Czy pozostała w pokoju?

— Tak myślę, proszę pana. Wyszła pośpiesznie tuż przed pół do jedenastej.

— Nie wchodziła pani ponownie do jej pokoju?

— Nie. Skończyłam tam pracę. Poirot skinął głową i spytał:

— Jest jeszcze coś, o czym chciałbym wiedzieć. Kto z tych ludzi kąpał się w morzu dziś przed śniadaniem?

— Nie mogę nic powiedzieć o drugim skrzydle i o drugim piętrze. Tylko o tym.

— To wszystko, czego chcę się dowiedzieć.

— Więc, proszę pana, dziś rano tylko kapitan Marshall i pan Redfern, jak mi się wydaje. Zawsze przed śniadaniem wchodzą do morza.

— Czy widziała ich pani?

— Nie, ale na balustradzie balkonu jak zwykle wisiały mokre kostiumy kąpielowe.

— Panna Linda Marshall nie kąpała się?

— Nie, proszę pana. Wszystkie jej kostiumy kąpielowe były suche.

— Aha, to właśnie chciałem wiedzieć. Gladys Narracott dodała nie pytana:

— Ona kąpie się prawie każdego ranka, proszę pana.

— A trzy pozostałe panie? Panna Darnley, pani Redfern i pani Marshall?

— Pani Marshall nigdy. Panna Darnley raz czy dwa razy, pani Redfern rzadko kąpie się w morzu... i tylko wtedy, kiedy jest bardzo gorąco... ale dziś rano nie pływała.

Poirot ponownie skinął głową. Po chwili zapytał:

— Ciekaw jestem, czy zauważyła pani, że brakuje jednej z butelek w którymś z pokojów będących pod pani opieką w tym skrzydle hotelu?

— Butelki, proszę pana? Jakiego rodzaju butelki?

— Niestety, nie wiem. Ale czy zauważyła pani... lub mogłaby pani zauważyć, gdyby którejś brakowało?

Gładys odparła szczerze:

— Nie zauważyłabym, gdyby zniknęła z pokoju pani Marshall, proszę pana, to pewne. Ma ich tam tak wiele.

— Aż innych pokoiów?

— Cóż, nie jestem pewna panny Darnley. Ma ona dość dużo kremów i płynów kosmetycznych. Ale z innych pokoiów tak, chyba bym dostrzegła, proszę pana. Chcę powiedzieć, gdybym przyglądała się umyślnie. Gdybym zwróciła na to uwagę.

— Ale nie zauważyła pani?

— Nie, bo, jak powiedziałam, nie przyglądałam się specjalnie.

— Może więc zechce pani pójść teraz i przyjrzeć się?

— Oczywiście, proszę pana.

Wyszła z pokoju, szeleszcząc perkalową sukienką. Weston spojrzał na Poirota i zapytał:

— Co to wszystko znaczy? Poirot odparł półgłosem:

— Mój systematyczny umysł gnębią drobiazgi. Panna Brewster dziś rano kąpała się przed śniadaniem w pobliżu skał i powiada, że rzucona z góry butelka niemal ją ugodziła. *Eh, bien*, chcę wiedzieć, kto rzucił tę butelkę i dlaczego?

— Mój drogi, każdy mógł wyrzucić butelkę.

— Nie każdy. Po pierwsze, mogła ona zostać jedynie wyrzucona z okna po wschodniej stronie hotelu... to znaczy z okna jednego z pokoiów, które właśnie przeszukaliśmy. Chciałbym pana teraz zapytać, co by pan zrobił z butelką, którą miałby pan na toalecie albo w łazience. Powiem panu, wyrzuciłby ją pan do kosza na śmieci. Nie zadawałby pan sobie trudu wyjścia na balkon i ciśnięcia jej do morza! Gdyż, po pierwsze, mógłby pan trafić kogoś, a po drugie sprawiłoby to wiele kłopotu. Nie, uczyniłby pan tak jedynie wówczas, gdyby nie chciał pan, aby ktokolwiek zobaczył tę właśnie butelkę.

Weston spojrzał na niego i rzekł:

— Inspektor Japp, z którym zetknąłem się niedawno przy pewnym dochodzeniu, zawsze mówił, że ma pan przekłęcie powikłany umysł. Nie chce mi pan chyba teraz powiedzieć, że Arlena Marshall nie została w ogóle uduszona, ale otruta zawartością jakiejś tajemniczej buteleczki zawierającej tajemniczą truciznę?

— Nie, nie. Nie sędzę, żeby w tej butelce była trucizna.

— Więc co w niej było?

— Nie mam pojęcia. Dlatego jestem zaintrygowany.

Powróciła nieco zadyszana Gladys Narracott.

— Przykro mi, proszę pana, ale nie widzę, żeby cokolwiek brakowało. Jestem pewna, że nic nie zniknęło z pokoju kapitana Marshalla, panny Lindy Marshall ani z pokoju Redfernów. Jestem niemal pewna, że nic nie zniknęło z pokoju panny Darnley. Ale nie mogę nic powiedzieć o pokoju pani Marshall. Jak wspomniałam, miała całą masę buteleczek.

Poirot wzruszył ramionami.

— Nieważne. Dajmy temu spokój.

— Czy jeszcze coś, proszę pana? — spytała Gladys Narracott spoglądając kolejno na obu mężczyzn.

— Nie sędzę. Dziękuję pani — rzekł Weston.

— I ja dziękuję pani — powiedział Poirot. — Czy jest pani pewna, że niczego... absolutnie niczego nie zapomniała nam pani powiedzieć?

— O pani Marshall, proszę pana?

— O czymkolwiek. O czymś niezwykłym, niecodziennym, niewyjaśnionym, nieco osobliwym, trochę dziwnym... *enfin*, o czymś, co kazało pani pomyśleć albo powiedzieć którejś z koleżanek: „To dziwne!”.

— Nie stało się nic takiego — odrzekła niepewnie Gladys — co pan ma na myśli, proszę pana.

— Proszę nie przejmować się tym, co mam na myśli. Nie wie pani, co mam na myśli. Więc to prawda, że powiedziała pani dziś rano do siebie albo do koleżanki: „To dziwne!”?

Dwa ostatnie słowa wypowiedział po zabawnej pauzie.

— Tak naprawdę, to nie jest nic ważnego. Tyle tylko, że ktoś wypuścił wodę z wanny. A ja powiedziałam na dole do Elsie, że to dziwne, żeby ktoś kąpał się w wannie w samo południe.

— W czyjej wannie? Kto się kąpał?

— Nie wiem. Usłyszałyśmy wodę spływającą rurą z tego skrzydła, to wszystko. Wtedy właśnie powiedziałam do Elsie to, co powiedziałam.

— Czy jest pani pewna, że to była wanna? A nie umywalka?

— Zupełnie pewna, proszę pana. To trudno pomylić. Ponieważ Poirot nie miał więcej pytań, pozwolono Gladys Narracott odejść.

— Nie sądzi pan chyba, że to pytanie dotyczące wanny może mieć jakieś .znaczenie, panie Poirot? Co to może mieć wspólnego z naszą sprawą? Żadnych krwawych plam, niczego innego do zmycia. To właśnie... — zawahał się.

Poirot wszedł mu w słowo.

— To właśnie jest zaletą duszenia? Żadnych plam z krwi, żadnego narzędzia zbrodni... niczego do ukrycia! Potrzebna jest jedynie siła fizyczna i... dusza mordercy!

W głosie jego była taka gwałtowność, tak był on przepełniony uczuciem, że Weston cofnął się nieco. Herkules Poirot uśmiechnął się przepaszająco.

— Ta wanna nie ma prawdopodobnie znaczenia. Każde z nich mogłoby się wykąpać. Pani Redfern przed grą w tenisa, kapitan Marshall, panna Darnley. Jak powiedziałem, każde z nich. Nic się za tym nie kryje.

Umundurowany policjant zapukał do drzwi i wsunął głowę do pokoju.

— Chodzi o pannę Darnley, proszę pana. Mówi, że chce się z panem zobaczyć. Twierdzi, że zapomniała o czymś powiedzieć.

— Zejdźmy na dół, od razu — rzekł Weston.

III

Pierwszą osobą, jaką ujrzeli, był Colgate. Twarz miał posępną.

— Tylko minutę, proszę pana.

Weston i Poirot weszli za nim do gabinetu pani Castle.

— Sprawdziłem, razem z Healdem, tę historię z pisaniem na maszynie. Nie ma wątpliwości, że nie dałoby się tego napisać szybciej niż w godzinę. A trwałoby to dłużej, gdyby trzeba było przerwać od czasu do czasu, żeby się zastanowić. Wydaje mi się, że to wyjaśnia wszystko. A niech pan spojrzy na ten list.

Podał mu list.

Mój Drogi, przykro mi, że muszę ci zawracać głowę w czasie wypoczynku, ale w związku z umowami Bitrleya i Tendera powstała zupełnie nieprzewidziana sytuacja...

— I tak dalej, i tak dalej — powiedział Colgate. — Datowany dwudziestego czwartego, to znaczy wczoraj. Kopertę ostemplowano wczoraj wieczorem w Londynie E.C.L, a w Leathercombe dziś rano. Tej samej maszyny do pisania użyto przy pisaniu listu i adresu na kopercie. A sądząc z zawartości, było rzeczą zupełnie niemożliwą, aby Marshall mógł z góry przygotować odpowiedź. Obliczenia opierają się na liczbach podanych w liście... Cała rzecz jest bardzo powikłana.

— Hm... — mruknął Weston. — Zdaje się, że Marshall nie wchodzi w grę. Trzeba będzie szukać gdzie indziej. — Dodał: — Musimy porozmawiać z panną Darnley. Czeka na nas.

Rosamund weszła energicznym krokiem, uśmiechając się jakby przepraszająco. Powiedziała:

— Bardzo mi przykro. Prawdopodobnie rzecz nie jest warta wzmianki. Ale człowiek tak łatwo zapomina.

— Tak, panno Darnley? Komisarz wskazał jej krzesło. Potrząsnęła swą kształtną, ciemną głową.

— Och, nie warto nawet siadać. Chodzi po prostu o to: powiedziałam panom, że spędziłam przedpołudnie wylegując się na Słonecznej Krawędzi. Nie jest to zupełnie dokładne. Zapomniałam, że raz w ciągu tego przedpołudnia poszłam do hotelu.

— O której godzinie, panno Darnley?

— Musiało to być kwadrans po jedenastej.

— Mówi pani, że wróciła pani do hotelu?

— Tak. Zapomniałam okularów przeciwsłonecznych. Początkowo myślałam, że nie będą mi potrzebne, ale później oczy zaczęły mnie boleć, więc postanowiłam pójść po szkła.

— Poszła pani prosto do swego pokoju? I od razu pani wyszła?

— Tak. Dla ścisłości dodam, że zajrzałam do Ken... do kapitana Marshalla. Usłyszałam jego maszynę do pisania i pomyślałam, że robi głupstwo pisząc w ciągu tak pięknego dnia. Chciałam go namówić do wyjścia.

— A co powiedział kapitan Marshall? Rosamund uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem.

— Kiedy otworzyłam drzwi, pisał z takim zapałem i był tak skupiony, że po prostu wycofałam się cichutko. Jak mi się wydaje, chyba nie zauważył nawet, że weszłam.

— Która była wtedy godzina, panno Darnley?

— Niemal dokładnie dwadzieścia po jedenastej. Wychodząc spojrzałam na zegar w hallu.

IV

— To zamyka rzecz ostatecznie — powiedział inspektor Colgate. — Pokojówka słyszała, jak pisze do godziny za pięć jedenasta. Panna Darnley widziała go dwadzieścia minut po jedenastej, a tamta kobieta nie żyła już o godzinie za kwadrans dwunasta. Marshall twierdzi, że spędził tę godzinę w swoim pokoju i teraz mamy potwierdzenie, że mówił prawdę.

Urwał i zerknął ciekawie na Poirota.

— Pan Poirot wygląda, jak gdyby rozważał jakąś sprawę.

— Zastanawiałem się — rzekł Poirot po namyśle — dlaczego panna Darnley tak niespodziewanie zgłosiła ten dodatkowy dowód.

Inspektor Colgate z nagłym zaciekawieniem uniósł głowę.

— Myśli pan, że jest w tym coś podejrzanego? Że to nie tylko zapomnienie? — Zastanawiał się przez kilka minut, po czym dodał:

— Spróbujmy spojrzeć na to w taki sposób, proszę pana: załóżmy, że panna Darnley nie była dziś rano na Słonecznej Krawędzi, tak jak twierdzi. Załóżmy też, że jej opowiadanie to kłamstwo. Przypuśćmy, że po przesłuchaniu odkryła, że ktoś widział ją koło hotelu, albo nie zastał jej na Słonecznej Krawędzi. Wówczas szybko obmyśla tę ostatnią historyjkę, przychodzi tu i przedstawia nam coś, co usprawiedliwia jej nieobecność. Zechce pan zauważyć, że była ostrożna i stwierdziła, że kapitan Marshall nie dostrzegł jej, kiedy zajrzała do jego pokoju.

— Tak, zauważyłem to — szepnął Poirot.

— Czy sugerujecie — spytał z niedowierzaniem Weston — że panna Darnley ma w tym swój udział? Bzdura, wydaje mi się to absurdalne. Dlaczego miałyby być zamieszana?

Inspektor Colgate odkaszlnął i rzekł:

— Proszę sobie przypomnieć, co powiedziała ta Amerykanka, pani Gardener. Dała na swój sposób do zrozumienia, że panna Darnley jest zakochana w kapitanie Marshallu. To by stworzyło motyw, proszę pana.

— Arlena Marshall nie została zabita przez kobietę — rzucił niecierpliwie Weston. — Musimy szukać mężczyzny. W tej sprawie musimy trzymać się mężczyzn.

Inspektor Colgate westchnął.

— Tak, to prawda, proszę pana. Zawsze wracamy do tego samego.

— Trzeba wyznaczyć policjanta — ciągnął Weston — aby obliczył, ile czasu zabiera dojście z hotelu przez całą wyspę do drabiny, normalnym krokiem i biegnąc. Tak samo schodzenie i wchodzenie po drabinie oraz przepłynięcie łódką z plaży do zatoczki. Inspektor Colgate skinął głową.

— Zajmę się tym, proszę pana. Szef policji powiedział:

— Teraz udam się do zatoczki. Proszę sprawdzić, czy Phillips coś znalazł. Jest jeszcze ta Grota Skrzata. Musimy przekonać się, czy są tam jakieś ślady świadczące o tym, że ktoś się w niej ukrywał. I cóż, Poirot? Co pan sądzi?

— Oczywiście. Jest to możliwe.

— Byłaby to dobra kryjówka dla kogoś, kto z zewnątrz wśliznął się na wyspę. Oczywiście, gdyby o niej wiedział. Przypuszczam, że tutejsi mieszkańcy wiedzą?

— Nie wierzę, aby wiedziało młodsze pokolenie — stwierdził Colgate. — Widzi pan, od chwili, kiedy hotel rozpoczął działalność, zatoczki są prywatną własnością. Ani rybacy, ani wycieczki już tam się nie pojawiają. A obsługa hotelu nie składa się z miejscowych ludzi. Nawet pani Castle przybyła z Londynu.

— Moglibyśmy wziąć z sobą Redferna — zaproponował Weston. — To on opowiedział nam o grocie. A pan, panie Poirot?

Herkules Poirot zawahał się. Z bardzo wyraźnym cudzoziemskim akcentem odparł:

— Ja, tak jak panna Brewster i pani Redfern, nie lubię pionowych drabin.

— Może pan dostać się tam łodzią — powiedział Weston.

Herkules Poirot ponownie westchnął.

— Mój żołądek bardzo źle znosi kołysanie na morzu.

— Bzdura, człowieku. Dzień jest piękny. Morze spokojne jak staw przy młynie. Nie może nam pan sprawić zawodu.

Słynny detektyw nie wydawał się jednak skłonny do udania się na wycieczkę łodzią. Na szczęście wybawiła go pani Castle, która wsunęła w uchylone drzwi swą wytworną głowę ozdobioną wyszukaną fryzurą.

— Mam nadzieję, że nie jestem natrętna — powiedziała — ale pan Lane, ten duchowny, wrócił przed chwilą. Pomyślałam, że panowie może będą chcieli z nim pomówić.

— O tak, dziękuję, pani Castle. Przyjmiemy go od razu.

Pani Castle wsunęła się nieco głębiej do pokoju.

— Nie wiem, czy warto o tym wspominać — rzekła — ale panowie mówili, żeby nie lekceważyć nawet błahego wydarzenia.

— Tak? O co chodzi? — przynaglił ją Weston.

— Tylko to, że o pierwszej była tu jedna pani z jednym panem. Przybyli na lunch. Poinformowano ich, że lunchu nie będzie, ponieważ zdarzył się wypadek.

— Nie ma pani pojęcia, kto to był?

— Nie. Nie podali nazwisk. Wyrazili rozczarowanie i trochę zaciekawiło ich, jaki to był wypadek. Oczywiście, niczego im nie powiedziałam. Od siebie mogę dodać, że byli to letnicy z lepszej sfery.

— Dziękuję za informację — uciął szorstko Weston.

— Prawdopodobnie nie ma to znaczenia, ale bardzo dobrze... hm... że pani pamiętała.

— Pragnęłam jedynie spełnić swój obowiązek — stwierdziła pani Castle.

— Oczywiście, oczywiście. Proszę poprosić pana Lane'a, żeby tu przyszedł.

Stephen Lane wszedł do pokoju zwykłym dla siebie zamaszystym krokiem.

— Jestem komisarzem policji tego hrabstwa, panie Lane — przedstawił się Weston. — Przypuszczam, że powiedziano panu, co się wydarzyło?

— Tak... o tak... usłyszałem o tym natychmiast po przyjściu. Okropne... okropne... — zadrżał na całym ciele i rzekł przyciszonym głosem: — Przez cały czas... od chwili, kiedy tu przybyłem... miałem świadomość... pełną świadomość... obecności sił nieczystych.

Płonące, pełne żarliwości oczy duchownego spojrzały na Poirota.

— Pamięta pan, panie Poirot, naszą rozmowę sprzed kilku dni: o realności zła?

Weston z pewnym zakłopotaniem wpatrywał się w tę wysoką, wychudłą postać. Nie potrafił rozgryźć tego człowieka. Ponownie poczuł na sobie spojrzenie Lane'a, który zwrócił się do niego z lekkim uśmiechem:

— Przypuszczam, że wydaje się to panu dziwaczne. W naszych czasach ludzie przestali wierzyć w zło. W ogień piekielny! Nie wierzymy już w diabła! Ale szatan i jego wysłannicy nigdy nie mieli tak wielkiej potęgi jak dziś!

— Hm... hm... być może — rzekł ugodowo Weston. — To, panie Lane, pańska dziedzina. Moje zadanie jest bardziej prozaiczne... mam wyjaśnić sprawę morderstwa.

— Straszliwe słowo. Morderstwo! — stwierdził Stephen Lane. — Jeden z najwcześniejszych grzechów, jakie poznała ziemia... okrutne przelanie niewinnej krwi brata... — urwał i przymknął oczy. Po chwili spokojniejszym głosem dodał:

— W jaki sposób mogę wam pomóc?

— Najpierw, panie Lane, może zechce pan powiedzieć, co pan dziś robił.

— Chętnie. Wyruszyłem wcześniej na pieszą wycieczkę. Wiele włóczę się tu po okolicy. Dziś poszedłem do St. Petrock-in-the-Combe. Leży ono mniej więcej siedem mil stąd... bardzo miła przechadzka krętymi ścieżkami po wzgórzach i dolinkach Devonu. Wziąłem z sobą prowiant i w jakimś zagajniku zatrzymałem się na lunch. Odwiedziłem kościół... są w nim fragmenty — niestety tylko fragmenty — wczesnych witraży... i bardzo interesujące malowidło otaczające otwór tęczowy.

— Dziękuję, panie Lane. Czy spotkał pan kogoś w czasie swej wycieczki?

— Z nikim nie rozmawiałem. Raz minął mnie wóz i poru chłopców na rowerach, i kilka krów. Mimo to — uśmiechnął się — jeśli chce pan potwierdzenia mojej prawdomówności, może pan

sprawdzić podpis, który złożyłem w księdze kościelnej.

— Nie spotkał pan nikogo w kościele... proboszcza albo kościelnego?

Stephen Lane potrząsnął głową.

— Nie. W pobliżu nikogo nie widziałem, a ja byłem jedynym zwiedzającym. St. Petrock jest bardzo odludnym miejscem. Wioska leży mniej więcej pół mili za kościołem.

— Nie powinien pan sądzić — powiedział uprzejmie pułkownik Weston — że... hm... wątpimy w prawdomówność pańskich słów. Jest to czynność rutynowa, rozumie pan, po prostu formalność. W takich sprawach należy przestrzegać procedury.

— Oczywiście, rozumiem pana — uspokoił go Stephen Lane.

Weston ciągnął:

— Teraz następny punkt. Czy wie pan o czymś, co mogłoby nam pomóc? Coś o zmarłej? Coś, co mogłoby stać się dla nas wskazówką, kto ją zamordował? Coś, co pan usłyszał lub zobaczył?

— Niczego nie słyszałem — rzekł Lane. — Mogę panom tylko powiedzieć, że gdy ujrzałem Arlenę Marshall, natychmiast instynktownie poczułem, że jest ona siedliskiem zła. Była wcielonym złem! Kobieta może być pomocą i natchnieniem w życiu mężczyzny... ale może stać się przyczyną jego upadku. Może ściągnąć mężczyznę do poziomu zwierzęcia. Zmarła była właśnie taką kobietą. Działała na najniższe męskie instynkty. Należała do rodu Jezabel i Aholiby. Dziś... dosięgnął ją grom w jej nikczemności!

Herkules Poirot drgnął. — Nie rażona... uduszona! Uduszona, panie Lane, ludzkimi rękoma.

Ręce duchownego zadrżały i zacisnęły się nerwowo.

Powiedział cichym, zdławionym głosem:

— To ohydne... ohydne... Czy musi pan tak to określać?

— Tak właśnie było — stwierdził Herkules Poirot. — Czy domyśla się pan, panie Lane, czyje to mogłyby być ręce?

Tamten potrząsnął głową. — Nie wiem nic... nic... — wyszeptał. Weston wstał rzuciwszy spojrzenie na Colgate'a, który odpowiedział mu niedostrzegalnym niemal skinieniem, i oświadczył:

— Cóż, musimy udać się teraz do zatoczki.

— Czy to się tam wydarzyło? — zapytał Lane. Weston potwierdził skinieniem głowy.

— Czy.... czy mogę pójść z wami? — poprosił duchowny.

Zanim Weston zdążył rzucić odmowną odpowiedź, wtrącił się Poirot.

— Oczywiście — rzekł zachęcająco. — Niech pan popłynie łodzią wraz ze mną, panie Lane. Zaraz ruszamy.

Rozdział dziewiąty

Po raz drugi tego dnia Patrick Redfern wprowadził łódź do Zatoczki Skrzata. Prócz niego w łodzi znajdowali się: Herkules Poirot, bardzo blady z ręką na żołądku, oraz Stephen Lane. Pułkownik Weston wybrał drogę lądową. Ponieważ coś go zatrzymało w hotelu, znalazł się na plaży w tej samej chwili, kiedy łódź przybiła do brzegu. Umundurowany policjant i ubrany po cywilnemu sierżant byli już na plaży. Weston akurat rozmawiał z sierżantem, gdy przyłączyli się do nich trzej mężczyźni z łodzi.

Sierżant Phillips mówił:

— Sądzę, że przebadalem każdy cal tej plaży, proszę pana.

— Dobrze, a co znaleźliście?

— Mam to wszystko tutaj, proszę pana, może zechce pan podejść i zobaczyć?

Na skale rozłożono porządnie małą kolekcję rozmaitych przedmiotów. Były tam nożyczki, puste pudełko po papierosach „Gold Flake”, pięć kapsli z butelek, trochę zużytych zapalek, trzy kawałki sznurka, jeden czy dwa skrawki gazety, fragment strzaskanej fajki, cztery guziki, kość z nogi kurczaka i pusta buteleczka po olejku do opalania.

Weston przyjrzał się badawczo tym przedmiotom.

— Hm... — powiedział — raczej skromnie jak na plażę, którą większość ludzi uważa za publiczne śmietnisko. Sądząc z tej wyblakłej naklejki, ta pusta butelka przeleżała tu już trochę czasu. Tam samo jak i inne rzeczy. Ale nożyczki są nowe. Czyste i lśniące. Nie leżały tu wczoraj podczas deszczu. Gdzie je znalazłeś?

— Tuż koło drabiny, proszę pana. Fajka też tam była.

— Hm, musiał ją upuścić ktoś idący po drabinie. Nic nie wskazuje na to, do kogo mogą należeć?

— Nie, proszę pana. Zwykle nożyczki do paznokci. Fajka jest wrzosowa, w dobrym gatunku i kosztowna.

Poirot wyszeptał w zadumie:

— Kapitan Marshall powiedział nam, jak mi się wydaje, że zapodział gdzieś swoją fajkę.

— Marshalla skreśliliśmy — przypomniał Weston. — Zresztą nie jest jedyną osobą, która pali fajkę.

Stephen Lane podniósł rękę do kieszeni, ale szybko ją opuścił.

— Pan także pali fajkę, prawda, panie Lane? — spytał obserwujący go Herkules Poirot.

Duchowny drgnął. Spojrzał na Poirota.

— Tak — przyznał. — Moja fajka to stary przyjaciel i towarzysz. — Powtórnie wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął fajkę wypełnioną tytoniem i zapalił ją.

Herkules Poirot podszedł do Redferna, który stał nieruchomo patrząc tępo przed siebie.

— Cieszę się, że ją stąd zabrali... — szepnął. Stephen Lane zapytał:

— Gdzie ją znaleziono?

— Mniej więcej tam, gdzie pan stoi, proszę pana, odpowiedział pogodnie sierżant.

Lane odskoczył w bok. Wpatrzył się w miejsce, które przed chwilą opuścił. Sierżant mówił dalej:

— Punkt, w którym wyciągnięto łódkę na brzeg, pozwala ustalić, że przybyła tu o 10.45. Zgadzałoby się to z czasem przyływu. Teraz zaczął się odpływ.

— Zdjęcia zrobione? — zapytał Weston.

— Tak, proszę pana.

Weston zwrócił się do Redferna.

— Gdzie jest wejście do tej pańskiej jaskini? Patrick Redfern nadal wpatrywał się w miejsce, gdzie poprzednio stał Stephen Lane. Jak gdyby nadal widział to bezwładne ciało, którego już nie było. Głos Westona przywołał go do rzeczywistości.

Poprowadził mężczyznę w stronę wielkich, spiętrzonych głazów rozrzuconych malowniczo u stóp skały. Zatrzymał się przy dwóch wielkich odłamach skalnych, między którymi dostrzec można było prostą, wąską szczelinę. Powiedział:

— Wejście jest tu.

— Tu? — zdziwił się Weston. — Nie wygląda na to, żeby człowiek mógł się tędy przecisnąć.

— To tylko złudzenie, jak pan sam się przekona. Z łatwością można tędy przejść.

Weston wsunął się ostrożnie w szczelinę. Nie była tak wąska, jak wydawało się na pierwszy rzut oka. Wewnątrz rozszerzała się, tworząc dość rozległe zagłębienie, w którym było dość miejsca, żeby się wyprostować i poruszać. Herkules Poirot i Stephen Lane poszli w ślady komendanta policji. Z zewnątrz przenikało przez szczelinę trochę światła, ponadto Weston miał z sobą silną latarkę, którą oświetlił wnętrze.

— Dogodne miejsce — zauważył. — Z zewnątrz nic nie widać.

Uważnie przesunął światłem latarki po dnie grotu. Zauważywszy, że Herkules Poirot wacha powietrze, rzekł:

— Powietrze zupełnie czyste, nie pachnie rybami ani wodorostami, ale miejsce to leży, oczywiście, sporo ponad linią przyływu.

Lecz wrażliwy nos Poirota wyczuł coś więcej niż tylko zapach powietrza: subtelną woń perfum, których — jak wiedział — używały dwie osoby...

Weston przestał przeszukiwać grotę światłem latarki.

— Nie widzę tu nic nadzwyczajnego.

Oczy Poirota spoczęły na skalnej półce znajdującej się nieco ponad jego głową.

— Może warto zobaczyć, czy tam nie ma czegoś? — zaproponował półgłosem.

— Jeżeli tam coś jest — powiedział Weston — to musiało zostać umyślnie pozostawione. Ale lepiej sprawdźmy.

Poirot zwrócił się do Lane'a:

— Sądzę, że jest pan najwyższy z nas, *monsieur*. Czy będzie pan uprzejmy sprawdzić, czy nic nie leży na tym występie?

Lane wyprostował się, ale nie mógł dosięgnąć do końca półki skalnej. Wsunął więc czubek buta w szczelinę w skale i podciągnął się jedną ręką.

— O, leży tam jakieś pudełko — rzekł.

Po chwili wynurzyli się na światło dzienne, by zbadać znalezisko duchownego.

— Ostrożnie — poprosił Weston — nie dotykajcie tego. Mogą tu być jakieś odciski palców.

Była to ciemnozielona blaszana puszką z napisem: KANAPKI.

— Przypuszczam, że pozostawiono je w czasie jakiejś wycieczki — rzekł sierżant Phillips unosząc wieko przez chustkę do nosa.

Wewnątrz znajdowały się małe pojemniczki z napisami: „Sól”, „Pieprz”, „Musztarda” i dwa większe pojemniki, najwyraźniej na kanapki. Sierżant Phillips uniósł wieczko solniczki. Była pełna po brzegi. Uniósł wieczko następnego pojemnika.

— Mieli sól także i w tym na pieprz.

Tam, gdzie miała być musztarda, także znajdowała się sól. Z nagle obudzoną czujnością sierżant otworzył jeden z większych pojemników, który okazał się także wypełniony białym krystalicznym

proszkiem. Ostrożnie sierżant Phillips zanurzył w nim palec i uniósł go do ust. Nagle zmienił się na twarzy i zawołał z podnieceniem:

— To nie sól, proszę pana! To nawet nie leżało obok soli! Gorzki smak! Wydaje mi się, że to jakiś narkotyk!

II

— Trzeci kierunek śledztwa! — powiedział z westchnieniem pułkownik Weston, gdy powrócili do hotelu. — Jeżeli okaże się, że za tym kryje się jakiś gang handlarzy narkotyków, otworzy to wiele możliwości. Po pierwsze, zmarła mogła być członkiem tego gangu. Sądzi pan, że to prawdopodobne?

— To możliwe — przyznał ostrożnie Herkules Poirot.

— Mogła też być narkomanką. Poirot potrząsnął głową.

— Wątpię w to — powiedział. — Miała silne nerwy, wspaniałe zdrowie, na ciele nie było śladów igły... choć to nie jest żadnym dowodem. Niektórzy narkotyzują się wachając to świństwo. Nie, nie sądzę, żeby używała narkotyków.

— W takim razie — rzekł Weston — mogła odkryć to przypadkowo i ktoś wolał ją uciszyć. Wkrótce będziemy wiedzieli, co tam jest. Posłałem to do Neasdena. Jeżeli dotarliśmy do gangu handlarzy narkotyków... tacy ludzie nie przebierają w środkach i...

Urwał, gdyż otworzyły się drzwi i pan Horace Blatt wszedł zwawo do pokoju. Był zgrzany i ocierał pot z czoła. Jego tubalny głos brzmiał donośnie w małym pokoju.

— Właśnie wróciłem i dowiedziałem się, co się stało! Pan jest szefem policji? Powiedzieli mi, że jest pan tutaj. Nazywam się Blatt, Horace Blatt. Czy mogę wam jakoś pomóc? Chyba nie. Wypłynąłem wczesnym rankiem. Straciłem całe to przekłete widowisko. Raz coś się zdarzyło w tej odludnej dziurze, a mnie nie było! Takie jest życie, prawda? Hej, Poirot, nie zauważyłem pana w pierwszej chwili. Więc pan też się tym zajął? Sherlock Holmes przeciw lokalnej policji, czy tak? Ha, ha! To przyjemność widzieć pana przy robocie.

Pan Blatt ulokował się w krześle, wyciągnął papierośnicę i podsunął ją pułkownikowi Westonowi. Ten potrząsnął przecząco głową i rzekł z lekkim uśmiechem:

— Jestem miłośnikiem fajki.

— Tak jak i ja. Czasem palę papierosy... ale uważam, że nie ma jak fajka.

Pułkownik Weston powiedział z nagłą jowialnością:

— Więc niech pan zapali fajkę.

— Nie mam przy sobie fajki. Ale proszę mnie we wszystko wtajemniczyć. Na razie wiem tylko tyle, że gdzieś na plaży znaleziono zwłoki pani Marshall.

— Nad Zatoczką Skrzata — uzupełnił Weston przyglądając mu się uważnie.

— Uduszona? — spytał podniecony pan Blatt.

— Tak.

— Paskudne, bardzo paskudne. Ale przyzna pan, że sama się o to prosiła! Gorąca dziewczyna... *tres moutarde*... co, panie Poirot? Macie jakieś podejrzenia, kto to zrobił, jeśli wolno mi zapytać?

— To raczej my zadajemy pytania — odparł z uśmiechem Weston.

— Przepraszam, przepraszam, popełniłem gafę. Proszę pytać — tłumaczył się Blatt wymachując ręką z papierosem.

— O której pan wypłynął?

— Za piętnaście dziesiąta.

— Zabrał pan kogoś ze sobą?

— Nikogo. Byłem samiuteńki.

— I dokąd się pan udał?

— Wzdłuż brzegu w kierunku Plymouth. Wziąłem z sobą lunch. Nie było wiatru, więc nie popłynąłem daleko.

Po kilku pytaniach na temat wycieczki pułkownik zmienił temat.

— A teraz Marshallowie. Czy wie pan coś, co mogłoby nam pomóc?

— Hm, zna pan już moją opinię. *Crime passionnel!* Mogę panu tylko powiedzieć, że to nie ja! Piękna Arlena nie zwracała na mnie uwagi. I tak bym nic nie wskórał. Miała swojego błękitnookiego chłopca! Sądzę, że Marshall zaczął się wszystkiego domyślać.

— Czy ma pan na to jakieś dowody?

— Widziałem, jak raz czy dwa obrzucił młodego Redferna paskudnym spojrzeniem. Zamknięty w sobie ten Marshall. Wygląda potulnie i łagodnie, jakby stale drzemał... ale w City ma inną opinię. Słyszałem o nim to i owo. Pewnego razu niemal został oskarżony o napaść. Marshall zaufał, a tamten — zresztą krętacz — wykantował go na zimno. Paskudnie brudna sprawa, o ile pamiętam. Marshall rzucił się na niego i mało brakowało, a byłby go zabił. Facet nie oskarżył go... bał się, że za dużo wyjdzie na jaw. Tyle słyszałem, sami osądźcie, ile to warte.

— Więc uważa pan, że kapitan Marshall mógł udusić swą żonę? — spytał Poirot.

— Skąd. Nic takiego nie powiedziałem. Po prostu chciałem was uświadomić, że ten facet potrafi jednak wpaść w szal.

— Panie Blatt, podejrzewamy, że pani Marshall udała się dziś rano do Zatoczki Skrzata na spotkanie. Czy nie ma pan pojęcia, z kim mogła się umówić? — zagadnął go Poirot.

Pan Blatt mrugnął.

— Nie zgaduję, jestem pewien. Z Redfernem!

— To nie był pan Redfern.

— W takim razie nie wiem... — stwierdził zaskoczony Blatt — nie, nie mogę sobie wyobrazić... — Urwał i podjął pewniejszym tonem: — Jak już powiedziałem, to nie byłem ja! Nie miałem tego szczęścia. Niech się zastanowię... to nie mógł być Gardener... żona nie spuszcza go z oka! Ten stary osioł Barry? Bzdura! I chyba nie pan pastor. Chociaż nie jestem taki pewien... Jego Wielbność często jej się przyglądał. Z absolutnie świątobliwą przyganą, ale może lubił sobie popatrzeć na krągłości! Co? Większość pastorów to hipokryci. Czytaliście panowie o tej sprawie w zeszłym miesiącu? Pastor i córka przewodniczącego komitetu parafialnego! Zdumiewające, co nie? — Pan Blatt zachichotał.

— A więc nie wie pan nic, co mogłoby nam pomóc? — podsumował zimno Weston.

— Nie. Nic mi nie przychodzi do głowy. — Blatt potrząsnął głową i dodał — Ależ będzie szum. Prasa rzuci się na te sprawę jak na świeże bułeczki. „Wesoły Roger” przestanie być taki ekskluzywny. „Wesoły Roger”, też mi. Ani odrobiny wesołości.

— Pobyt tutaj nie sprawił panu przyjemności? — zapytał półgłosem Herkules Poirot.

Pan Blatt jeszcze bardziej poczerwieniał.

— Nie. Wprawdzie świetnie się żegluję, krajobraz jest niezły, na obsługę i jedzenie też nie można narzekać. Ale brak koleżeństwa, wie pan przecież, co mam na myśli! W końcu moje pieniądze są tak samo dobre jak pieniądze innych ludzi. Przyjechaliśmy tu wszyscy, żeby się rozerwać. Dlaczego więc nie bawimy się razem? Tworzą się rozmaite kliki, każdy trzyma się osobno i tylko rzuca panu lodowate „dzień dobry” i „dobry wieczór”... i „bardzo ładna dziś pogoda”. Kompletnie brak radości życia. Kupa starych mumii. — Pan Blatt urwał... w tej chwili był czerwony jak burak. Otarł czoło i przeprosił zebranych.

— Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Łatwo się denerwuję.

III

— I jakie wrażenie wywarł na nas pan Blatt? — spytał Herkules Poirot po jego wyjściu.

Pułkownik Weston uśmiechnął się.

— Niech pan lepiej podzieli się z nami swoją opinią. Stykał się pan z nim częściej niż ja.

Poirot odparł cicho:

— Różnie można go określić. Bez ogłady. Człowiek zawdzięczający wszystko sobie! Dorobkiewicz. Jest on, w zależności od punktu widzenia, wzruszający, śmieszny, wrzaskliwy! Ale myślę, że prócz tego jest jeszcze...

— Jaki?

Herkules Poirot skierował wzrok w sufit i szepnął: — Sądzę, że jest zdenerwowany!

IV

Inspektor Colgate wszedł do pokoju i zameldował:

— Już sprawdziłem, ile czasu zajmuje przejście z hotelu do drabiny w Zatoczce Skrzata: trzy minuty. Krokiem spacerowym, póki się jest widzianym w okien hotelu, a później biegiem, na łeb, na szyję.

Weston uniósł brwi ze zdumieniem.

— To szybciej niż myślałem.

— Zejście po drabinie na plażę — minutę i czterdzieści sekund. W górę — około dwóch minut. Sprawdzał to Flint. Jest z niego kawał lekkoatlety. Normalnym krokiem straciłoby się na całe przejście około kwadransa.

Weston skinął głową.

— Jest jeszcze jedna sprawa, którą musimy się zająć. Ta fajka — powiedział.

— Blatt pali fajkę, Marshall i pastor — wtrącił Colgate. — Redfern pali papierosy, Amerykanin woli cygara. Major Barry w ogóle nie pali. Jedna fajka znajduje się w pokoju Marshalla, dwie w pokoju Blatta jedna u pastora. Pokojówka twierdzi, że Marshall ma dwie fajki. Druga pokojówka jest mniej rozgarnięta. Nie wie, ile fajek mają dwaj pozostali. Mówi, że zauważyła dwie czy trzy fajki w ich pokojach, ale nie jest pewna.

— Coś jeszcze? — spytał Weston.

— Sprawdziłem personel. Wszyscy wydają się O.K. Barman Henry potwierdza zeznanie Marshalla. Widział go o godzinie za dziesięć jedenasta. Dozorca plaży, William, reperował przez prawie całe przedpołudnie drabinę na skałach obok hotelu. George znaczył linie na kortach tenisowych, a później sadził kwiaty w pobliżu jadalni. Żaden z nich nie mógłby widzieć, czy ktoś idzie po grobli na wyspę.

— O której godzinie woda odsłoniła groblę?

— Około 9.30, proszę pana. Weston szarpnął swój wąs.

— Możliwe, że ktoś tamtędy nadszedł. Następny kierunek śledztwa, Colgate. — I opowiedział o odkryciu w grocie.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę wejść — powiedział Weston. Był to kapitan Marshall.

— Chciałbym się dowiedzieć, jak mam załatwiać formalności pogrzebowe.

— Myślę, że jutro powinna być rozprawa wstępna, kapitanie Marshall.

— Dziękuję panu.

— Przepraszam bardzo, chciałbym to panu zwrócić — rzekł inspektor Colgate podając mu trzy listy.

Kenneth Marshall uśmiechnął się nieco sardonicznie.

— Czy policja sprawdzała, jak szybko piszę na maszynie? Mam nadzieję, że zostałem oczyszczony z podejrzeń.

— Naturalnie, kapitanie Marshall — przyznał pułkownik Weston. — Wszystko w porządku. Napisanie tych stron na maszynie musiało trwać co najmniej godzinę.

Co więcej, do godziny za pięć jedenasta pokojówka słyszała pańską maszynę do pisania, a dwadzieścia po jedenastej widział pana inny świadek.

— Rzeczywiście? — mruknął kapitan Marshall. — To doskonale.

— Tak. Panna Darnley zajrzała do pańskiego pokoju o godzinie dwadzieścia po jedenastej. Był pan tak zajęty pisaniem na maszynie, że nie zauważył jej wejścia.

Twarz Kennetha Marshalla zachowała kamienny wyraz.

— Czy tak twierdzi panna Darnley? Ściśle mówiąc, myli się. Widziałem ją, chociaż może ona nie zdawać sobie z tego sprawy. Zobaczyłem ją w lustrze.

— Lecz nie przerwał pan pisania? — zainteresował się Poirot.

— Nie. Chciałem to skończyć — stwierdził krótko Marshall, po czym dodał: — Czy mogę być jeszcze w czymś pomocny, panowie?

— Nie, dziękuję, kapitanie.

Kenneth Marshall skinął głową i wyszedł. Weston powiedział z westchnieniem:

— Oto podejrzany, z którym łączono największe nadzieje... wychodzi oczyszczony z podejrzeń! A oto Neasden!

Doktor wszedł do pokoju nie okazując podniecenia.

— Przysłaliście mi kupę śmiercionośnego materiału! — zawołał.

— Co to jest?

— Co to jest? Dwuacetylmorfina. Potocznie zwana heroiną.

Inspektor Colgate gwizdnął.

— No, posuwamy się naprzód! Można się założyć, że te prochy są kluczem do całej afery.

Rozdział dziesiąty

I

Z gospody „Pod Czerwonym Bykiem” wyszła mała grupka ludzi. Rozprawa wstępna dobiegła końca — została odłożona na dwa tygodnie. Rosamund Darnley dołączyła do kapitana Marshalla.

— Nie było to aż tak straszne, prawda, Ken? — zapytała zniżając głos.

Nie odpowiedział od razu. Być może był świadomy, że śledzą go oczy mieszkańców wsi, że niemal pokazują go palcami.

— To on, kochana.

— Widzisz, to jej chłop.

— Ten tam, to mąż.

— Patrz, idzie.

Szepty nie były na tyle głośne, by dotrzeć do jego uszu, mimo to wyczuwał, co mówią. To był współczesny pręgierz. Odbył już spotkanie z prasą... pewni siebie, wygadani młodzi ludzie pragnęli rozwalić mur jego milczenia. Nawet monosylaby, którymi odpowiadał, sądząc, że one przynajmniej nie będą dowolnie interpretowane, zostało w porannych gazetach rozwinięte w dłuższe wypowiedzi: „Zapytany, czy według niego tajemnicę śmierci jego żony wyjaśnić można jedynie zakładając, że na wyspę przedostał się morderca–maniak, kapitan Marshall oświadczył, że...” i tak dalej, i tak dalej.

Bez przerwy szczękały aparaty fotograficzne. Nawet teraz do uszu jego dotarł ten dobrze znajomy już dźwięk i Kenneth Marshall obejrzał się... Młody człowiek, zadowolony ze zdjęcia, uśmiechnął się i pogodnie kiwał kapitanowi głową.

Rosamund półgłosem skomentowała: „Kapitan Marshall wraz z przyjaciółką opuszcza gospodę «Pod Czerwonym Bykiem» po ogłoszeniu wstępnego orzeczenia”.

Marshall drgnął.

— To nie ma sensu, Ken! Musisz życiu spojrzeć prosto w oczy. Myślę nie tylko o śmierci Arleny... ale też o związonym z tym paskudztwem. Oczy wyłażące z orbit na twój widok i plotkujące języki, głupkowate wywiady w gazetach... a najlepszym sposobem przeciwstawienia się im jest dostrzeżenie ich śmieszności. Odpowiadaj wyświechtanymi frazesami i kwituj je sardonicznym uśmiechem.

— Czy tak postępujesz? — zapytał.

— Tak — zrobiła pauzę — ale nie ty. Wiem o tym. Chcesz przyjąć barwy ochronne. Pozostać nieruchomym i rozplynać się w tle. Ale tu ci się nie uda... nie ma tła, w którym mógłbyś się

rozpłynąć. Stoisz wyraźnie na pierwszym planie i wszyscy cię widzą... jak pręgowanego tygrysa na tle białej zasłony. Mąż zamordowanej kobiety!

— Na miłość boską, Rosamund...

— Mój drogi — powiedziała łagodnie — staram ci się pomóc.

Przez chwilę nic nie mówili. W końcu Marshall odezwał się już innym tonem.

— Wiem, że chcesz pomóc. I doceniam to, Rosamund.

Minęli już wieś. Nadal czuli na plecach odprowadzające ich spojrzenia, ale w pobliżu nie było nikogo. Rosamund Darnley powtórzyła cicho wcześniejszą uwagę.

— Nie poszło tak bardzo źle, prawda?

— Nie wiem — rzekł Kenneth po krótkim milczeniu.

— Co myśli policja?

— Nie wiem. Odpowiadają wymijająco.

Znowu zapadła cisza. W końcu Rosamund powiedziała:

— Ten mały człowieczek... Poirot... czy on bierze czynny udział w śledztwie?

— Cały wczorajszy dzień przesiedział u boku komendanta policji.

— Wiem... ale czy coś robi?

— Skąd u diabła mam to wiedzieć, Rosamund?

— Jest już stary. Prawdopodobnie trochę zramolały. Doszli do grobli. Naprzeciw nich, skąpana w słońcu, leżała wyspa.

Rosamund powiedziała nagle:

— Czasem... to się wydaje nierzeczywiste. W tej chwili nie mogę uwierzyć, że to naprawdę się wydarzyło...

— Chyba wiem, co masz na myśli. Natura jest obojętna! Jedna mrówka mniej, jedna więcej — to nie ma znaczenia.

— Masz rację. Może tak właśnie powinniśmy na to patrzeć? — spytała Rosamund.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Nie przejmuj się, moja droga. Wszystko jest w porządku. Naprawdę.

I

Linda wyszła im na spotkanie do wylotu grobli. Poruszała się gwałtownie i niezgrabnie jak żrebak. Jej twarz Szpeciły głębokie cienie pod oczami. Wargi jej były suche i spierzchnięte.

— Co się działo... co... co powiedzieli? — spytała bez tchu.

Jej ojciec odparł zwięźle:

— Rozprawa wstępna odłożona na dwa tygodnie.

— To znaczy, że... nic nie orzekli?

— Nic. Potrzeba więcej dowodów.

— Ale... ale co oni myślą? Marshall mimowolnie uśmiechnął się.

— Nikt nie wie, drogie dziecko. I kogo masz na myśli mówiąc „oni”? Koronera, ławę przysięgłych, policję, reporterów, czy rybaków z Leathercombe?

Linda powiedziała powoli:

— Wydaje mi się, że mam na myśli policję.

— Cokolwiek policja myśli, na razie się z tym nie zdradza — odparł sucho Marshall i wszedł do hotelu.

Panna Darnley chciała ruszyć za nim, ale Linda zawołała:

— Rosamund!

Rosamund odwróciła się. Wzruszyło ją nieme błaganie wypisane na smutnej twarzy dziewczyny. Wzięła Lindę pod ramię i razem poszły ścieżką prowadzącą ku najdalszemu krańcowi wyspy.

— Staraj się nie przejmować tak bardzo, Lindo — poradziła. — Wiem, że to było okropne i wstrząsające przeżycie, ale nie ma sensu ciągle tego rozpamiętywać. Być może męczy cię jedynie okropność tego, co się stało. Przecież naprawdę wcale nie lubiłaś Arleny.

Przez ciało Lindy przebiegł dreszcz.

— Nie, nie lubiłam jej... — przyznała. Rosamund ciągnęła:

— Żal z powodu śmierci człowieka to co innego... tego się łatwo nie zapomina. Ale można przemóc wstrząs i przerażenie, gdy przestanie się medytować bez przerwy nad tym, co się stało.

— Nie, nie rozumiesz — ucięła ostro Linda.

— Myślę, że rozumiem, moja droga. Linda potrząsnęła głową.

— Nie, nie rozumiesz. W ogóle nie rozumiesz... Christine także nie rozumie! Obie byłyście dla mnie miłe, ale nie możecie zrozumieć, co czuję. Myślicie, że to chorobliwe... że niepotrzebnie o tym myślę. — Urwała. — A to w ogóle nie jest tak. Gdybyś wiedziała to, co ja wiem...

Rosamund stanęła jak wrta. Przez chwilę nie mogła się ruszyć. W końcu wyciągnęła rękę spod ramienia Lindy.

— A co wiesz? — spytała.

Dziewczyna spojrzała na nią potrząsając głową.

— Nic — wymamrotała.

Rosamund chwyciła ją za ramię. Uścisk był bolesny i Linda skrzywiła się lekko.

— Bądź ostrożna, Lindo. Bądź ostrożna, do diabła!

— powiedziała panna Darnley. Linda pobladła śmiertelnie...

— Jestem bardzo ostrożna... przez cały czas.

— Słuchaj Lindo — rzekła nagle Rosamund.

— Pamiętaj o tym, co powiedziałam przed chwilą... I tym bardziej staraj się zapomnieć. Nie myśl nigdy o tej sprawie. Uda ci się, jeśli zechcesz! Arlena nie żyje i nic jej nie przywróci do życia... zapomnij o wszystkim i żyj przyszłością. A nade wszystko, trzymaj język za zębami.

Linda wzdrygnęła się.

— Ty... ty chyba wszystko wiesz?

— Niczego nie wiem! — zaprzeczyła energicznie Rosamund. — Moim zdaniem na wyspę zabłąkał się jakiś szaleniec i to on zabił Arlenę. To najbardziej prawdopodobne rozwiązanie. Jestem pewna, że policja też w końcu dojdzie do takiego wniosku. Musiało się tak stać! Tak właśnie się stało!

— Jeżeli ojciec... — zaczęła Linda.

— Nie mów o tym — przerwała Rosamund.

— Muszę powiedzieć jedno. Moja matka...

— O co chodzi?

— Była... była oskarżona o morderstwo, prawda?

— Tak.

— A ojciec się z nią ożenił... — rzekła wolno Linda.

— To znaczy, że on nie uważa morderstwa za coś bardzo złego... to znaczy, nie zawsze.

— Nie mów takich rzeczy — przerwała ostro Rosamund — nawet mnie! Policja nie ma niczego przeciw twemu ojcu. On ma alibi... alibi, którego nie mogą podważyć. Jest zupełnie bezpieczny.

Linda szepnęła:

— Czy oni początkowo myśleli, że to ojciec?

— Nie wiem, co myśleli! — zawołała Rosamund.

— Ale teraz widzą, że nie mógł tego zrobić. Czy rozumiesz? Nie mógł tego zrobić.

Mówiła stanowczo, oczami zmuszając Linde do uległości. Dziewczyna westchnęła.

— Wkrótce stąd wyjedziesz — powiedziała Rosamund. — Zapomnisz o wszystkim... o wszystkim!

Z nagłą, niespodziewaną gwałtownością Linda krzyknęła:

— Nigdy nie zapomnę!

Odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę hotelu. Rosamund patrzyła za nią.

III

— Chciałbym się czegoś dowiedzieć, madame. Christine Redfern spojrzała na Poirota z pewnym roztargnieniem.

— Tak? — powiedziała zachęcająco.

Herkules Poirot nie zwracał uwagi na jej roztargnienie. Zauważył, że jej oczy śledzą sylwetkę męża przechadzającego się tam i z powrotem po tarasie przylegającym do baru, lecz w tej chwili nie obchodziły go problemy małżeńskie. Chciał informacji.

— Chodzi mi o zdanie... przypadkowe zdanie, wypowiedziane przez panią. Wzbudziło ono moje zaciekawienie.

Christine z oczyma nadal utkwionymi w Patricku zapytała:

— Tak? Co powiedziałam?

— Była to odpowiedź na pytanie komendanta policji. Opisywała pani wejście do pokoju panny Lindy Marshall tego ranka, gdy popełniono zbrodnię. Nie było jej w pokoju i właśnie powróciła. Wówczas pułkownik zapytał panią, skąd Linda wróciła.

Christine odpowiedziała z pewną niecierpliwością:

— A ja odpowiedziałam, że wróciła z kąpeli. Czy o to chodzi?

— Tak, lecz niezupełnie. Nie wyraziła się pani: wróciła z kąpeli, ale: powiedziała, że wraca z kąpeli.

— Przecież to to samo.

— Nie, nie to samo! Forma pani odpowiedzi świadczy o pewnej niepewności. Linda Marshall weszła do pokoju, miała na sobie płaszcz kąpielowy, a jednak... nie przyszło pani na myśl, że wraca z kąpeli. Wskazują na to pani słowa: powiedziała, że wraca z kąpeli. Co było w niej takiego, zachowanie, wygląd, a może coś, co miała na sobie albo powiedziała, co sprawiło, że zdziwiła się pani, że Linda wraca z kąpeli?

Słowa Poirota zaintrygowały Christine. Skupiła na nim całą swoją uwagę.

— Jest pan sprytny. To prawda. Teraz przypominam sobie... Byłam, ale tylko trochę, zdziwiona, gdy Linda powiedziała, że się kąpała.

— Ale dlaczego, madame, dlaczego?

— Właśnie, dlaczego? Postaram się sobie przypomnieć. Tak, myślę, że to przez tę paczkę, którą

trzymała w ręce.

— Miała paczkę?

— Nie wie pani, co w niej było?

— Wiem. Sznurek się zsunął. Był luźno związany. To były świece... rozsypały się po podłodze. Pomagałam je zebrać.

— Ach — powiedział Poirot — świece. Christine rzuciła na niego uważne spojrzenie.

— Wydaje się pan podniecony, panie Poirot. Detektyw spytał:

— Czy Linda mówiła, po co jej te świece?

— Nie, nie wydaje mi się — rzekła Christine po chwili zastanowienia. — Przypuszczam, że chciała czytać w nocy... może nie działała lampa w jej pokoju?

— Przeciwnie, madame, lampa elektryczna przy łóżku była w doskonałym stanie.

— W takim razie nie wiem, do czego były jej potrzebne — powiedziała Christine.

— Jak się zachowała, kiedy sznurek pękł i świece się rozsypały?

— Była wytrącona w równowagi... zakłopotana — odparła powoli Christine. Poirot skinął głową.

— Czy zauważyła pani kalendarz w jej pokoju? — zagadnął po chwili.

— Kalendarz? Jaki kalendarz?

— Prawdopodobnie zielony — powiedział Poirot — taki, z którego wyrywa się kartki.

Christine przymknęła oczy próbując sobie przypomnieć.

— Zielony kalendarz... jaskrawozielony. Tak, widziałam taki kalendarz... ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie. Być może w pokoju Lindy, ale nie jestem pewna.

— Ale na pewno widziała go pani?

— Tak.

Poirot ponownie skinął głową.

— Do czego pan zmierza, panie Poirot? — spytała ostro Christine. — Co to wszystko znaczy?

Zamiast odpowiedzi Poirot pokazał jej niewielki tom oprawny w wyblakłą, brązową skórę cielęcą.

— Czy widziała pani to już kiedyś?

— Chyba tak... zastanawiam się.... nie jestem pewna... tak, Linda zaglądała do tej książki w wiejskiej wypożyczalni parę dni temu. Ale kiedy podeszłam do niej, zamknęła ją prędko i wsunęła z powrotem na półkę. Zaciekawilo mnie wtedy, co to mogło być.

W milczeniu Poirot pokazał jej tytuł. Dzieje sztuki czarnoksiężskiej, czarów i sporządzania trucizn nie pozostawiających śladu.

— Nie rozumiem. Co to wszystko znaczy? — zdumiała się Christine.

— Madame, może to znaczy bardzo wiele — poważnie odparł Poirot.

Spojrzała na niego pytająco, lecz się nie odezwała. Za to odezwał się detektyw.

— Jeszcze jedno pytanie, madame, czy kąpała się pani w wannie, zanim wyszła pani grać w tenisa?

Christine ponownie szeroko otworzyła oczy.

— W wannie? Nie. Nie miałabym czasu. Zresztą i tak nie przyszłoby mi do głowy kąpać się przed grą w tenisa. Raczej po.

— Czy po wejściu do hotelu używała pani łazienki?

— Umyłam gąbką twarz i ręce.

— W ogóle nie odkręcała pani kurka wanny?

— Nie. Jestem pewna, że nie. Poirot skinął głową i rzekł:

— Nie ma to żadnego znaczenia.

IV

Herkules Poirot stanął obok stołu, przy którym pani Gardener zmagąła się z układanką. Uniosła głowę i aż podskoczyła.

— Och, panie Poirot, jak cicho pan stanął przy mnie! W ogóle pana nie słyszałam. Już pan wrócił w rozprawy wstępnej? Wie pan, czuję się zdenerwowana na samą myśl o rozprawie i nie wiem, co mam z sobą zrobić. Dlatego układam tę łamigłówkę. Po prostu czułam, że nie mogę jak zwykle siedzieć na plaży. Pan Gardener wie, że kiedy jestem roztrzęsiona, nic mnie tak nie uspokaja jak układanka. Właśnie, gdzie ma wejść ten biały kawałek? Musi to być część futrzanego dywanika, ale nie wydaje mi się, żeby...

Poirot łagodnie wyjął z jej ręki ów kawałek układanki.

— Pasuje tutaj, madame. Jest to część kota.

— Niemożliwe. To czarny kot.

— Tak, kot jest czarny, ale ma biały koniec ogona.

— Tak jest, biały! Jaki pan sprytny! Wydaje mi się, że ci, którzy projektują te układanki, są złośliwi. Robią co mogą, żeby nas oszukać.

Ułożyła jeszcze jedną częśćkę i podsumowała:

— Wie pan, panie Poirot, przyglądam się panu przez ostatnie dni. Chciałam zobaczyć, jak pan pracuje, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli... Brzmi to jakbym nie miała serca i traktowała to morderstwo jak zabawę. Ale tak nie jest. Och, dobry Boże, ile razy o tym myślę, dreszcz mnie przechodzi. Powiedziałam dziś rano mężowi, że muszę stąd wyjechać. Mój mąż sądzi, że teraz kiedy rozprawa wstępna już się odbyła, możemy natychmiast stąd wyjechać. To byłoby wspaniałe. A tak a propos śledzenia, bardzo chciałabym poznać pańskie metody... czułabym się uprzywilejowana, gdyby mógł mi pan je wyjaśnić.

— Jest to trochę podobne do pani układanki, *madame*, — rzekł Herkules Poirot. — Dopasowuje się do siebie kawałki mozaiki, dobiera się kolory... i nagle okazuje się, że coś, co każdy uważa za futrzany dywanik, jest ogonem kota.

— Jakie to ciekawe! Och, potrafi pan cudownie wyjaśnić. A czy wiele jest tych kawałków, panie Poirot?

— Tak, madame. Prawie każdy w tym hotelu dał mi jakiś fragment do mojej układanki. Pani także, między innymi.

— Ja? — pisnęła podniecona pani Gardener.

— Tak, pewna uwaga pani była niezwykle pomocna. Mógłbym powiedzieć, że oświeciła mnie.

— Ach, czy to nie cudowne! Czy może pan mi powiedzieć coś jeszcze, panie Poirot?

— Wyjaśnienia, madame, zachowam do ostatniego rozdziału.

— Szkoda — szepnęła pani Gardener.

Herkules Poirot zapukał delikatnie do drzwi pokoju kapitana Marshalla. Wewnątrz słyhać było stuk maszyny do pisania.

Z pokoju dobiegło krótkie: — Proszę wejść! — I Poirot wszedł.

Kapitan Marshall był odwrócony do niego plecami. Siedział przy stoliku ustawionym pomiędzy oknami. Nie odwrócił głowy, ale oczy jego spotkały się z oczami Poirota w lustrze wiszącym na ścianie tuż nad maszyną do pisania.

— Tak, panie Poirot? O co chodzi? — spytał niecierpliwie.

— Tysiącrotnie przepraszam za natręctwo. Czy jest pan zajęty?

— Raczej tak — odparł Marshall.

— Chciałbym panu zadać jedno krótkie pytanie — rzekł Poirot.

— Mój Boże, mam już po uszy odpowiadania na pytania. Przesłuchiwała mnie już policja. Nie widzę konieczności rozmawiania z panem.

— Mam tylko jedno proste pytanie: czy przed południem w dniu śmierci pańskiej żony kąpał się pan w wannie po ukończeniu pisania na maszynie, zanim poszedł pan grać w tenisa?

— Czy się kąpałem? Nie, oczywiście, że się nie kąpałem. Godzinę wcześniej kąpałem się w morzu!

— Dziękuję, to wszystko — powiedział Herkules Poirot.

— Ale niech pan... Och... — Marshall urwał niezdecydowanie.

Poirot wyszedł zamykając cicho drzwi.

— Ten facet zwariował! — zawołał Kenneth Marshall.

VI

Przed barem Poirot spotkał pana Gardenera. Ten ostatni niósł dwa cocktaile i najwyraźniej zmierzał ku żonie zajętej łąmigłówką. Na widok Poirota uśmiechnął się wesoło:

— Przysiądzie się pan do nas, panie Poirot? Poirot przecząco pokręcił głową i zapytał:

— Co pan sądzi o rozprawie wstępnej, panie Gardener?

Pan Gardener zniżył głos.

— Wydaje mi się dość niewyraźna. Policja musi mieć coś w zanadru.

— Możliwe — powiedział Poirot.

Pan Gardener jeszcze bardziej zniżył głos.

— Będę szczęśliwy, kiedy wywiozę stąd żonę. Ona jest bardzo, bardzo wrażliwa, a ta afera całkiem rozstroiła jej nerwy.

— Czy pozwoli pan, panie Gardener — poprosił Poirot — że zadam panu jedno pytanie?

— Ależ oczywiście. Chętnie panu pomogę.

— Jest pan człowiekiem światowym... człowiekiem, jak sądzę, bardzo bystrym. Dlatego ciekaw jestem pana opinii o zmarłej pani Marshall.

Zaskoczony Gardener rozejrzał się ostrożnie dokoła i rzekł półgłosem.

— No cóż, panie Poirot, słyszałem co nieco. Różne tu krążyły plotki, szczególnie wśród kobiet. Ale skoro chce pan znać moją opinię, to powiem panu, że moim skromnym zdaniem ta kobieta była niesłychanie głupia.

— To bardzo interesujące — mruknął w zamyśleniu Herkules Poirot.

VII

— Teraz moja kolej, prawda? — zagadnęła Poirota Rosamund.

— *Pardon!*

Roześmiała się.

— Parę dni temu komendant policji bawił się w inkwizytora, a pan mu tylko towarzyszył. Dzisiaj, jak mi się wydaje, prowadzi pan własne nieoficjalne dochodzenie. Obserwowałam pana. Najpierw pani Redfern, później mignął mi pan w oknie salonu, gdzie pani Gardener pracuje nad swoją obrzydliwą układanką. Teraz przyszła moja kolej.

Herkules Poirot usiadł obok Rosamund. Znajdowali się na Słonecznej Krawędzi. W dole, pod nimi, lśniła głęboka zieleń morza, przechodząca dalej od brzegu w oślepiający błękit.

— Jest pani bardzo inteligentna, *mademoiselle* — rzekł Poirot. — Zauważyłem to od razu, kiedy tylko przybyłem. Chętnie przedyskutowałbym z panią tę sprawę.

— Chce pan wiedzieć, co myślę o tym wszystkim? — spytała cicho Rosamund Darnley.

— Byłoby to niezwykle interesujące.

— Myślę, że w rzeczywistości wszystko jest bardzo proste. Przyczyna leży w przeszłości tej kobiety.

— Przeszłości? Nie terażniejszości?

— Niekoniecznie w bardzo odległej przeszłości. Proszę tylko pomyśleć: Arlena Marshall była atrakcyjna dla mężczyzn, fatalnie atrakcyjna. Bardzo możliwe, że szybko się nimi nużyła. Wśród jej... wielbicieli, pozwoli pan, że użyję tego słowa... był ktoś, kogo boleśnie to dotknęło. Niech mnie pan źle nie zrozumie, nie musi być to ktoś, kogo widać na milę. Najpewniej jakiś spokojny człowieczek, próżny i wrażliwy, jeden z tych, co długo pamiętają urazy. Myślę, że dotarł za nią aż tutaj, zaczekał, póki nie nadeszła sposobność, i zabił ją.

— Chce pani powiedzieć, że był to ktoś z zewnątrz, ktoś, kto przybył na wyspę?

— Tak. Prawdopodobnie ukrywał się w tej grocie, póki nie pojawiła się szansa.

Poirot z powątpiewaniem potrząsnął głową.

— Sądzi pani, że udałaby się na spotkanie z odrzuconym wielbicielem? Nie, wyśmiałaby go i nie poszła.

— Mogła nie wiedzieć, że udaje się na spotkanie z nim — powiedziała Rosamund. — Mógł

podszyc się pod inną osobę.

— To niewykluczone — szepnął Poirot. Po chwili dodał: — Ale zapomina pani o jednym, *mademoiselle*. Człowiek planujący morderstwo nie zaryzykowałby przejścia po grobli i koło hotelu przy świetle dziennym. Ktoś mógłby go zobaczyć.

— Niekoniecznie. Nietrudno pojawić się tu nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

— Ma pani całkowitą rację, to możliwe. Sęk w tym, że nie mógł liczyć na taką możliwość.

— Zapomniał pan o czymś. O pogodzie — rzekła Rosamund.

— O pogodzie?

— Tak. W dniu morderstwa była wspaniała pogoda, ale proszę pamiętać, że poprzedniego dnia padał deszcz i wyspę otulała gęsta mgła. Każdy mógł wówczas niepostrzeżenie się tu przedostać. Wystarczy tylko zejść na plażę i spędzić noc w grocie. Ta mgła, panie Poirot, jest bardzo ważna.

Poirot popatrzył na nią w zamyśleniu.

— Bardzo wiele kryje się w tym, co pani przed chwilą powiedziała.

Rosamund zarumieniła się.

— To tylko moja teoria. Trudno powiedzieć, ile jest warta. A jakie jest pańskie zdanie?

— *Eh bien, mademoiselle* — rzekł Herkules Poirot i spojrzał na morze w dole. — Nie snuję wyszukanych teorii. Zawsze jestem skłonny wierzyć, że zbrodnię popełniła najbardziej prawdopodobna osoba. W pierwszej chwili wydawało mi się, że wszystko wskazuje na jedną osobę.

— Niech pan mówi dalej — wtrąciła Rosamund znacznie zimniejszym tonem.

— Ale, widzi pani, na mojej drodze pojawiła się przeszkoda. Teraz wydaje się, że ta osoba nie mogła popełnić zbrodni.

Usłyszał głębokie westchnienie.

— I co? — spytała bez tchu. Herkules Poirot wzruszył ramionami.

— To właśnie jest mój problem. — Urwał, po czym nagle spytał. — Czy mogę pani zadać pytanie?

— Oczywiście.

Zwróciła ku niemu twarz, czujną i napiętą. Ale pytanie, które padło, było nieoczekiwane.

— Kiedy tego dnia wróciła pani do pokoju, żeby przebrać się do gry w tenisa, czy wzięła pani kąpiel?

Rosamund spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Kąpiel? Co pan ma na myśli?

— Właśnie to mam na myśli. Kąpiel! Porcelanowa wanna, odkręca się krany i wypełnia ją wodą. Później wchodzi się do kąpeli, wychodzi, i szu... szu... szu... woda spływa mrą.

— Panie Poirot, czy pan zupełnie oszalał?

— Nie. Jestem przy zdrowych zmysłach!

— Cóż, nie, nie kąpałam się.

— Ha! — powiedział Poirot. — Więc nikt się nie kąpał. Jest to niezwykle ciekawe.

— Ale dlaczego miałby się ktoś kąpać?

— Właśnie, dlaczego? — powtórzył mały detektyw.

— To pytanie trochę w stylu Sherlocka Holmesa — zadrwiła Rosamund.

Herkules Poirot uśmiechnął się.

— Czy pozwoli pani na pewną bezczelność, *mademoiselle*?

— Jestem pewna, że nie umiałby się pan zachować bezczelnie, panie Poirot.

— To bardzo uprzejme z pani strony. Mogę więc ośmielić się zauważyć, że używa pani doskonałych perfum... mają nuance... delikatny, ulotny czar — zrobił wymowny ruch ręką i dodał rzeczowym tonem — „Gabrielle 8”, jak mi się wydaje.

— Jest pan domyślny. Rzeczywiście, zawsze ich używam.

— Podobnie jak zmarła pani Marshall. Są modne, prawda? I bardzo kosztowne.

Rosamund uśmiechnęła się nieznacznie i wzruszyła ramionami.

— Siedziała pani tu, gdzie się teraz znajdujemy, *mademoiselle*, owego przedpołudnia, gdy popełniono zbrodnię. Panna Brewster i pan Redfern, opływając wyspę, dostrzegli panią, a przynajmniej pani parasolkę chroniącą przed słońcem. Czy pani jest pewna, *mademoiselle*, że owego poranka nie zeszła pani do Zatoczki Skrzata i nie wchodziła do groty... owej sławnej Groty Skrzata?

Rosamund zwróciła ku niemu twarz i spokojnym, cichym głosem zapytała:

— Pyta pan, czy zabiłam Arlenę Marshall?

— Nie, pytam, czy weszła pani do Groty Skrzata.

— Nie wiem nawet, gdzie jest ta grotka. Dlaczego miałabym do niej wejść? Z jakiej przyczyny?

— W dniu morderstwa, *mademoiselle*, w grocie tej był ktoś, kto używał perfum „Gabrielle 8”.

— Sam pan powiedział przed chwilą, panie Poirot — odpowiedziała ostro Rosamund — że Arlena Marshall używała „Gabrielle 8”. Tego dnia była na plaży. Prawdopodobnie weszła do grotki.

— Po cóż miała wchodzić do grotki? Jest tam ciemno, ciasno i bardzo niewygodnie.

— Niech pan nie pyta mnie o przyczyny. Znajdowała się wówczas nad zatoczką, więc jest o wiele bardziej prawdopodobne, że to ona tam wchodziła. Powiedziałam już panu, że całe przedpołudnie nie ruszyłam się z tego miejsca.

— Z wyjątkiem krótkiej wycieczki do hotelu, gdy to zajrzała pani do pokoju kapitana Marshalla — przypomniał jej Poirot.

— Tak, oczywiście, zapomniałam o tym. Poirot powiedział:

— I myliła się pani sądząc, że kapitan Marshall nie dostrzegł pani.

— Kenneth mnie widział? Czy... czy to powiedział? — spytała z niedowierzaniem Rosamund. Poirot potwierdził skinieniem głowy.

— Dostrzegł panią, *mademoiselle*, w lustrze wiszącym nad stołem. Rosamund głęboko wciągnęła powietrze.

— Och, teraz rozumiem.

Poirot nie spoglądał już na morze. Patrzył na dłonie Rosamund Darnley splecione na kolanach. Były to piękne, smukłe dłonie o bardzo długich palcach. Rosamund dojrzała spod oka jego wzrok i rzuciła ostro:

— Dlaczego patrzy pan na moje ręce? Czy pan myśli... czy pan myśli...

— Czy myślę co, *mademoiselle*? — spytał Poirot.

— Nic — ucięła Rosamund Darnley.

Mniej więcej godzinę później Herkules Poirot znalazł się na ścieżce prowadzącej do Zatoczki Mew. Ktoś siedział na plaży. Smukła sylwetka w czerwonej koszuli i ciemnoniebieskich szortach. Poirot zaczął schodzić ścieżką, stąpając ostrożnie w obcisłych wytwornych bucikach. Linda Marshall szybko odwróciła głowę. Wydawało mu się, że lekko drgnęła. Gdy podszedł i usiadł ostrożnie przy niej na kamieniu, poczuł na sobie jej wzrok, podejrzliwy i czujny jak u schwytanego zwierzęcia. Nagle z przykrością uprzytomnił sobie, jak jest młoda i nieodporna.

— O co chodzi? Czego pan chce? — spytała. Herkules Poirot przez chwilę milczał.

— Parę dni temu powiedziałaś pani komendantowi policji, że lubiła pani swoją macochę i że ona dobrze panią traktowała.

— No więc?

— Czy to było zgodne z prawdą, *mademoiselle*?

— Tak.

— Na pewno nic pani złego nie zrobiła. Ale pani jej nie lubiła... sędzę, że nawet bardzo jej pani nie lubiła. To było dla mnie jasne.

— Może nie lubiłam jej zanadto. Ale nie można mówić takich rzeczy o kimś, kto umarł. To nieprzyzwoite.

— Nauczyli panią tego w szkole?

— W szkole też.

— W wypadku morderstwa większą wagę ma szczerść niż przyzwoitość.

— Przypuszczam, że pan musi tak mówić.

— Muszę i mówię. Widzi pani, moim zadaniem jest odkrycie mordercy Arleny Marshall.

— Chciałabym zapomnieć o tym wszystkim. To takie ohydne — powiedziała półgłosem Linda.

— Ale nie może pani zapomnieć, prawda? — spytał łagodnie Poirot.

— Myślę, że zabił ją jakiś wstrętny szaleniec.

— Nie sędzę, aby tak było — szepnął Herkules Poirot.

Linda gwałtownie wciągnęła powietrze.

— To zabrzmiało tak... jakby pan wiedział.

— Może wiem — urwał i podjął. — Czy ufa pani, moje dziecko, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pani pomóc w kłopotcie?

Linda zerwała się.

— Nie mam żadnych kłopotów. Nie może pan niczego dla mnie zrobić. Nie wiem, o czym pan mówi.

Poirot spojrział na nią uważnie i powiedział:

— Mówię o świecach...

Dostrzegł nagle przerażenie w jej oczach.

— Nie chcę pana słuchać! Nie chcę słuchać! — zawołała.

Szybka jak młoda gazela, przecięła plażę i zaczęła wspinać się zygzakowatą ścieżką.

Poirot pokręcił głową. Był poważnie zaniepokojony.

Rozdział jedenasty

Inspektor Colgate składał raport komendantowi policji:

— Dotarłem do naprawdę sensacyjnych informacji. Chodzi o pieniądze pani Marshall. Byłem u jej adwokatów. Muszę przyznać, że doznałem szoku. Znalazłem dowód na szantaż. Przypomina pan sobie, że stary Erskine pozostawił jej pięćdziesiąt tysięcy funtów? Cóż, pozostało z tego tylko około piętnastu tysięcy.

Komendant policji gwizdnął.

— No, no, a co się stało z resztą?

— To najciekawszy punkt, proszę pana. Od czasu do czasu sprzedawała nieco akcji i za każdym razem przekazywała gotówkę albo papiery wartościowe komuś, czyjej tożsamości nie chciała ujawnić. To na pewno szantaż.

Weston skinął głową.

— Rzeczywiście, na to wygląda. A szantażysta jest tu, w tym hotelu. To znaczy, że musi nim być jeden z tych trzech mężczyzn. Czy odkrył pan coś nowego o którymś z nich?

— Nic konkretnego. Major Barry, zgodnie z tym co powiedział, jest emerytowanym oficerem. Mieszka w małym mieszkaniu, żyje z emerytury i niewielkich procentów z akcji. W zeszłym roku wpłacał na swoje konto dość duże sumy.

— To ciekawe. Jak to wyjaśnił?

— Powiada, że wygrał na wyścigach. Rzeczywiście chodzi na wszystkie większe gonitwy i obstawia konie. Nie prowadzi rozliczeń.

Komendant ponownie skinął głową.

— Ciężko byłoby udowodnić, że kłamie, ale to daje do myślenia.

— Następnie — ciągnął Colgate — wielebny Stephen Lane. Miał parafię Świętej Heleny w Whiteridge w hrabstwie Surrey, ale zrezygnował przed rokiem, ze względu na zły stan zdrowia. Ten zły stan zdrowia zakończył się pobytem w zakładzie dla psychicznie chorych. Przebywał tam ponad rok.

— Ciekawe — powiedział Weston.

— Tak, proszę pana. Staralem się wyciągnąć coś z lekarza, który się nim opiekował, ale pan wie, jacy są ci medycy. Trudno uzyskać jakąś konkretną informację. O ile mogłem się zorientować, jego

wielebność miał obsesję diabła... a specjalnie diabła w postaci kobiety... kobiety w szkarłacie, nierządnicę babilońskiej.

— Hm... — mruknął Weston. — Bywały już przypadki morderstw na tym tle.

— Tak, proszę pana. Wydaje mi się, że to możliwe. Zmarła pani Marshall była kobietą, którą duchowny mógłby nazwać nierządnicą babilońską: włosy, zachowanie i cała reszta. Całkiem możliwe, że uważał unieszkodliwienie jej za swą powinność. To znaczy, jeżeli jest naprawdę szurnięty.

— Nie znalazł pan niczego, co pasowałoby do szantażu?

— Nie, proszę pana. Myślę, że możemy go wykluczyć, jeżeli o tym mowa. Ma jakieś osobiste dochody, ale niewielkie i żadnych większych wpłat w ostatnich czasach.

— A sprawdziliście jego historyjkę o tym, co robił w dniu zbrodni?

— Nie mogę znaleźć żadnego potwierdzenia. Nikt nie przypomina sobie spotkania z pastorem. Jeśli mowa o księdze pamiątkowej w kościele, ostatni wpis miał miejsce trzy dni wcześniej i nikt nie zaglądał do niej od dwóch tygodni. Mógł udać się tam, powiedzmy, dzień albo nawet parę dni wcześniej i położyć obok swojego podpisu datę dwudziestego piątego.

Weston skinął głową.

— A ten trzeci mężczyzna?

— Horace Blatt. W mojej opinii, proszę pana, jest w nim coś absolutnie nie w porządku. Płaci podatek dochodowy z sumy, która znacznie przekracza dochód z jego firmy handlującej towarami żelaznymi. I proszę mi wierzyć, to śliski facet. Na pewno umiałby upitrasić wiarygodne wyjaśnienie. Gra trochę na giełdzie i prowadzi jakieś niejasne interesy. Pewnie może złożyć sensowne wyjaśnienia. Ale nie da się zaprzeczyć, że od paru lat ma spore dochody z bliżej nieznanego źródła.

— To znaczy — powiedział Weston — że pan Horace Blatt może być zawodowym szantażystą?

— Albo szantaż, albo narkotyki. Spotkałem się z nadinspektorem Ridgewayem, który prowadzi wydział narkotyków i bardzo się do tego zapalił. Wydaje się, że ostatnio pojawiło się dużo heroiny. Siedzą drobnych sprzedawców i mniej więcej wiedzą, kto nadaje towar z zagranicy, ale na razie nie mają pojęcia, jaką drogą przedostaje się do kraju.

— Jeżeli pani Marshall zginęła, ponieważ —: świadomie czy nieświadomie — wplątała się w przemyt narkotyków, wówczas powinniśmy przekazać całą rzecz Scotland Yardowi. To ich konik. Jak pan sądzi?

Inspektor Colgate powiedział z pewnym żalem:

— Obawiam się, że ma pan słuszość. Jeżeli to narkotyki, sprawa należy do Scotland Yardu.

— Rzeczywiście, wydaje się to najprawdopodobniejszym rozwiązaniem — przyznał Weston po chwili namysłu.

— Tak, ma pan rację. Marshalla trzeba wykluczyć... chociaż zebrałem trochę informacji, które byłyby użyteczne, gdyby nie miał tak dobrego alibi. Jego firma jest bliska bankructwa. Nie jest to wina Marshalla ani jego partnera, raczej skutek zeszłorocznego kryzysu i ogólnie stanu handlu i finansów. Ale mógł sądzić, że po śmierci żony przypadnie mu pięćdziesiąt tysięcy funtów. A pięćdziesiąt tysięcy byłoby bardzo użyteczną sumą.

Westchnął.

— Szkoda, że człowiek mający dwa absolutnie wystarczające powody do popełnienia morderstwa, może udowodnić, że nie miał z nim nic wspólnego!

— Głowa do góry, Colgate — uśmiechnął się Weston.

— Mamy jeszcze szansę się wyróżnić. Nie wykluczaliśmy jeszcze możliwości szantażu ani tego stukniętego pastora, ale osobiście sędzę, że rozwiązanie z narkotykami jest o wiele prawdopodobniejsze. A jeśli sprzątnęli ją handlarze narkotyków, Scotland Yard i tak będzie nas potrzebował. Tak czy inaczej zrobiliśmy dobrą robotę.

Na twarzy Colgate'a pojawił się wymuszony uśmiech. — Cóż, to by było wszystko, proszę pana. Przy sposobności sprawdziłem autora listu, który znaleźliśmy w jej pokoju. Tego podpisanego JN. Nic z tego nie wyciągniemy. Facet siedzi sobie bezpiecznie w Chinach. To ten sam, o którym opowiadała nam panna Brewster. Kawał nicponia. Sprawdziłem też pozostałych przyjaciół pani Marshall. Żadnych tropów. Mamy wszystko, co można było zebrać, proszę pana.

— Reszta zależy od nas — rzekł Weston. — Nie widział pan ostatnio naszego belgijskiego kolegi? Czy wie o wszystkim, o czym mi pan opowiedział?

Colgate uśmiechnął się szeroko.

— Dziwny facet, nie? Czy wie pan, o co mnie przedwczoraj poprosił? Chciał poznać szczegóły wszystkich wypadków uduszenia podczas ostatnich trzech lat.

Pułkownik Weston wyprostował się w krześle.

— Ciekawe — zrobił długą pauzę. — Kiedy wielebny Stephen Lane poszedł do tego zakładu dla umyślowo chorych?

— Na Wielkanoc zeszłego roku, proszę pana. Weston zamyślił się głęboko.

— Był taki wypadek... — powiedział — w pobliżu Bagshot znaleziono ciało młodej kobiety. Szła na spotkanie z mężem. Było też coś, co gazety nazwały „Tajemnicą odludnego zagajnika”. Jeśli dobrze pamiętam, oba wypadki miały miejsce w Surrey.

Inspektor Colgate i komendant policji spojrzeli sobie w oczy.

— Surrey? — upewnił się Colgate. — Daję słowo, to się zgadza, prawda? Ciekaw jestem..

II

Herkules Poirot siedział na murawie na wierzchołku wyspy. Nieco bardziej na lewo znajdował się początek drabiny prowadzącej w dół do Zatoczki Skrzata. W pobliżu szczytu drabiny wyrastało kilka głązów tworzących łatwą kryjówkę dla każdego, kto zapragnąłby zejść na plażę w dole. Ze szczytu widać było jedynie skrawek plaży, gdyż resztę zasłaniał nawis skalny.

Herkules Poirot z powagą kiwał głową. Powoli z oderwanych kawałków układanki zaczął wyłaniać się obraz. W myśli przyglądał się każdemu fragmentowi osobno.

Poranek na plaży kilka dni przed śmiercią Arleny.

Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć oderwanych uwag wypowiedzianych tego ranka.

Wieczór podczas gry w brydża. On, Patrick Redfern i Rosamund Darnley siedzieli przy stoliku. Christine wyszła wyłożywszy swe karty i usłyszała pewną rozmowę. Kto jeszcze był wówczas w salonie hotelowym? Kogo nie było’?

Wieczór przed zbrodnią. Rozmowa, którą odbył z Christine na skale i scena, której był świadkiem powracając do hotelu.

„Gabrielle 8”.

Nożyczki.

Pęknięty cybuch fajki.

Butelka ciśnięta z okna.

Zielony kalendarz.

Paczka świec.

Lustro i maszyna do pisania.

Motek karmazynowej włóczki.

Zegarek Lindy.

Woda spuszczone z wanny.

Każdy z tych nie powiązanych faktów musi znaleźć swoje miejsce. Żaden ślad nie może pozostać nie wyjaśniony. A później, kiedy wszystko będzie pasowało, zrobi następny krok: rozważy własną wiarę w obecność zła na tej wyspie. Zło... Spojrzał na pokryte pismem maszynowym kartki papieru, które trzymał w ręce.

„Nellie Parsons... uduszona i odnaleziona w odludnym zagajniku w pobliżu Cobham. Nigdy nie znaleziono jakiegokolwiek śladu wskazującego na jej mordercę”. Nellie Parsons? „Alice Corrigan”. Detektyw dokładnie przestudiował szczegóły śmierci Alice Corrigan.

III

Do Herkulesa Poirota siedzącego na krawędzi skalnej nad morzem podszedł inspektor Colgate. Poirot lubił inspektora Colgate'a. Lubiał jego wyrazistą twarz, bystre oczy i powolny, niespieszny sposób bycia.

Colgate usiadł przy detektywie i zerkając, na kartki, które Poirot trzymał w ręce, spytał:

— Przydały się panu te informacje?

— Tak, przestudiowałem je...

Inspektor wstał, podszedł do pobliskiej niszy skalnej i zajrzał do środka.

— Należy być ostrożnym. Nie chciałem, żeby ktoś nas podsłuchał.

— To bardzo roztropne — pochwalił go Poirot.

— Muszę przyznać, panie Poirot, że swego czasu interesowałem się tymi sprawami, choć gdyby pan o nich nie wspomniał, prawdopodobnie nie przyszłyby mi teraz do głowy. Szczególnie jedna z tych spraw mnie zainteresowała.

— Alice Corrigan?

— Alice Corrigan. — Po chwili dodał — kontaktowałem się nawet w tej sprawie z policją w Surrey... chciałem zebrać najdrobniejsze szczególiki.

— Niech mi pan wszystko opowie, przyjacielu. To niezwykle ciekawe.

— Byłem pewien, że zainteresuje to pana. Alice Corrigan znaleziono uduszoną w zagajniku zwanym Lasem Cezara, na wrzosowisku Blackridge, niecałe dziesięć mil od Zagajnika Marley, gdzie zamordowano Nellie Parsons... a oba te miejsca znajdują się w odległości mniejszej niż dwanaście mil od Waterridge, parafii wielebnego Stephena Lane'a.

— Proszę mi powiedzieć coś więcej o śmierci Alice Corrigan.

— Policja w Surrey nie powiązała w pierwszej chwili jej śmierci ze śmiercią Nellie Parsons, ponieważ upatrzyli sobie jej męża jako winowajcę. Nie wiem dokładnie czemu. Może dlatego, że był — jak to nazwała prasa — „tajemniczym człowiekiem”. Nie wiedziano dobrze ani kim był, ani skąd przybył. Wyszła za niego wbrew woli rodziny. Miała trochę własnych pieniędzy i ubezpieczyła życie na jego korzyść. To wystarczyło, by wzbudzić podejrzenia — i chyba nic dziwnego,

Poirot skinął głową.

— Ale kiedy przyszło co do czego, okazało się, że męża trzeba od razu skreślić z listy

podejrzanych. Ciało znalazła przypadkowa turystka, jedna z tych wysportowanych młodych kobiet w szortach. Nauczycielka gimnastyki w szkole w hrabstwie Lancashire. Była ona całkowicie wiarygodnym świadkiem. Zapamiętała godzinę znalezienia zwłok. Była wtedy dokładnie czwarta piętnaście. Według niej kobieta zginęła nie więcej niż dziesięć minut wcześniej. Zgadzało się to z opinią lekarza policyjnego, który zbadał zwłoki o piątej czterdzieści pięć. Nauczycielka pozostawiła wszystko tak, jak było, i ruszyła przez pola do posterunku policji w Bagshot, gdzie złożyła doniesienie o śmierci. Tymczasem od godziny trzeciej do dziesięć po czwartej Edward Corrigan znajdował się w pociągu jadącym z Londynu, dokąd udał się tego dnia w interesach. W przedziale prócz niego były jeszcze cztery inne osoby. Na dworcu kolejowym wszedł do lokalnego autobusu, razem z dwoma współpasażerami z pociągu. Wsiadł z autobusu przy kawiarni „Pine Ridge”, gdzie umówił się z żoną. Zamówił dwie herbaty, ale prosił, żeby nie podawano ich póki żona nie nadejdzie. Po jakimś czasie wyszedł rozejrzeć się przed kawiarnią. Kiedy wybiła piąta, a jej jeszcze nie było, zaczął się niepokoić. Pomyślał, że mogła skręcić kostkę. Umówili się, że przejdzie przez wrzosowiska z wioski, gdzie się zatrzymali, do kawiarni „Pine Ridge”, a później pojedą autobusem do domu. Las Cezara jest blisko kawiarni, więc policja przypuszcza, że Alice przyszła zbyt wcześnie i postanowiła posiedzieć przez chwilę wśród drzew, a wówczas napadł ją jakiś przypadkowy włóczęga lub szaleniec. Gdy tylko uzyskano dowody, że należy wykluczyć męża, powiązano oczywiście jej śmierć ze śmiercią Nellie Parsons, nieco lekkomyślnej służącej, którą znaleziono uduszoną w Zagajniku Marley. Prawdopodobnie obie zbrodnie popełnił ten sam człowiek, ale nigdy go nie schwytano... a co więcej, nigdy nie znaleziono żadnych śladów. — Urwał, a po chwili dodał: — A teraz oto... mamy trzecia, uduszoną kobietę... a pewien gentleman, którego nazwiska nie wymienię, jest tu, na miejscu.

Umilkł i z nadzieją w oczach spojrzał na Poirota. Słynny detektyw poruszył wargami. Colgate pochylił się, by pochwycić jego szept:

— ...tak trudno się zorientować, które części są kawałkami dywanika futrzanego, a które ogonem kota.

— Proszę mi wybaczyć, co takiego? — dopytywał się zaskoczony Colgate.

— Przepraszam — powiedział prędko Poirot. — Zagłębiłem się we własnych myślach.

— Co znaczy ten futrzany dywanik i kot?

— Nic... nic zupełnie. — Urwał. — Proszę mi powiedzieć, inspektorze Colgate, gdyby podejrzewał pan, że ktoś kłamie jak najęty, ale nie miałby pan żadnego dowodu na to... co by pan zrobił?

Inspektor Colgate zastanowił się.

— Trudne pytanie. Ale moim zdaniem, jeżeli ktoś często kłamie, musi w końcu wpaść.

Poirot skinął głową.

— Tak, tak właśnie jest. Widzi pan, sędzę, że niektóre zeznania są kłamliwe. Nie wiem tego jednak

na pewno. Ale być może udałoby się zrobić test... sprawdzić jedno, nie bardzo rzucające się w oczy kłamstwo. I jeśli udowodniłoby się, że to kłamstwo... to byłoby wiadomo, że cała reszta to też kłamstwa!

Inspektor Colgate spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Pański umysł pracuje w dziwny sposób. Ale w końcu okazuje się, że ma pan rację. Wolno zapytać, co kazało panu zainteresować się innymi wypadkami uduszenia?

— Widzi pan — odparł powoli Poirot — ta zbrodnia była doskonale zaplanowana. Zastanowiło mnie, czy na pewno była to pierwsza próba.

— Rozumiem.

— Powiedziałem sobie — ciągnął Poirot — spróbujmy przebadać podobne wypadki i jeśli któryś z nich będzie bardzo przypominał tę zbrodnię... *eh bien*, zdobędziemy cenną poszlakę.

— Myśli pan o podobnym sposobie dokonania zabójstwa?

— Nie, nie, mam na myśli coś więcej. Śmierć Nellie Parsons. na przykład, nie mówi mi niczego. Ale śmierć Alice Corrigan... Proszę mi powiedzieć, inspektorze Colgate, czy dostrzegł pan uderzające podobieństwo obu tych zbrodni?

Inspektor Colgate przez chwilę—rozpatrywał ten problem. Wreszcie przyznał:

— Nie, proszę pana, nic nie dostrzegam. Chyba tylko to. że w obu przypadkach mąż ma żelazne alibi.

— A więc jednak dostrzegł to pan? — powiedział cicho Poirot.

IV

— Ha, Poirot! cieszę się, że pana widzę. Proszę wejść. Właśnie pana potrzebuję!

Herkules Poirot wszedł i usiadł. Komendant policji przysunął ku niemu paczkę papierosów, sam wziął jednego i zapalił. Zaciągając się powiedział: — Prawie zdecydowałem się wezwać Scotland Yard. Chciałbym jednak najpierw zasięgnąć pańskiej opinii. Myślę, że podłożem całej sprawy jest przemyt narkotyków. Zatoczka Skrzata z pewnością była punktem kontaktowym.

Poirot skinął głową.

— Zgadzam się.

— Znakomicie. Mam niemal pewność, kim jest nasz przemytnik narkotyków. Horace Blatt.

— To bardzo prawdopodobne... — raz jeszcze zgodził się Poirot.

— Widzę, że nasze domysły idą tą samą drogą. Blatt wypływał swoim jachcikiem. Czasem kogoś zabierał, lecz przeważnie żeglował sam. Miał dość rzucające się w oczy czerwone żagle, lecz odkryliśmy, że posiadaj również starannie ukryty komplet białych. Myślę, że przy ładnej pogodzie wypływał ku umówionemu z góry miejscu i tam czekała na niego inna łódź... żaglówka albo jacht motorowy... coś w tym rodzaju. Przekazywano towar, po czym Blatt przybijał do brzegu w Zatoczce Skrzata...

Herkules Poirot uśmiechnął się.

— Tak, tak, o pół do drugiej. W godzinie brytyjskiego lunchu, kiedy wszyscy z pewnością znajdują się w jadalni. Wyspa jest własnością prywatną, więc nikt z zewnątrz nie urządza sobie tam pikniku. Niekiedy goście hotelowi zabierają podwieczorek do Zatoczki Skrzata, ale zawsze po południu, gdy świeci tam słońce. Gdy chcą urządzić piknik, udają się gdzieś dalej.

Komendant policji skinął głową.

— Właśnie — powiedział. — Więc Blatt przybił tam do brzegu i ukrył swój towar na występie skalnym w grocie. Ktoś inny w oznaczonym czasie miał podjąć tę przesyłkę.

— Czy przypomina pan sobie — szepnął Poirot — że w dniu morderstwa przybyła na wyspę jakaś para, żeby zjeść lunch? To mógł być sposób przejęcia towaru. Goście z hotelu na wrzosowiskach albo z St. Loo przybywają na Wyspę Przemytników. W hotelu zamawiają lunch, a przed posiłkiem odbywają przechadzkę po wyspie. Nic łatwiejszego jak zejść na plażę, wziąć to pudełko na kanapki, umieścić je w torbie plażowej... i wrócić na lunch do „Wesołego Rogera”... być może z małym opóźnieniem powiedzmy o godzinie za dziesięć druga, kiedy wszyscy pozostali zgromadzili się już w jadalni.

— Tak, to brzmi sensownie — przyznał Weston. — Handlarze narkotyków nie mają skrupułów. Uciszą każdego, kto za dużo o nich wie. Wydaje mi się, że to wyjaśnia śmierć Arleny Marshall. Możliwe, że lego właśnie ranka Blatt był w zatoczce, aby ukryć towar, który później mieli odebrać wspólnicy. Niestety przyplłynęła Arlena i zobaczyła, jak wchodzi z puszką do groty. Zainteresowała się, co Blatt tam robi, on ją zabił i szybko się oddalił.

— Jest pan pewien, że to Blatt ją zamordował?

— Wydaje się to najbardziej prawdopodobnym rozwiązaniem. Oczywiście, istnieje możliwość, że Arlena wcześniej dowiedziała się prawdy, powiedziała coś Blattowi na ten temat. Po jakimś czasie inny członek gangu zainscenizował spotkanie i załatwił ją na miejscu. Myślę, że najlepiej przekazać sprawę do Scotland Yardu. Oni mają o wiele większe możliwości, by udowodnić powiązania Blatta z gangiem.

Herkules Poirot przytaknął w milczeniu.

— Sądzi pan, że powinienem tak postąpić? — spytał Weston.

— Być może — odparł po chwili detektyw.

— A niech to, Poirot! Pan musi coś mieć w rękawie!

— Jeśli mam, nie jestem pewien, czy będę mógł to udowodnić.

— Wiem, że pan i Colgate macie inne zdanie — powiedział Weston. — Wasze poglądy wydają mi się nieco fantastyczne, ale skłonny jestem przyznać, że coś w nich może być. Ale nawet jeśli macie słuszność, to i tak sprawa nadaje się dla Scotland Yardu. Przekażemy im fakty, a oni poproszą o współpracę policję w Surrey. To chyba nie jest sprawa dla nas. Nie jest ściśle lokalna. — Zrobił pauzę. — Co pan sądzi, Poirot? Co, pańskim zdaniem, należy zrobić?

Poirot zdawał się zagubiony w myślach. W końcu rzekł:

— Chciałbym...

— Tak?

— Chciałbym urządzić piknik — szepnął Poirot. Pułkownik Weston szeroko otworzył oczy.

Rozdział dwunasty

— Piknik, panie Poirot? — Emily Brewster spojrzała na niego, jak gdyby postradał zmysły.

— Uważa pani ten pomysł za godny potępienia? A mi wydaje się, że jest jak najbardziej godny podziwu. Aby wrócić do normalnego życia, potrzeba nam czegoś codziennego, zwykłego. Naprawdę bardzo chciałbym zobaczyć Dartmoor. Pogoda jest piękna. To... jakby to powiedzieć... poprawi wszystkim samopoczucie. Więc proszę mi pomóc. Namówić pozostałych.

Sukces był niespodziewany. Początkowo pomysł budził wątpliwości, lecz w końcu wszyscy przyznali, że może nie jest, mimo wszystko, taki nierozsądny. Nie zaproszono tylko kapitana Marshalla. Sam zresztą oświadczył, że tego dnia musi pojechać do Plymouth. Pan Blatt przyłączył się entuzjastycznie do wycieczki. Postanowił, że stanie się jej sercem i duszą. Prócz niego udział wzięli Emily Brewster, Redfernowie, Stephen Lane, Gardenerowie (których namówiono, aby odłożyli wyjazd o jeden dzień), Rosamund Darnley i Linda.

W rozmowie z Rosamund Poirot użył całej swej elokwencji, by przekonać ją, że wycieczka pozwoli Lindzie oderwać się od własnych myśli.

— Ma pan całkowitą słuszność — przyznała. — To ogromny wstrząs dla dziecka w tym wieku. Stała się okropnie nerwowa.

— To przecież naturalne, *mademoiselle*. Ale w tym wieku człowiek szybko zapomina. Proszę namówić ją do wzięcia udziału w pikniku. Wiem, że pani to potrafi.

Major Barry twardo odmówił. Powiedział, że nie lubi pikników. — Trzeba nosić koszyki — narzekał. — I w ogóle jest strasznie niewygodnie. Wolę jeść posiłki przy stole.

O godzinie dziesiątej następnego dnia cała grupa spotkała się przy trzech zamówionych samochodach. Pan Blatt był w doskonałym humorze. Udawał przewodnika i donośnym głosem wychwalał zalety pikniku.

— Tędy, panie i panowie... tędy do Dartmoor. Wrzosy i czarne jagody, śmietana z Deyonshire i skazańcy! Weźcie z sobą małżonki, panowie, albo inne panie. Wszyscy mile widziani. Piękna sceneria zagwarantowana. Proszę do nas! Proszę do nas!

W ostatniej chwili zeszła Rosamund. Była zakłopotana.

— Linda nie pojedzie. Mówi, że okropnie boli ją głowa.

— Ale to jej dobrze zrobi! — zawołał Poirot. — Proszę ją namówić, *mademoiselle*.

— Nie potrafię — odparła stanowczo Rosamund.

— Jest absolutnie zdecydowana. Dałam jej aspirynę i położyła się do łóżka. — Po chwili dodała z wahaniem:

— Chyba powinnam z nią zostać.

— Nie można do tego dopuścić, droga pani! — zawołał pan Blatt biorąc ją żartobliwie pod ramię. — *La haute Mode* będzie ozdobą tej wycieczki. Nie przyjmuję odmowy. Zaaresztowałem panią, ha, ha. Jest pani skazana na Dartmoor.

Poprowadził ją stanowczo w kierunku pierwszego auta. Rosamund rzuciła mroczne spojrzenie panu Poirotowi.

— Ja zostanę z Lindą — zaoferowała się Christine Redfern. — Nie zależy mi na wyjeździe.

— Nie zostawaj, Christine — poprosił Patrick.

A Poirot dodał:

— Nie, nie, musi pani pojechać, madame. Przy bólu głowy lepsza jest samotność. Idźmy już, ruszajmy.

Autą odjechały. Najpierw udali się do prawdziwej Groty Skrzata na Sheepstor. Nieźle się bawili szukając do niej wejścia. W końcu odnaleźli je, dzięki kartce z widokiem grotty.

Droga po wielkich głazach była ryzykowna i Herkules Poirot nie podjął jej. Przyglądał się pobłażliwie Christine Redfern przeskakującej lekko z kamienia na kamień. Patrick nie odstępował jej ani na krok. Rosamund Darnley i Emily Brewster przyłączyły się do poszukiwań, choć ta ostatnia pośliznęła się i skręciła sobie lekko nogę w kostce. Nawet Stephen Lane brał udział w zabawie, a jego długa szczupła sylwetka co i raz migąła Poirotowi między głazami. Pan Blatt nie wysiłał się zbyt, zadowolony z rzucaniem zachęcających okrzyków i fotografowaniem poszukujących.

Gardenerowie i Poirot usiedli statecznie na skraju drogi i natychmiast z ust pani Gardener popłynął miły, monotony monolog, przerywany od czasu do czasu posłusznymi „tak, kochanie” jej małżonka.

— ...zawsze czułam, a pan Gardener zgadza się ze mną, że robienie zdjęć może być udręką. To znaczy, jeżeli nie robi się ich w gronie przyjaciół. Ten pan Blatt pozbawiony jest całkowicie delikatności. Po prostu podchodzi do każdego, zagaduje i pstryka zdjęcia, a to — jak powiedziałam panu Gardenerowi — jest w bardzo złym tonie. Tak powiedziałam, prawda Odellu?

— Tak, kochanie.

— Na przykład, to grupowe zdjęcie, które zrobił nam na plaży. Uważam, że powinien był najpierw zapytać o pozwolenie. Właśnie wtedy panna Brewster wstawała, a nie każdy lubi być fotografowany w takich dziwacznych pozach.

— Święta racja — przyznał pan Gardener z uśmiechem.

— A zaraz potem pan Blatt, nie pytając nikogo o zdanie, rozdaje odbitki. Zauważyłam, że panu też dał. panie Poirot.

Poirot skinął głową.

— Wysoko sobie cenię to grupowe zdjęcie.

— A niech pan spojrzy na jego dzisiejsze zachowanie... — ciągnęła pani Gardener — głośne, hałaśliwe, ordynarne. Powinien pan był zostawić go w hotelu, panie Poirot.

— Niestety, madame, byłoby to niezwykle trudne — szepnął Herkules Poirot.

— No cóż, ma pan rację. Ten człowiek wszędzie się wpycha. Brak mu delikatności.

W tej samej chwili dochodzące z dołu okrzyki dały znać, że odkryto wejście do Groty Skrzata. Wkrótce wszyscy znowu wsiedli do samochodów i pod kierownictwem Poirota ruszyli w drogę. Zostawili auta w dogodnym miejscu, skąd ścieżką zeszli po zboczu pagórka aż do uroczego zakątka przy strumieniu. Przez strumień biegła wąziutka kładka z desek. Pani Gardener bała się trochę przejść po niej, ale pan Gardener i Poirot zdołali przemóc jej obawy i wkrótce wszyscy znaleźli się w uroczym zakątku na wrzosowisku. Dzięki Bogu, nic było tam kłujących jałowców i łączka wprost idealnie nadawała się na piknik. Pani Gardener usiadła na ziemi i natychmiast zaczęła ze swadą opowiadać o swych doznaniach podczas przeprawy przez strumień. Nagle rozległ się cichy okrzyk. Emily Brewster stała pośrodku kładki z zamkniętymi oczyma i chwiała się niebezpiecznie. Patrick Redfern i Poirot pobiegli na ratunek.

— Dziękuję, dziękuję — burknęła zawstydzona Emily. — Nie potrafię przejść nad płynącą wodą. W głowie mi się kręci. To głupie.

Nakryto do lunchu i rozpoczął się piknik. Wszyscy się dziwili w duchu, że wycieczka okazała się tak przyjemna. Każdy skrycie pragnął uciec od atmosfery podejrzeń i grozy, a tu, pośród szmeru płynącej wody, powietrza przesyconego łagodną wonią torfowisk i ciepłych barw paproci i wrzosów, świat zbrodni, policyjnych dochodzeń i podejrzeń zdawał się nierealny. Nawet pan Blatt zapomniał, że ma być duszą i sercem towarzystwa. Po lunchu usnął sobie na boku, pochrapując od czasu do czasu.

Gdy piknik dobiegł końca i pakowali koszyki, wszyscy odczuwali wdzięczność dla Poirota i gratulowali mu doskonałego pomysłu. Słońce zaczęło się już chować za horyzont, gdy powracali wąskimi krętymi drózkami. Ze szczytu wzgórza górującego nad Leathercombe widzieli przez chwilę wyspę i stojący na niej biały hotel. Był to widok pełen spokoju i niewinności. Nawet pani Gardener powiedziała tylko:

— Naprawdę dziękuję panu, panie Poirot. Czuję się tak spokojnie. To cudowne.

II

Gdy zajechali, na powitanie wyszedł im major Barry.

— Cześć. Miło było? — zapytał.

— O, tak — odpowiedziała pani Gardener. — Wrzosowiska tak piękne, że nie da się tego opowiedzieć. Tak angielskie i staroświeckie. Powietrze cudowne i ożywcze.

Powinien się pan wstydzić, że z lenistwa został pan w hotelu.

Major zachichotał.

— Jestem za stary na siadanie na ziemi i objadanie się kanapkami.

Z hotelu wybiegła nieco zdyszana pokojówka. Herkules Poirot rozpoznał Gladys Narracott. Wahąca się przez chwilę, a później podeszła szybko do Christine Redfern.

— Przepraszam panią, ale jestem trochę zaniepokojona tą młodą panią. Panną Marshall. Zniosłam jej teraz herbatę i nie mogłam się jej dobudzić... Wygląda tak jakoś dziwnie.

Christine rozejrzała się bezradnie. Poirot natychmiast znalazł się u jej boku. Ujął jej łokieć i poradził:

— Chodźmy na górę zobaczyć, co się dzieje. Wspięli się szybko po schodach i pobiegli korytarzem do pokoju Lindy. Od pierwszego rzutu oka dostrzegli, że dzieje się coś złego. Twarz dziewczynki miała niezdrową barwę, a oddech był niemal niedosłyszalny. Poirot ujął jej nadgarstek, by zmierzyć tętno. W tej samej chwili dostrzegł kopertę opartą o lampę na nocnym stoliku. Zaadresowana była do niego.

Do pokoju wszedł pospiesznie kapitan Marshall.

— Co się dzieje z Lindą? Co jej jest? — spytał. Przerazona Christine Redfern zaszlochała cicho. Herkules Poirot odwrócił się od łóżka.

— Niech pan sprowadzi lekarza, natychmiast — powiedział. — Lękam się, bardzo się lękam, że może być za późno.

Wziął list i rozerwał kopertę. Wewnątrz była kartka papieru z kilkoma linijkami schludnego, uczniowskiego pisma.

Myślę, że to najlepsze wyjście. Niech pan poprosi Ojca, żeby mi przebaczył. Myślałam, że będę zadowolona... ale nie jestem. Bardzo wszystkiego żałuję.

III

Marshall, Redfernowie, Rosamund Darnley i Herkules Poirot zebrali się w salonie hotelowym. Czekali w milczeniu. Otworzyły się drzwi i wszedł doktor Neasden. Powiedział krótko:

— Zrobiłem wszystko, co mogłem. Może wyjdzie z tego... ale muszę panu powiedzieć, że nie ma wiele nadziei.

Twarz Marshalla zeszywniała, oczy jego stały się lodowatobłękitne.

— Skąd to wzięła? — zapytał.

Neasden powtórnie otworzył drzwi i skinął ręką. Do pokoju weszła pokojówka. Płakała.

— Proszę nam powtórzyć, co pani zobaczyła. Pociągając nosem dziewczyna rzekła:

— Nie myślałam... ani przez chwilę nie myślałam, że dzieje się coś złego... chociaż dziewczynka dziwnie wyglądała. — Doktor przerwał jej niecierpliwym gestem, więc pokojówka zaczęła od nowa. — Była w pokoju tej pani... pani Redfern. Stała przy umywalce i trzymała akurat w ręku małą buteleczkę. Spłoszyła się, kiedy weszłam. Pomyślałam, że to dziwne, że bierze tak rzeczy z pani pokoju, ale oczywiście mogło to być coś, co pani pożyczyła. Powiedziała tylko „Właśnie tego szukałam” i wyszła.

— Moje proszki nasenne — wyszeptała Christine.

— Skąd o nich wiedziała? — spytał szorstko doktor Neasden.

— Dałam jej jeden proszek wieczorem tego dnia, gdy zginęła jej macocha. Powiedziała mi, że nie może usnąć. Ona... pamiętam, jak powiedziała: „Czy jeden wystarczy?” — a ja odparłam, że tak, bo są bardzo mocne... i że nie wolno brać więcej niż dwa na raz.

Neasden skinął głową.

— Chciała być pewna — oświadczył. — Wzięła sześć. Christine załkała ponownie.

— O Boże, to moja wina! Powinnam była trzymać je pod kluczem.

Doktor wzruszył ramionami.

— Byłoby to rozsądniejsze, pani Redfern.

— Ona umiera... to moja wina... — rozpaczała Christine.

Kenneth Marshall poruszył się w krześle.

— Nie, nie może pani siebie winić. Linda wiedziała, co robi. Wzięła je świadomie. Może... może tak jest najlepiej — powiedział Kenneth Marshall spoglądając na pomiętą kartkę, którą otrzymał wcześniej od Poirota.

— Nie wierzę w to! — zaprotestowała Rosamund Darnley. — Nie wierzę, że Linda ją zabiła. To absolutnie niemożliwe.

— Tak, nie mogła tego zrobić — dodała żywo Christine. — Była przemęczona psychicznie i musiała sobie to wszystko wyobrazić.

Do pokoju wszedł pułkownik Weston.

— Słyszałem, że znowu coś się stało.

Doktor Neasden podał mu kartkę, którą wyjął z dłoni Marshalla. Komendant policji odczytał ją i zawołał niedowierzająco:

— Co? Przecież to bzdura, zupełna bzdura! To niemożliwe. — Powtórzył z przekonaniem: — Niemożliwe, prawda Poirot?

Herkules Poirot poruszył się i po raz pierwszy zabrał głos w dyskusji.

— Nie. Obawiam się, że to nie jest niemożliwe. Christine Redfern powiedziała:

— Ale ja z nią byłam, panie Poirot. Byłam z nią do za kwadrans dwunasta. Już wam mówiłam.

— Pani zeznanie stworzyło jej alibi. Ale na czym oparte było pani zeznanie? Na świadectwie zegarka Lindy. Nie da się sprawdzić, czy rozstała się z nią pani za kwadrans dwunasta. Wiemy tylko, że Linda tak powiedziała. Sama pani przyznała, że czas zdawał się płynąć bardzo szybko.

Patrzyła na niego zaskoczona.

— Teraz proszę pomyśleć — ciągnął detektyw — czy opuściwszy plażę wracała pani do hotelu prędko, czy wolno?

— Ja... myślę, że dość wolno.

— Czy zapamiętała pani wiele szczegółów z drogi powrotnej?

— Chyba niewiele. Ja... rozmyślałam.

— Proszę mi wybaczyć niedyskrecję, ale o czym pani myślała?

Christine zarumieniła się.

— Przypuszczam, że muszę panu powiedzieć. Rozważałam sprawę wyjazdu. Wyjazdu bez uprzedzenia mojego męża. Widzi pan, byłam... byłam wtedy bardzo nieszczęśliwa.

— Och, Christine... wiem... wiem... — zawołał Patrick Redfern.

— Właśnie — przerwał mu rzeczowym tonem Poirot. — Była pani zajęta podejmowaniem dość ważnej decyzji. Była pani, powiedziałbym, głucha i ślepa na wszystko. Prawdopodobnie szła pani bardzo wolno zatrzymując się od czasu do czasu.

Christine przytaknęła.

— Ma pan rację. Dokładnie tak było. Tuż przed wejściem do hotelu przebudziłam się z tego snu na jawie i przestraszyłam się, że jestem spóźniona. Ale kiedy spojrzałam na zegar w recepcji, zdałam sobie sprawę, że mam jeszcze masę czasu.

— Właśnie — powtórzył Herkules Poirot. Zwrócił się ku Marshallowi.

— Muszę teraz opisać panu, co w dniu morderstwa znalazłem w pokoju pańskiej córki. W kominku była duża bryłka roztopionego wosku, trochę spalonych włosów, skrawki tektury i papieru, i zwykła szpilka. Papier i tektura mogą być bez znaczenia, lecz pozostałe trzy znaleziska dały mi do myślenia, zwłaszcza, gdy na półce z książkami odkryłem książkę z miejscowej biblioteki dotyczącą czarnoksięstwa i magii. Łatwo otwierała się na stronie z opisami różnych sposobów powodowania śmierci za pomocą woskowej figurki przedstawiającej ofiarę. Figurkę taką należy wolno obracać nad ogniem, póki się nie roztopi... lub można wbić szpilkę w serce. W krótkim czasie winna nastąpić śmierć ofiary. Później dowiedziałem się od pani Redfern, że Linda Marshall wyszła wcześniej rano i kupiła paczkę świec. Była bardzo zakłopotana, kiedy jej zakup wyszedł na jaw. Nie miałem żadnych wątpliwości, co się stało później. Linda wykonała z wosku prymitywną figurkę (być może ozdabiając ją kosmykiem rudych włosów Arleny, aby nadać jej magiczną moc), przebiła ją szpilką tam, gdzie znajduje się serce i w końcu roztopiła figurkę zapalającymi kolejno kawałkami tektury. To, co zrobiła, było prymitywne, dziecinne, zabobonne, ale świadczyło o jednym: o pragnieniu zadania śmierci. Czy istniała jakaś możliwość, że było to coś więcej niż pragnienie? Czy Linda Marshall mogła naprawdę zabić swą macochę? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ma doskonałe alibi, ale w gruncie rzeczy, jak to przed chwilą wykazałem, dostarczone przez nią samą. Mogła z łatwością oświadczyć, że jest o kwadrans później niż w rzeczywistości. Było także zupełnie możliwe, że po zejściu pani Redfern z plaży Linda szła za nią przez pewien czas, a później pobiegła ku drabinie, zeszła po niej szybko, spotkała macochę, udusiła ją i wspięła się z powrotem, zanim pojawiła się łódź z panną Brewster i panem Redfermem. Mogłaby wówczas powrócić do Zatoczki Mew, wykąpać się i zdążyć do hotelu.

Aby tak się stało, musiałyby zaistnieć dwa czynniki: musiałyby wiedzieć, że Arlena Marshall będzie w Zatoczce Skrzata, i mieć wystarczająco dużo siły do popełnienia tego czynu.

To pierwsze było zupełnie możliwe... Linda Marshall mogła wysłać do Arleny list podpisując go cudzym nazwiskiem. A jeśli mowa o tym drugim czynniku... cóż, Linda ma bardzo wielkie, silne dłonie. Są one prawie tak duże, jak dłonie mężczyzny. Ponadto w jej wieku często występuje skłonność do zakłóceń równowagi psychicznej. A to wzmacnia często siłę fizyczną. Jeszcze jeden mały punkcik. Matka Lindy Marshall była oskarżona o morderstwo.

Kenneth Marshall uniósł głowę.

— Została uniewinniona — rzucił gwałtownie.

— Została uniewinniona — zgodził się Poirot.

— I powiem panu jedno, panie Poirot — powiedział Marshall. — Ruth, moja żona, była niewinna. Wiem o tym z całkowitą, absolutną pewnością. Nie potrafiłaby mnie oszukać, żyjąc ze mną tak blisko na co dzień. Była niewinną ofiarą okoliczność; — urwał na chwilę. — I nie wierzę, aby Linda zabiła Arlenę. To bezsensowne... absurdalne.

— Uważa pan więc ten list za fałszerstwo? — spytał Poirot.

Marshall wyciągnął rękę i Weston podał mu kartkę. Kapitan wpatrzył się w nią uważnie.

— Nie — przyznał niechętnie potrząsając głową. — Myślę, że napisała go Linda.

Poirot powiedział:

— W takim razie istnieją tylko dwa wyjaśnienia. Albo napisała go, wiedząc, że jest morderczynią, albo... albo napisała to z rozmysłem, aby osłonić kogoś innego, kogoś, kto jak się obawiała, jest podejrzany.

— Ma pan na myśli mnie? — spytał Kenneth Marshall.

— To możliwe, prawda?

Marshall zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł spokojnym tonem:

— Nie. Myślę, że to absurdalny pomysł. Linda mogła zdawać sobie sprawę, że początkowo patrzono na mnie podejrzliwie. Ale wiedziała też, że policja przyjęła moje alibi i zwróciła uwagę w innym kierunku.

— Ale przypuśćmy — nie dawał za wygraną Poirot — że cierpiała nie dlatego, że pan jest podejrzany, ale ponieważ wiedziała, że jest pan winny.

Marshall spojrział na niego ze zdumieniem i roześmiał się.

— To absurdalne.

— Naprawdę? Jak pan wie, istnieje wiele teorii dotyczących śmierci pani Marshall. Na przykład, że była szantażowana, poszła tego poranka spotkać się z szantażystą, a on ją zabił. Mogła zginąć, ponieważ przypadkiem dowiedziała się, że Zatoczka i Grota Skrzata były wykorzystywane do przemytu narkotyków. Jest jeszcze trzecia możliwość: że zabił ją maniak religijny. I jest czwarta możliwość... dzięki śmierci swej żony, kapitanie Marshall, zyskałby pan wiele pieniędzy, prawda?

— Powiedziałem panu przed chwilą...

— Tak, tak... Zgadzam się. że nie mógł pan zamordować żony, gdyby pan działał sam. Ale

przypuścimy, że ktoś panu pomógł?

— Co u diabła ma pan na myśli?

Spokojny człowiek wybuchnął wreszcie gniewem. Na pół uniósł się z krzesła. W głosie jego była groźba, a w oczach twardy, zły blask.

— Mam na myśli, że nie jest to zbrodnia, którą popełniono w pojedynkę — wyjaśnił Poirot. — Brały w niej udział dwie osoby. To prawda, że nie zdążyłby pan napisać na maszynie tego listu i równocześnie udać się do zatoczki... ale było dość czasu, aby zastenografować ten list komuś, kto by go pisał na maszynie w pańskim pokoju, w czasie pańskiej morderczej wyprawy. — Herkules Poirot spojrział na Rosamund Darnley i rzekł: — Panna Darnley zeznała, że opuściła Słoneczną Krawędź dziesięć minut po jedenastej i zobaczyła pana, piszącego w pokoju na maszynie. Ale właśnie w tym czasie pan Gardener poszedł do hotelu po motek wełny dla żony. Nie spotkał panny Darnley. To dość dziwne. Wygląda na to, że albo panna Darnley w ogóle nie opuszczała Słonecznej Krawędzi, albo że opuściła ją znacznie wcześniej i znajdowała się w pańskim pokoju stukając pracowicie na maszynie. Inny punkt: zeznał pan, że kiedy panna Darnley zajrzała do pańskiego pokoju piętnaście po jedenastej, ujrzał ją pan w lustrze. Lecz w dniu morderstwa pańska maszyna i papiery znajdowały się razem na biurczku w rogu pokoju, podczas gdy lustro znajduje się między oknami. A więc zeznanie to było rozmyślnym kłamstwem. Później przesunął pan maszynę na stół pod lustrem, żeby to kłamstwo uwiarygodnić... ale było już za późno. Miałem świadomość, że zarówno pan, jak i panna Darnley skłamaliście.

— Jest pan cholernie sprytny — odezwała się Rosamund cicho, ale wyraźnie.

Herkules Poirot odparł unosząc głos:

— Ale nie tak dociekliwy i nie tak diabelski jak człowiek, który zabił Arlenę Marshall! Proszę cofnąć się na chwilę myślą do tego dnia. Przypominamy sobie, co myśleliśmy. Kogo Arlena Marshall poszła spotkać tego ranka? Wszyscy byliśmy przekonani, że Patricka Redferna. Nie szła na spotkanie z szantażystą. Jej twarz by mi to powiedziała. O nie, miała spotkać się z ukochanym... a raczej sądziła, że to będzie ukochany. Tak, byłem tego zupełnie pewien. Arlena Marshall wyruszyła na spotkanie z Patrickiem Redfernem. Ale minutę później Patrick Redfern pojawił się na plaży, najwyraźniej rozglądając się za nią. A więc co?

Patrick Redfern powiedział tłumiąc gniew:

— Ktoś podszył się pode mnie.

— Był pan wyraźnie wyrażony z równowagi i zdumiony jej nieobecnością — rzekł detektyw. — Może aż nadto otwarcie. Moja teoria jest taka, panie Redfern, że pani Marshall wyruszyła do Zatoczki Skrzata, żeby spotkać się z panem, i że zabił ją pan tam, tak jak pan to sobie zaplanował.

Patrick Redfern szeroko otworzył oczy. Wysokim, dobrodusznym głosem z irlandzkim akcentem zaprotestował:

— Czy pan zgłupiał? Byłem z panem na plaży, póki nie popłynąłem łodzią z panną Brewster i nie znalazłem jej nieżywej.

— Zabił ją pan — powiedział Herkules Poirot — kiedy panna Brewster odpłynęła, żeby sprowadzić policję. Arlena Marshall nie była martwa, kiedy znalazł się pan na plaży. Ukryta w grocie czekała chwili, gdy brzeg będzie pusty.

— Ale ciało! Panna Brewster i ja, oboje widzieliśmy ciało!

— Ciało... tak. Ale nie martwe. Ciało żywej kobiety, która pana wspomogła. Nogi i ramiona pokryła olejkim imitującym opaleniznę, a twarz ukryła pod zielonym tekturowym kapeluszem plażowym. Christine (pańska żona, a być może nie żona, ale współpracowniczka) pomogła panu popełnić te zbrodnie, tak jak pomogła popełnić w przeszłości inną zbrodnię, gdy „odkryła” ciało Alice Corrigan co najmniej dwadzieścia minut przed śmiercią tejże Alice... zabitej przez swego męża, Edwarda Corrigan... czyli pana!

— Ostrożnie, Patricku. Nie trać równowagi — odezwała się Christine zimnym i opanowanym głosem.

— Pewnie zainteresuje pana wiadomość — ciągnął Poirot — że oboje, pan i pana żona, Christine, zostaliście bez trudu rozpoznani przez policję z Surrey... na grupowym zdjęciu wykonanym tutaj. Zidentyfikowano was jako Edwarda Corrigan i Christine Devrill, młodą kobietę, która znalazła zwłoki.

Patrick Redfern wstał. Jego przystojna twarz wykrzywiła się, nabiegła krwią. Była to twarz mordercy, tygrysa w ludzkim ciele.

— Ty przekłeta, wścibska, zawszona mała glisto! — wrzasnął.

Rzucił się na Herkulesa Poirota zaciskając palce na jego gardle.

Rozdział trzynasty

Herkules Poirot rzekł z namysłem:

— Nastąpiło to tego ranka, kiedy siedzieliśmy tutaj i rozmawialiśmy o opalonych ciałach leżących jak mięso na ladzie... Wtedy właśnie pomyślałem, jak mało różni się jedno ciało od drugiego. Oczywiście, z bliska widać różnice, ale gdy się rzuci tylko przelotne spojrzenie... Jedna przeciętnie dobrze zbudowana młoda kobieta do złudzenia przypomina inne. Brązowe nogi, brązowe ręce, pośrodku skąpy kostium kąpielowy... po prostu ciało rozciągnięte na słońcu. Gdy kobieta chodzi, mówi, śmieje się, odwraca głowę, wówczas ujawnia swoją osobowość, indywidualność, niedostrzegalną podczas rytuału słonecznego.

Tego dnia przedmiotem naszej rozmowy było zło... „zło, które żyje pod słońcem”, jak je określił pan Lane. Pan Lane jest osobą bardzo wrażliwą, doskonale wyczuwa obecność zła, lecz w tym wypadku nie wiedział dokładnie, gdzie ono się znajduje. Dla niego uosobieniem zła była Arlena Marshall i niemal wszyscy inni się z nim zgadzali.

Lecz dla mnie, choć zło było obecne, nie ogniskowało się ono w Arlenie Marshall. Było z nią związane... lecz w zupełnie inny sposób. Widziałem ją, od pierwszej do ostatniej chwili, jako skazaną przez los ofiarę. Ponieważ była piękna, ponieważ była czarująca, ponieważ mężczyźni odwracali głowę, by na nią spojrzeć, zaczęto uważać, że jest typem kobiety rujnującej życie mężczyzn i niszczącej ich dusze. Ale ja widziałem ją inaczej. To nie ona była złowieszczą atrakcyjną dla mężczyzn... to mężczyźni byli złowieszczą atrakcyjni dla niej. Była typem kobiety, która łatwo pociąga mężczyzn i równie łatwo ich nuży. I wszystko, co mi o niej mówiono i co odkryto, umacniało mnie w tym przekonaniu. Najpierw usłyszałem, że odmówił poślubienia jej mężczyzna, w którego sprawie rozwodowej została wymieniona jako współwinna. Wtedy kapitan Marshall, jeden z tych nieuleczalnie rycerskich mężczyzn, pojawił się na scenie i poprosił ją o rękę. Dla nieśmiałego, stroniącego od ludzi człowieka, jakim jest kapitan Marshall, publiczne poniżenie musiało wydawać się torturą... stąd jego miłość i współczucie dla pierwszej żony, publicznie oskarżonej i sądzonej za morderstwo, którego nie popełniła. Ożenił się z nią, i jak się okazało, słusznie ocenił jej charakter. Po jej śmierci inna piękna kobieta, być może o podobnym typie urody (gdyż Linda swe rude włosy najprawdopodobniej odziedziczyła po matce) zostaje publicznie poniżona. Marshall po raz drugi spieszy na ratunek. Lecz tym razem nic nie usprawiedliwia jego zaślepienia. Arlena jest głupia, niegodna jego przyjaźni ani ochrony, bezmyślna. Myślę, że zawsze widział ją taką, jaką naprawdę była i współczuł jej nawet wówczas, gdy przestał ją kochać i drażniła go jej obecność. Uważał ją za dziecko, które nie może przekroczyć pewnego etapu w życiu.

Arlena z obsesją na punkcie mężczyzn stanowiła, według mnie, łatwy łup dla pewnego typu mężczyzn. Typ ten rozpoznałem od razu w przystojnym Patricku Redfernie — pewnym siebie, czarującym dla kobiet łowcy przygód, który w taki czy inny sposób na nich żeruje. Obserwując ich na plaży byłem pewien, że Arlena jest ofiarą Patricka, a nie odwrotnie. I doszedłem do wniosku, że zło skupia się w Patricku, nie w Arlenie Marshall.

Arlena weszła niedawno w posiadanie wielkiej sumy pieniędzy pozostawionej jej w spadku przez starzejącego się wielbiciela, który nie miał dość czasu, by się nią znużyć. Kobiety takie jak ona zawsze zostają obrabowane z pieniędzy przez jakiegoś mężczyznę. Panna Brewster wzmiankowała pewnego młodego człowieka, który został „zrujnowany” przez Arlenę, ale znaleziony w jej pokoju list od niego, choć wyrażał pragnienie (nic nie kosztujące) obsypania jej klejnotami, faktycznie potwierdzał otrzymanie od niej czeku, który dawał mu nadzieję uniknięcia odpowiedzialności karnej. Jasny przykład młodego utracjusza pasożytującego na kobiecie. Nie wątpię, że Patrick Redfern z łatwością umiał ją namówić do powierzania mu od czasu do czasu większych sum dla poczynienia „inwestycji”. Prawdopodobnie olśnił ją opowiadaniem o wielkich okazjach na zyskanie fortuny dla niej i dla siebie. Nie chronione przez nikogo, samotne kobiety padają łatwo ofiarą mężczyzn, którzy zwykle znikają bezkarnie wraz z łupem. Jeśli istnieje jednak mąż, brat lub ojciec, rzeczy mogą przybrać zły obrót dla oszusta. Gdyby kapitan Marshall odkrył, co się stało z majątkiem żony, Patrick Redfern mógłby mieć poważne kłopoty. Nie martwił się jednak zbytnio, gdyż postanowił usunąć ją w odpowiedniej chwili, tak jak pozbył się kobiety, którą poślubił jako Edward Corrigan i namówił, by ubezpieczyła swoje życie na jego korzyść.

W realizacji tych planów pomogła mu kobieta, która uchodziła tu za żonę i do której był naprawdę przywiązany. Niczym nie przypominała jego ofiar: zimna, spokojna, beznamiętna, lecz niezachwianie mu wierna, a prócz tego uzdolniona aktorka. Od chwili przyjazdu tutaj Christine Redfern grała rolę „biednej małej zoneczki”. Kruchej, bezradnej, raczej intelektualistki niż atletki. Proszę pomyśleć, zgrabnie tworzyła krok po kroku ten wizerunek opowiadaniem o tym, jak od opalania się dostaje bąbli, o zawrotach głowy na dużych wysokościach... bajka o tym, jak utknęła na dachu katedry w Mediolanie itd. Dzięki stałemu podkreślaniu swojej kruchości i delikatności, wszyscy niemal mówili o niej „mała kobietka”. W rzeczywistości była tak wysoka jak Arlena Marshall, lecz miała bardzo małe dłonie i stopy. Mówiła o sobie jako o byłej nauczycielce, co wytwarzało wrażenie dużej wiedzy i braku sprawności fizycznej. W rzeczywistości pracowała w szkole, ale jako nauczycielka gimnastyki, i była wyjątkowo sprawna. Umiała wspinać się jak kot i biegać jak sprinter.

Sama zbrodnia została doskonale przygotowana i rozplanowana w czasie. Była to, jak już mówiłem wcześniej, bardzo „gładka” zbrodnia. Rozłożenie jej w czasie było wprost genialne. Najpierw nastąpiły sceny „przygotowawcze”. Pierwszą z nich odgrywają na występie skalnym, gdy oboje wiedzą, że znajdują się w sąsiedniej niszy: konwencjonalny dialog zazdrosnej żony i męża. Później Christine odgrywa tę samą rolę w rozmowie ze mną. Pamiętam, że miałem wówczas niejasne wrażenie, jak gdybym czytał to już w jakiejś książce. Nie wydawało się to prawdziwe. Ale też, oczywiście, nie było prawdziwe. Nadszedł dzień zbrodni. Pogoda dopisała, co było zresztą bardzo istotne. Najpierw Redfern wcześniej wyslizguje się z hotelu. Wychodzi balkonowymi drzwiami, które otwiera od wewnątrz. Gdyby ktoś znalazł je otwarte, z pewnością pomyślałby, że wyszedł tamtędy amator wczesnej kąpieli. Pod ręcznikiem kąpielowym Redleni ukrył zielony chiński kapelusik plażowy, taki sam jaki zwykle nosiła Arlena. Patrick przemyka przez wyspę, schodzi po drabinie i ukrywa kapelusz w umówionym miejscu, za którymś z głazów. To była cześć pierwsza.

Poprzedniego wieczora Patrick umawia się na spotkanie z Arleną. Ponieważ pani Marshall obawiała się nieco swego męża, musieli zachowywać wielką ostrożność. Dlatego właśnie postanawiają spotkać się w Zatoczce Skrzata rano, gdy nikt tam nie chodził. Arlena ma przybyć wcześniej, a Redfern przyrzekł dołączyć, kiedy uda mu się wymknąć niepostrzeżenie. Gdyby

usłyszała kogoś schodzącego po drabinie albo zobaczyła nadpływającą łódź, miała wśliznąć się do Groty Skrzata, której sekret jej wyjawiał, i tam czekać, póki brzeg nie opustoszeje. To była część druga.

Tymczasem pod nieobecność Lindy, Christine wchodzi do jej pokoju. Przesunęła zegarek Lindy dwadzieścia minut do przodu. Istniało oczywiście ryzyko, że Linda może to dostrzec, ale nie miało to zbyt wielkiego znaczenia. Prawdziwym alibi dla Christine były jej dłonie, których delikatność sprawiała, że popełnienie tej zbrodni było dla niej fizyczną niemożliwością. Mimo to chce mieć jeszcze dodatkowe alibi. W pokoju Lindy dostrzega otwartą książkę o czarach i czarnej magii. Przeczytała wystarczająco dużo, aby — gdy wchodzi Linda i upuszcza paczkę świec — zdać sobie sprawę z jej zamiarów. To nasunęło jej pewne nowe pomysły. Początkowo para zbrodniarzy chciała rzucić podejrzenie na Kennetha Marshalla, stąd zgubiona fajka, której fragment miał być umieszczony pod drabiną.

Po powrocie Lindy Christine łatwo namówiła ją na wspólne wyjście do Zatoczki Mew, po czym powraca do swego pokoju, wyjmując z zamkniętej na kluczyk walizki buteleczkę płynu imitującego opaleniznę, pokrywa się nim uważnie i wyrzuca przez okno pustą buteleczkę, która niemal trafia w kąpiącą się Emily Brewster. Część trzecia zakończona pomyślnie.

Następnie Christine ubiera się w biały kostium kąpielowy i parę spodni plażowych z bluzą o szerokich, luźnych rękawach, co doskonale skrywa jej świeżo opalone na brązowo ręce i nogi.

Piętnaście po dziesiątej Arlena wyrusza na spotkanie, a w minutę czy dwie później Patrick Redfern schodzi na plażę okazując wzrastający niepokój i zdenerwowanie. Tymczasem Christine bez trudu wypełnia swe zadanie. Często Sprawdza godzinę na własnym ukrytym zegarku, a gdy dochodzi dwadzieścia pięć po jedenastej, pyta Linde, która godzina. Linda spogląda na swój zegarek: jest za piętnaście dwunasta, zatem Christine pakuje przybory do szkicowania. Tymczasem dziewczynka idzie się kąpać. Gdy tylko odwraca się do Christine plecami, ta przestawia na właściwą godzinę zegarek, który oczywiście Linda ściągnęła przed wejściem do morza. Następnie wspina się szybko skalną ścieżką, przebiega krótki odcinek ku drabinie, ściąga spodnie plażowe i kurtkę, chowa je wraz z przyborami do szkicowania za któryś głaz i błyskawicznie w sposób godny prawdziwej gimnastyczki schodzi po drabinie.

Arlena jest na plaży w dole i zastanawia się, czemu Patrick tak długo nie nadchodzi. Widzi albo słyszy kogoś na drabinie, rzuca uważne spojrzenie i ku swemu zaskoczeniu dostrzega najbardziej niepożądaną osobę — żonę! Biegnie więc prędko pod skałami i kryje się w Grocie Skrzata. Natomiast Christine wyjmując z kryjówki kapelusz (do którego od spodu uczepiony jest do krawędzi fałszywy rudy lok) i układa się tak, by kapelusz i lok zakrywały jej twarz i szyję. Wszystko jest doskonale zgrane w czasie. Po minucie czy dwóch spoza przylądka wynurza się łódź niosąca Patricka i Emily Brewster. Proszę pamiętać, że to Patrick pochyła się i bada ciało, że to Patrick jest oszołomiony, wstrząśnięty i załamany śmiercią swej ukochanej!

####ważnie dobrany. Panna Brewster #### i nie spróbuje wchodzić po drabinie #### przejażdżkę łodzią, a przy zwłokach „na wy #### morderca był jeszcze gdzieś w pobliżu” #### oczywiście, Patrick. Panna Brewster odpływa, by sprowadzić policję. Gdy tylko łódź znika, Christine zrywa się, tnie kapelusz na kawałki nożyczkami, które przyniósł zapobiegliwy Patrick, wsuwa je za kostium

kąpielowy, wspina się błyskawicznie po drabinie, wciąga plażową piżamę i biegnie do hotelu. Ma akurat tyle czasu, by wykąpać się szybko — musi przecież zmyć opaleniznę — i przebrać w strój tenisowy. Aha, robi jeszcze coś. Spala w kominku Lindy fragmenty tekturowego kapelusza i fałszywy lok włosów dorzuciwszy do tego kartkę z kalendarza, aby wydawało się, że nie kapelusz, ale kalendarz został spalony. Tak jak podejrzewała, Linda oddawała się praktykom magicznym... wskazują na to plama wosku i szpilka. Wreszcie Christine udaje się na kort tenisowy. Przybywa ostatnia, ale nie okazuje żadnych oznak podniecenia ani zmęczenia.

A tymczasem Patrick wchodzi do groty. Arlena niczego nie widziała, a słyszała bardzo niewiele... łódź... głosy... Pozostała roztropnie w ukryciu. Lecz teraz słyszy głos Patricka: „Droga wolna, kochanie!”.

Wychodzi, a na jej szyi zaciskają się jego ręce. Tak właśnie zginęła biedna, niemądra, piękna Arlena Marshall...

Poirot umilkł i przez chwilę panowała cisza, którą w końcu przerwała Rosamund Darnley.

— Opowiada pan bardzo plastycznie. Ale jak pan odkrył prawdę?

— Powiedziałem pani kiedyś, że rozumiem w sposób bardzo prosty. Zawsze od samego początku wydawało mi się, że Arlenę zabiła najbardziej prawdopodobna osoba.

A tą najbardziej prawdopodobną osobą był Patrick Redfern. Był on par excellence typem mężczyzny żerującego na kobietach i typem mordercy... który zabierze kobiecie oszczędności i na dodatek poderżnie jej gardło. Kogo Arlena miała spotkać tego ranka? Widziałem z wyrazu jej twarzy, uśmiechu, zachowania i słów powiedzianych do mnie — Patricka Redferna. A więc naturalnie mordercą jej musi być Patrick Redfern.

Od razu jednak, jak już mówiłem, natknąłem się na nieprawdopodobieństwa. Patrick Redfern nie mógł jej zabić, gdyż najpierw był na plaży, a następnie aż do chwili odkrycia zwłok — w towarzystwie panny Brewster. Zacząłem więc szukać innych rozwiązań. Mogła zostać zabita przez swego męża przy współudziale panny Darnley (oboje skłamali, co wyglądało bardzo podejrzanie). Mogła zginąć, ponieważ trafiła na ślad szajki przemytników narkotyków. Mogła stać się ofiarą maniaka religijnego lub nienawiści swej pasierbicy. Przez pewien czas prawdziwe wydawało mi się to ostatnie rozwiązanie. Potwierdziło je zachowanie Lindy podczas pierwszego przesłuchania przez policję. Rozmowa, którą z nią później przeprowadziłem, upewniła mnie co do jednego: Linda sądziła, że to ona jest winna.

— Była przekonana, że naprawdę zabiła Arlenę? Czy to pan ma na myśli? — spytała Rosamund niedowierzającym tonem.

Herkules Poirot przytaknął.

— Tak. Proszę nie zapominać, że to jeszcze dziecko. Przeczytała tę książkę o czarnoksiężstwie i prawie w to uwierzyła. Nienawidziła Arleny. Ulepiła woskową lalkę, rzuciła zaklęcie, przebiła jej serce szpilką, roztopiła figurkę nad ogniem... i tego samego dnia Arlena zginęła. Ludzie starsi i

mądrzejsi niż Linda wierzyli gorąco w magię. Nic dziwnego, że wydawało jej się, że zabiła swoją macochę.

— Och, biedne, biedne dziecko! — zawołała Rosamund.

— A ja myślałam... wyobraziłam sobie... coś zupełnie innego... że ona wiedziała o czymś, co...
— urwała.

— Wiem, co pani myślała — powiedział Poirot.

— Pani zachowanie wystraszyło Linde jeszcze bardziej. Uwierzyła, że jej działanie naprawdę spowodowało śmierć Arleny i że pani wie o tym. Christine Redfern także zrobiła swoje. Dając Lindzie proszki nasenne pokazała jej drogę szybkiego i bezbolesnego odpokutowania zbrodni. Widzi pani, gdy tylko okazało się, że kapitan Marshall ma alibi, najważniejsze stało się znalezienie nowego podejrzanego. Ani Christine, ani jej mąż nie wiedzieli o przemyśle narkotyków. Na kozła ofiarnego wybrali Linde.

— Cóż za diablica! — wykrzyknęła Rosamund.

— Tak, ma pani słuszość — przyznał detektyw.

— Zimnokrwista, okrutna kobieta. Przez Linde wpadłem w nie lada kłopot. Czy jedyną jej winą była dziecinna próba uprawiania sztuki czarnoksiężskiej, czy może nienawiść poniosła ją dalej... aż do popełnienia tego czynu? Próbowałem doprowadzić ją do zwierzeń, ale nic z tego nie wyszło. A właśnie wówczas przeżywałem ogromne rozterki. Komisarz policji skłonny był przychylić się do wyjaśnienia związanego z przemytem narkotyków. Nie mogłem na to pozwolić. Raz jeszcze przejrzałem dokładnie wszystkie fakty. Były to fragmenty układanki, oderwane wydarzenia... Wszystkie one powinny dać ułożyć się w pełen, harmonijny wzór. Nożyczki znalezione na plaży, buteleczka wyrzucona przez okno, kąpiel w wannie — wszystkie te nieszkodliwe wydarzenia nabrały znaczenia dzięki temu, że nikt się do nich nie chciał przyznać. Nie pasowały do kapitana Marshalla, Lindy ani gangu handlarzy narkotykami. A przecież musiały mieć znaczenie. Wróciłem zatem do pierwszego rozwiązania, do winy Patricka Redferna. Czy cokolwiek mogło je potwierdzić? Tak, fakt, że na koncie Arleny brakowało dużej sumy pieniędzy. Kto otrzymał te pieniądze? Oczywiście Patrick Redfern. Pani Marshall należała do tego rodzaju kobiet, które łatwo dają się oszukać przez przystojnego, młodego mężczyznę... ale nie można' by jej szantażować. Była zbyt przejrzysta, nie umiałaby utrzymać tajemnicy. Opowieść o szantażyście nigdy nie brzmiała dla mnie prawdziwie. A przecież podsłuchano taką rozmowę. Tak, ale kto ją podsłuchał? Żona Patricka Redferna. Było to jej opowiadanie, nie poparte żadnym dodatkowym świadectwem. Dlaczego je wymyślono? W tym momencie mnie oświeciło. By wyjaśnić nieobecność pieniędzy na koncie Arleny!

Patrick i Christine Redfern. Oboje byli w to zamieszani. Christine nie miała dość sił fizycznych ani odpowiedniej konstytucji psychicznej, by ją udusić. Nie, to Patrick tego dokonał... ale przecież to niemożliwe! Mógł się wyliczyć z każdej minuty, którą spędził tego dnia, aż do chwili, gdy znaleziono ciało.

Ciało... słowo to przypomniało mi rozmowę o ciałach leżących na plaży... wszystkie podobne do

siebie. Patrick Redfern i Emily Brewster znaleźli Się w zatoczce i ujrzeni leżące tam ciało. A przypuścimy, że nie było to ciało Arleny Marshall? Przecież twarz zakrywał kapelusz. A może ktoś udawał, że nie żyje? Czy mogła to być sama Arlena, namówiona przez Patricka do żartu? Potrząsnąłem przecząco głową. Nie, to byłoby zbyt ryzykowne. Żywa osoba? Kto? Która kobieta mogłaby pomóc Redfernowi? Oczywiście, jego żona. Lecz była ona istotą delikatną, o wrażliwej białej skórze. To prawda, lecz mogła posmarować się specjalnym środkiem przyciemniającym skórę, sprzedawanym w małych buteleczkach... Buteleczka! Miałem już jeden kawałek mej układanki.

Tak, to by wyjaśniało kąpiel w wannie... musiała zmyć sztuczną opaleniznę, zanim poszła grać w tenisa. A nożyczki? Chyba do pocięcia na kawałki kopii tekturowego kapelusza, której przecież trzeba się było szybko pozbyć. W pośpiechu zapomnieli o nożyczkach — jedyne przeoczenie pary przestępców.

A gdzie była w tym czasie Arlena? To także było zupełnie jasne. Rosamund Darnley albo Arlena Marshall były w Grocie Skrzata. Unosił się tam zapach perfum, których obie używały. Z pewnością nie była to Rosamund Darnley. A więc musiała to być Arlena czekająca, aż brzeg opustoszeje.

Gdy Emily Brewster odpłynęła łodzią, Patrick miał całą plażę dla siebie. Arlena Marshall została zamordowana później niż kwadrans po dwunastej. Świadcstwo lekarskie podawało najwcześniejszy czas popełnienia zbrodni. To lekarzowi powiedziano, że Arlena była martwa kwadrans przed dwunastą, on tego policji nie powiedział. Trzeba było jeszcze sprawdzić dwie kwestie. Alibi Christine Redfern było oparte na zegarku Lindy. Musiałem udowodnić, że Christine miała dwie sposobności do manipulowania tym zegarkiem. Znalazłem je dość łatwo. Rano była sama w pokoju Lindy. A istniał także dowód pośredni. Linda powiedziała, że obawiała się, że się spóźni, ale kiedy zeszła na dół, zegar w recepcji wskazywał dopiero dwadzieścia pięć po dziesiątej. Sposobność przestawienia zegarka na właściwą godzinę powstała, gdy Linda poszła się wykapać. Pozostała jeszcze kwestia drabiny. Christine twierdziła, że ma lęk wysokości. Drugie dokładnie przygotowane kłamstwo.

Teraz mozaika była gotowa, każdy fragment pięknie leżał na swym miejscu. Lecz, niestety, nie miałem żadnego ostatecznego dowodu. Wszystko opierało się na domysłach.

Wówczas przyszła mi do głowy pewna myśl. Morderstwo Arleny było perfekcyjnie opracowane. Nie miałem żadnej wątpliwości, że w przyszłości Patrick Redfern powtórzy swą zbrodnię. Ale co z przeszłością? Istniała pewna możliwość, że nie jest to jego pierwsze morderstwo. Metoda, którą zastosował, uduszenie, jest charakterystyczna dla typów patologicznych, mordujących z przyjemności i dla zysku. Jeśli nie jest to pierwszy raz, z pewnością wcześniejsze zbrodnie będą podobne. Poprosiłem inspektora Colgate'a o spis kobiet, które padły ofiarą uduszenia. Wynik dał mi dużo satysfakcji. Wprawdzie śmierć Nellie Parsons, znalezionej w odludnym zagajniku, mogła być lub nie być dziełem Patricka Redferna, mogła mu jedynie nasunąć wybór okolicy, ale w wypadku Alice Corrigan znalazłem to, czego szukałem. Dokładnie ta sama metoda. Żonglowanie czasem, morderstwo popełnione nie jak to się zwykle dzieje, wcześniej niż przypuszczano, lecz później. Ciało podobno znaleziono o godzinie piętnaście po czwartej. A mąż miał alibi do dwadzieścia pięć po czwartej.

Co się naprawdę stało? Edward Corrigan stwierdził, że przybył do Pine Ridge, zobaczył, że nie ma jego żony, więc wyszedł i przechadzał się niespokojnie. W rzeczywistości pobiegł pędem na

spotkanie w pobliskim Lesie Cezara, zabił żonę i wrócił do kawiarni. Turystka, która doniosła o zbrodni, była jak najbardziej godną szacunku młodą damą, nauczycielką gimnastyki w znanej szkole dla dziewcząt. Najwyraźniej nie miała żadnych powiązań z Edwardem Corriganem. Nim doniosła o zbrodni, musiała przejść kawał drogi. Lekarz policyjny zbadał ciało dopiero kwadrans przed szóstą. Tak jak w tej sprawie, czas popełnienia zbrodni nie nastroczał wątpliwości.

Dokonałem jeszcze jednej, ostatecznej próby, aby upewnić się czy pani Redfern kłamie. Zorganizowałem wycieczkę do Dartmoor. Jeśli ktoś ma lęk wysokości, nie potrafi również przejść po wąskim pomoście nad bieżącą wodą. Panna Brewster, która naprawdę cierpi na tę dolegliwość, dostała zawrotu głowy. Lecz Chrisline Redfern bez trudności przebiegła na drugą stronę strumienia. Była to niby drobnostka, lecz w rzeczywistości ważny test. Jeśli niepotrzebnie skłamała w tej sprawie, wówczas i inne jej stwierdzenia mogły okazać się kłamstwami. Tymczasem Colgate przekazał fotografię policji w Surrey dla sprawdzenia tożsamości Redferna. Zagrałem moją kartę w jedyny sposób, jaki moim zdaniem mógł przynieść powodzenie. Umocniwszy Patricka Redferna w poczuciu bezpieczeństwa, gwałtownie zaatakowałem i spróbowałem wyprowadzić go z równowagi. Świadomość tego, że został rozpoznany jako Corrigan sprawiła, że kompletnie Stracił głowę. — Na wspomnienie tej sceny Herkules Poirot pogładził szyję. — To, co uczyniłem — powiedział dobitnie — było nadzwyczaj niebezpieczne... lecz niczego nie żałuję. Zwyciężyłem! Nie cierpiałem nadaremnie.

Nastąpiła chwila milczenia. Pani Gardener westchnęła głęboko.

— Ach, panie Poirot — westchnęła. — Cudownie było móc wysłuchać, jak pan osiąga swe wyniki. Jest to tak samo fascynujące jak wykład z kryminologu... tak naprawdę, to był wykład z kryminologii. I pomyśleć, że moja włóczka i ta rozmowa o opalaniu miały naprawdę z tym coś wspólnego! Brak mi słów, żeby wyrazić moje podniecenie, a jestem pewna, że pan Gardener tak samo to odczuwa, prawda. Odellu?

— Tak, kochanie — odparł pan Gardener.

— Pan Gardener mnie także wspomógł. Chciałem poznać opinię rozsądnego mężczyzny o pani Marshall. Zapytałem pana Gardenera, co o niej myśli — rzekł Herkules Poirot.

— Doprawdy? — zdziwiła się pani Gardener. — I cóż powiedziałaś o niej, Odellu?

Pan Gardener zakasłał.

— Cóż, kochanie, jak wiesz, nigdy nie miałem o niej zbyt wysokiego mniemania.

— Mężczyźni zawsze tak mówią swoim żonom — powiedziała pani Gardener. — Ale moim zdaniem nawet obecny tu pan Poirot jest wobec niej pobłażliwy. Nazywa ją skazaną z góry ofiarą i tak dalej. Oczywiście, Arlena Marshall nie była osobą kulturalną, a ponieważ nie ma tu kapitana Marshalla, dodam, że zawsze wydawała mi się tępa. Tak powiedziałam do pana Gardenera, prawda, Odellu?

— Tak, kochanie — potwierdził pan Gardener.

II

Linda Marshall siedziała z Herkulesem Poirotem nad Zatoczką Mew.

— Oczywiście, jestem zadowolona, że nie umarłam — mówiła Linda. — Ale wic pan, panie Poirot, właściwie to tak, jakbym ją zabiła, prawda? Przecież chciałam to zrobić.

Herkules Poirot odparł energicznie:

— Nie ma pani racji. Pragnienie zabójstwa i akt zabójstwa to dwie różne rzeczy. Gdyby w sypialni zamiast woskowej laleczki miała pani związaną i bezradną macochę, a zamiast szpilki trzymałaby pani w ręce sztylet, nie wbiłaby go pani w jej serce! Coś w głębi zawołałoby „Nie”! Coś podobnego i mi się przydarza. Ogarnia mnie wściekłość na jakiegoś głupca i myślę: „Chciałbym go kopnąć”. Zamiast tego kopię nogę stołu. Powiadam do siebie: „Ten stół to on”, więc kopię stół. Wówczas, jeśli nie boli mnie potem wielki palec u nogi, czuję się znacznie lepiej, a stół pozostaje nie uszkodzony. Lecz gdyby na jego miejscu był przede mną ów głupiec, na pewno bym go nie kopnął. Robienie figurek woskowych i wbijanie w nie szpilek jest niemądre, dziecinne, zgoda, ale może być też... pożyteczne. Wyrzucasz z siebie nienawiść, wyładowujesz ją na woskowej lalce. A szpilką i ogniem zniszczyła pani nie swą macochę, ale nienawiść, którą pani do niej czuła. Po tym akcie destrukcji, jeszcze zanim usłyszała pani o jej śmierci, poczuła się pani oczyszczona... Czy nie czuła się pani lżejsza, szczęśliwsza?

— Skąd pan o tym wie? Właśnie tak się czułam.

— Więc niech pani nie powtarza w kółko tych bzdur. Niech pani postara się nie odczuwać nienawiści do następnej macochy.

— Myśli pan, że będę miała następną? — spytała zaskoczona Linda. — Och, rozumiem, ma pan na myśli Rosamund. Ona mi nie przeszkadza — wahała się przez chwilę. — Jest sensowna.

Nie był to przymiotnik, którego Herkules Poirot użyłby w związku z Rosamund Darnley, ale pojął, że u Lindy była to forma najwyższej pochwały.

III

Kenneth Marshall powiedział:

— Rosamund, czy naprawdę przyszło ci do głowy, że to ja zabiłem Arlenę?

— To było głupie z mojej strony. — Rosamund sprawiała wrażenie zawstydzonej.

— Oczywiście, że tak.

— Ale widzisz, Ken, zamykasz się w sobie jak ostryga, tak że nigdy nie wiedziałam, jakie są naprawdę twoje uczucia wobec Arleny. Nie wiedziałam, czy przyjmujesz ją taką jaką jest i starasz się tylko być przerażająco uczciwy wobec niej, czy może... ślepo jej wierzysz. I pomyślałam, że jeśli jej wierzyłeś i nagle odkryłeś, że ona cię zdradza, mogłeś oszaleć z wściekłości. Jesteś bardzo spokojny, ale czasem bywasz groźny.

— Więc pomyślałaś, że po prostu ścisnąłem ją za gardło tak, że wyzionęła ducha?

— Cóż... tak... dokładnie tak pomyślałam. Twoje alibi wydawało mi się trochę naciągane. Wtedy właśnie postanowiłam działać i wymyśliłam głupią historyjkę o tym, że widziałam cię piszącego na maszynie w pokoju. A kiedy usłyszałam, że mówisz, że mnie widziałeś, kiedy zaglądałam... cóż, to mnie upewniło, że jesteś winowajcą. To i dziwne zachowanie Lindy.

— Czy nie rozumiesz, że powiedziałem o zobaczeniu cię w lustrze po to, żeby potwierdzić twoje zeznanie? Ja... ja myślałem, że takie potwierdzenie jest ci potrzebne.

Rosamund spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że uznałeś mnie za zabójczynię twojej żony?

Kenneth Marshall drgnął. Był zakłopotany. Wybąkał:

— A niech to, Rosamund. Czy nic pamiętasz, jak kiedyś niemal zabiłaś chłopca, z którym pokłóciłaś się o psa? Ścisnęłaś jego szyję i nie chciałaś puścić.

— Ale to było wiele lat temu.

— Wiem.

— A jaki powód miałabym, według ciebie, do zabicia Arleny? — spytała ostro Rosamund.

Odwrócił oczy i znowu coś wybąkał. Rosamund zawołała:

— Ken, ty piramido zarozumiałości! Pomyślałeś, że zabiłam ją z altruizmu, przez wzgląd na ciebie, co? Albo może dlatego, że chciałam cię mieć dla siebie?

— Nic podobnego — obruszył się Kenneth Marshall. — Ale sama wiesz, co powiedziałaś wtedy... o Lindzie i tym wszystkim... i... wydawało mi się, że zależy ci na tym, co się ze mną dzieje.

— Zawsze mi zależało.

— Wierzę ci, Rosamund. Widzisz, nie potrafię się zwierzać... trudno mi o tym mówić, lecz chciałbym ci jedno wyjaśnić. Nie zależało mi na Arlenie... może trochę na początku. Ale codzienne z nią współżycie to była nerwowa szarpanina. A właściwie istne piekło. Tylko widzisz, bardzo było mi jej żal. Była taka niemądra, szalona na punkcie mężczyzn, a oni zawsze ją porzucali i paskudnie traktowali. Po prostu czułem, że nie mogę zadać jej ostatecznego ciosu. Skoro się z nią ożeniłem, miałem obowiązek dbać o nią jak najlepiej. Myślę, że wiedziała o tym i była mi naprawdę wdzięczna. Miała w sobie dużo egzaltacji.

— W porządku, Ken. Teraz rozumiem — powiedziała łagodnie Rosamund.

Nie patrząc na nią Kenneth Marshall uważnie nabił fajkę. Wymamrotał:

— Zawsze umiesz zrozumieć, Rosamund. Na usta Rosamund wypłynął lekki uśmiech.

— Czy chcesz mnie poprosić o rękę teraz, Ken, czy postanowiłeś odczekać pół roku?

Marshallowi fajka wypadła z ust i rozbiła ,się na skałach w dole.

— Niech to diabli, to już druga fajka, którą tu straciłem. A nie mam z sobą trzeciej. Skąd wiedziałaś że uznam pół roku za właściwy okres?

— Stąd, jak przypuszczam, że jest to właściwy okres. Ale już teraz chciałabym wiedzieć coś więcej. Ponieważ w ciągu nadchodzących miesięcy możesz natknąć się na następną prześladowaną niewiastę i zgodnie z rycerskim obyczajem ruszysz jej na pomoc.

— Tym razem ty będziesz tą prześladowaną niewiastą. Rosamund — zaśmiał się Marshall. — Będziesz musiała zrezygnować z domu mody i zamieszkać na wsi.

— Czy wiesz, że mam bardzo przyzwoity dochód z tej firmy? I czy zdajesz sobie sprawę, że to moja firma, że to ja ją stworzyłam, rozkręciłam i jestem z niej dumna?! A ty ośmielasz się przyjść i powiedzieć: „Rzuć ,to wszystko, kochanie”.

— Masz rację.

— I myślisz, że zależy mi na tobie na tyle, aby to , zrobić?

— Jeśli nie — powiedział Kenneth Marshall — nie byłabyś dla mnie odpowiednią żoną.

— O mój drogi, przez całe życie chciałam mieszkać z tobą na wsi. Teraz się to spełni... — szepnęła Rosamund.

- * fr. To możliwe.
- * fr. Kobiety.
- * fr. Nigdy.
- * fr. A jednak, pułkowniku.
- * fr. Zbrodnia w afekcie.
- * fr. Ależ tak.
- * fr. Mój drogi.
- * fr. Oczywiście
- * fr. To możliwe
- * fr. To fantastyczne.
- * fr. Na miłość boską!